

5. 112. 110  
CONAN DOYLE



ZNAK  
CZTERECH

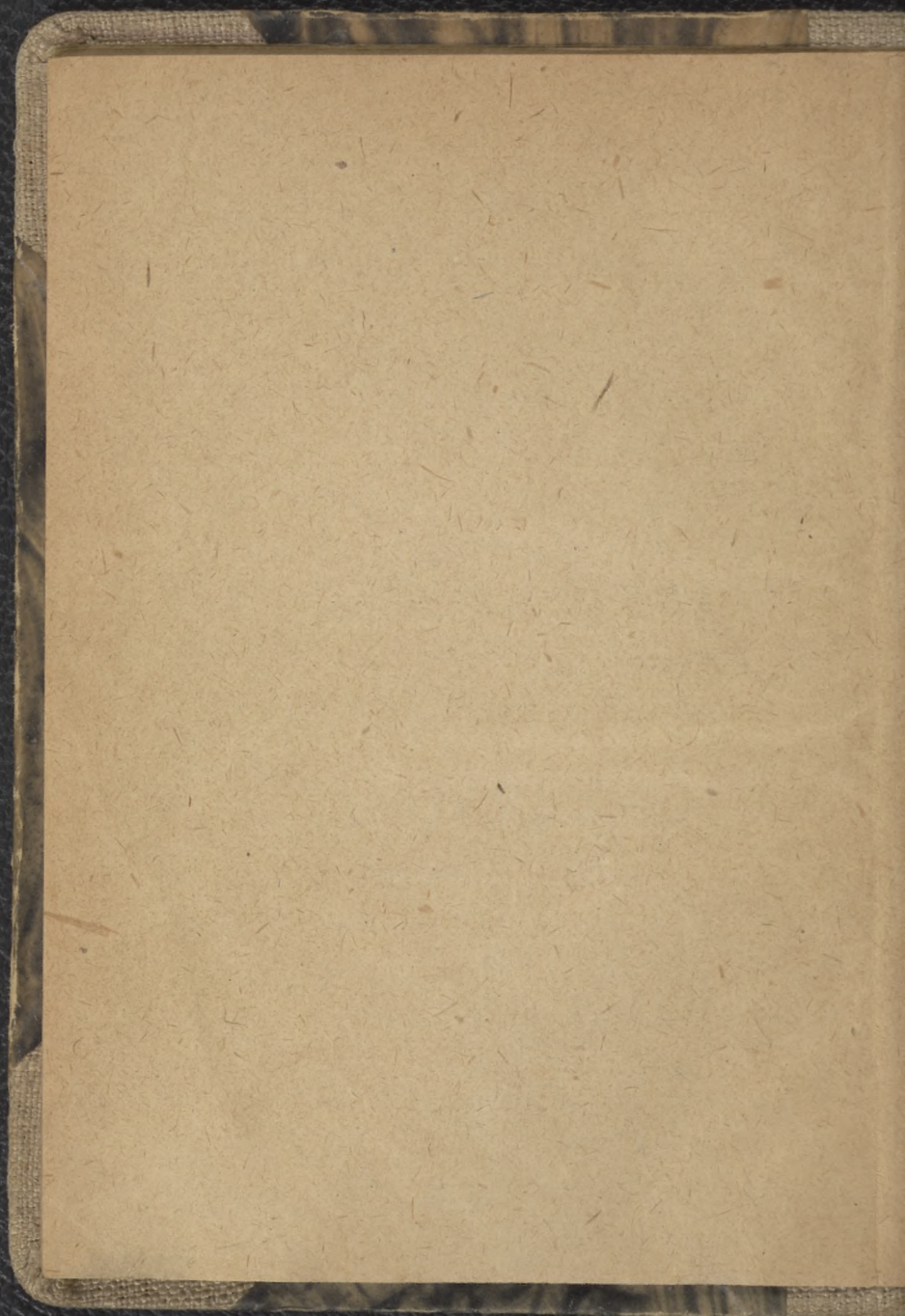
HAN DOYLE



EMAN

COLLEGE

ZNAK CZTERECH





I, 500, 606

CONAN DOYLE

# ZNAK CZTERECH

TLÓM. Z ANGIELSKIEGO  
BRONISŁAWA NEUFELDÓWNA

*Eugenja Benisz*  
№ 421

WARSZAWA  
NAKLADEM WAŁAWA PAWŁOWSKIEGO  
MCMXXII

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001006237699



I. 500.606

~~I. 42.40~~

1842. D. 43

Druk W. Maślankiewicza, Nowogrodzka № 17.

## ROZDZIAŁ I.

### Nauka dedukcji.

Sherlock Holmes wziął flaszeczkę, stojącą na rogu kominka i wyjął strzykawkę z pudełeczka safianowego. Długimi, białymi, nerwowymi palcami włożył w strzykawkę cienką igłę i podsunął w górę lewy mankiet koszuli. Oczy jego przez krótką chwilę zatrzymały się, zadumane, na żyłastem przedramieniu i przegubie ręki, pocentkowanych niezliczonymi ukłóciami. Nakoniec wepchnął ostry koniec igły w ciało, nacisnął mały tłoczek i z głębokim westchnieniem zadowolonia upadł na poduszki aksamitnego fotela.

Przez szereg miesięcy patrzyłem trzy razy dziennie na to widowisko, ale przyzwyczajenie nie pogodziło mnie z niem bynajmniej. Przeciwnie — z każdym dniem widok ten drażnił mnie coraz bardziej, a sumienie wyrzucało coraz głośniej, że brakło mi odwagi, by przeciw temu zaprotestować. Codziennie niemal przyśięgałem sobie, że oswobodzę duszę swoją od tego ciężaru, ale w chłodnem, swobodnem obej-

ściu mego towarzysza było coś nieokreślonego, co niedopuszczało cienia poufałości. Nauczyłem się cenić jego wielkie zdolności i niepospolite zalety, onieśmielał mnie niekiedy wręcz jego ton despotyczny, wyniosły — nie chciałem mu się narażać.

Tego dnia wszakże, bądź pod wpływem kilku kieliszków *Beaunc'u*, wypitych przy drugim śniadaniu, bądź, że rozmyślność postępowania Holmesa doprowadziła mnie do ostateczności, uczulem nagle, że dłużej nie wytrzymam.

— Na co kolej dzisiaj — spytałem — morfina czy kokaina?

Holmes podniósł leniwie oczy od starej książki, którą był otworzył:

— Kokaina, — odparł, — roztwór siedmioprocentowy. Może zechcesz spróbować?

— Dziękuję, — odrzekłem szorstko. — Organizm mój nie pokonał jeszcze skutków wyprawy afgańskiej; nie mogę sobie tedy pozwolić na żadne wybryki.

Rozdrażniony ton mojej odpowiedzi wywołał uśmiech na usta Holmesa.

— Może ty masz słuszność, Watsonie, — rzekł. — Zdaje mi się, że pod względem fizycznym te narkotyki źle na mnie wpływają. Niemniej, tak niesłychanie pobudzają i rozja-

śniają umysł, że wobec tego tamto ich odziaływanie jest drobnostką.

— Ależ zastanów się, — rzekłem poważnie. Pomyśl, czem ty to oplądasz! umysł twój może podnieca się, jak mówisz, i ożywia, ale jednocześnie odbywa się w twoim ustroju chorobliwy proces patologiczny, który pociąga za sobą spotęgowaną przemianę tkanek i w końcu może cię doprowadzić do zupełnego stanu osłabienia i wyczerpania. Wiesz także dobrze, jaka straszna reakcja przychodzi później. Doprawdy gra nie warta świecy. Po co, na miłość Boską, dla przelotnej przyjemności, narażasz się na utratę tych wielkich zdolności, jakimi cię obdarzyła natura? Pamiętaj, że ja mówię nietylko jako przyjaciel do przyjaciela, ale i jako lekarz do człowieka, za którego zdrowie jest do pewnego stopnia odpowiedzialny.

Holmes nie wyglądał na obrażonego. Przeciwnie, złożył dłonie czubkami palców, a łokcie oparł na poręczach fotela, jak ktoś, który z upodobaniem prowadzi rozmowę.

— Mój umysł, — rzekł, — buntuje się przeciw bezczynności. Daj mi zagadnienia do rozstrzygnięcia, daj mi pracę, daj mi najtrudniejszy kryptogram, albo najzawilszą analizę, a wtedy zobaczysz mnie we właściwej atmosferze. Wówczas mogę się obywać bez sztucznej pod-

niety. Ale mam wstręt do powszedniej, nudnej rutyny życia. Trawi mnie gorączka egzaltacji umysłowej. Dlatego to właśnie obrałem swój specjalny zawód, albo raczej stworzyłem go, bo jestem jedynym na świecie.

— Jedyne nieurzędowy agent śledczy? — spytałem.

— Jedyne nieurzędowy radca śledczy, — odparł. — Jestem ostatnim i najwyższym trybunałem apelacyjnym w sprawach śledczych. Gdy Gregson lub Lestrade, albo Athelney Jones tracą głowę, co, mówiąc nawiasem, jest ich stanem normalnym, wówczas wytaczają sprawę przedemną. Ja zaś badam dane, jako ekspert i wydaję opinię specjalisty. Nie domagam się sławy w takich wypadkach. Nazwiska mojego nie znajdziesz w żadnym dzienniku. Praca sama przez się, zadowolenie, że znajduję pole dla swoich specjalnych zdolności jest mi najwyższą nagrodą. Ale, wszak miałeś dotykalne dowody mojej metody pracy w sprawie Jeffersona Hope'a.

— Tak, istotnie, — rzekłem szczerze. — Nic w życiu nie wprawiło mnie w takie zdumienie. Opisałem nawet tę sprawę pod nieco fantastycznym tytułem: „Studjum w szkarłacie“.

Holmes smutnie potrząsnął głową.

— Przeglądałem tę książkę, — rzekł. —

Uczciwie mówiąc, nie mogę ci jej powinszować. Śledztwo policyjne jest, albo powinno być, nauką ścisłą i trzeba je traktować w taki sam sposób chłodny, trzeźwy. Ty zaś usiłowałeś za-barwić je romantyzmem, co wywołuje zupełnie ten sam efekt, co przygoda miłosna lub ucieczka zakochanych, opracowana według piątego aksjomatu Euklidesa.

— Ale, wszak tam był romans,—bronilem się — nie mogłem przekreślać faktów.

— Niektóre fakty należy pomijać, albo przynajmniej należy, w traktowaniu ich, zachować należyłą miarę. Jedyne punkty w tej sprawie, zasługujące na wzmiankę, to ciekawe analityczne wysnuwanie przyczyn ze skutków, dzięki któremu zdołałem tę sprawę wyjaśnić.

Podrażniła mnie ta jego krytyka pracy, specjalnie przeznaczonej dla zrobienia mi przyjemności. Wyznaję też, że gniewał mnie ten egotyzm, który się domagał, by każdy wiersz mojej opowieści był poświęcony wyłącznie jego czynom. Niejednokrotnie w ciągu lat, jakie przemieszkałem z Holmesem przy ulicy Baker, zauważyłem dziwny podkład próżności po za spokojnym, dydaktycznym postępowaniem mego towarzysza. Nie odpowiedziałem wszelako — siedziałem w milczeniu, nacierając nogę, którą mi przeszyła kula w Afganistanie, a która, choć

dawno zagojona, dawała mi się srodze we znaki przed każdą zmianą pogody.

— Praktyka moja rozszerzyła się w ostatnich czasach i na kontynent,— rzekł Holmes po chwili, nakładając fajkę. — W ubiegłym tygodniu zasięgał mojej rady Franciszek le Villard, który, jak ci pewnie wiadomo, zdobywa w ostatnich czasach coraz wybitniejsze stanowisko we francuskiej policji śledczej. Posiada on prawdziwie celtycką zdolność szybkiej intuicji, ale brak mu szerszego poglądu i ścisłej nauki, co jest niezbędne dla wyższego rozwoju naszej sztuki. Sprawa dotyczyła testamentu i była dosyć zajmująca. Wskazałem mu dwie podobne sprawy, jedną w Rydze z r. 1857, drugą w St. Louis z r. 1871, co ułatwiło mu rozwikłanie tej, o którą mu chodziło. Oto list, który dostałem od niego dziś rano z podziękowaniem za pomoc.

Mówiąc to, podał mi zmięty arkusik zagranicznego papieru listowego. Przebiegłem go wzrokiem i pochwyciłem mnóstwo wyrazów uwielbienia, jak: „*magnifique*“, „*coup de maître*“, „*tour de force*“, świadczących o gorącym podziwieniu Francuza.

— Pisze jak uczeń do mistrza, — zauważyłem.

— O, przecenia moją pomoc, — rzekł Sherlock Holmes obojętnie. — Sam jest bardzo



zdolny. Z trzech przymiotów, niezbędnych dla idealnego agenta śledczego, posiada dwa: zmysł obserwacyjny i zdolność dedukcji. Brak mu tylko, jak mówiłem, nauki, ale to przyjdzie z czasem. Tłómaczy teraz moje drobne prace na język francuski.

— Twoje prace?

— A, nie wiedziałeś? — zawołał, śmiejąc się. — Tak, „popelnilem“ kilka monografii w kwestjach wyłącznie technicznych. Jedna na przykład traktuje „O różnicy między popiołem rozmaitych tytoniów“. Wyliczam w niej sto czterdzieści gatunków cygar, papierosów, tytoniów, a kolorowane ryciny ilustrują różnicę popiołu. Jest to szczegół, który występuje ciągle w sprawach kryminalnych i bywa niekiedy niesłychanie ważny, jako wskazówka. Jeśli możesz powiedzieć na przykład, że jakieś morderstwo popełnił człowiek, który palił cygaro indyjskie, pole poszukiwania znacznie ci się ściśnie. Dla wprawnego oka różnica między czarnym popiołem cygara Trichinopoli a białym Hawanny jest taka wielka, jak między kapustą a kartoflem.

— Masz niesłychany dar obserwowania szczegółów, — zauważyłem.

— Oceniam należycie ich znaczenie. Napisałem też monografię o tropieniu śladu kro-

ków ludzkich i dodałem kilka uwag o sposobie używania plastra paryskiego, jako środka do zachowania odcisku śladów. Dalej wydałem także ciekawą książeczkę o wpływie zajęcia na kształt dłoni i dołączyłem światłodruki rąk blacharzy, marynarzy, zecerów, tkaczy i szlifierzy djamentów. Rzecz ta ma bardzo duże znaczenie praktyczne dla naukowego agenta śledczego, zwłaszcza w wypadkach, kiedy nie można narazie stwierdzić tożsamości zwłok, albo przy badaniu trybu życia przestępców. Ale ja cię nudzę tym swoim ulubionym konikiem.

— Bynajmniej — odparłem poważnie. — Zajmuje mnie to niestychanie, zwłaszcza od czasu, kiedy mam sposobność przyglądać się jak te swoje teorie stosujesz w praktyce. Ale wspominałeś o obserwacji i dedukcji; przecież jedna obejmuje do pewnego stopnia drugą.

— Niebardzo, — odrzekł, rozpierając się wygodnie w fotelu i puszczając kółka błękitnego dymu. — Naprzykład, obserwacja wykazuje mi, że byłeś dzisiaj rano w biurze pocztowym przy ulicy Wigmore, ale dedukcja uczy mnie, iż, przyszedłszy tam, wysłałeś depezę.

— Zgadłeś! — zawołałem. — Nie omyliłeś się ani co do jednego, ani co do drugiego! Wyznaję wszakże, iż nie mam pojęcia, w jaki sposób doszedłeś do tego wniosku. Przyszło mi

to nagle do głowy i nie wspominałem o tem nikomu.

— A to takie proste, — odparł śmiejąc się z mego zdumienia, — takie niedorzecznie proste, że wyjaśnienie jest zbyteczne; nie poskapię ci go jednak, bo może posłużyć ci do określenia granic obserwacji i dedukcji. Obserwacja powiedziała mi, że chód twój pozostawia ślad zlekka czerwonawy. Otóż, wprost biura przy ulicy Wigmore, wyjęli bruk i poruszyli ziemię, w miejscu, którego niepodobna ominąć, chcąc wejść do biura. Ziemia ma tam odrębną odcień czerwonawy, którego, o ile wiem, nie posiada grunt nigdzie w sąsiedztwie. Tu kończy się obserwacja. Reszta, to już rzecz dedukcji.

— W jaki sposób zatem doprowadziła cię do wniosku, że wysłałem depeszę?

— Wiedziałem, że nie pisałeś listu, skoro siedziałem naprzeciwko ciebie przez całe rano. Widzę też w twojem otwartem biurku, że masz cały arkusz marek pocztowych i sporą paczkę kart. Pocóż więc poszedłeś do biura pocztowego, jeśli nie po to, żeby wysłać depeszę? Odrzuć zatem tamte pobudki, a ta ostatnia będzie prawdziwa.

— W tym wypadku tak jest w istocie, — odparłem po chwili. — Wszelako, jak sam mówisz, wypadek to bardzo prosty. Czy nie po-

sądzisz mnie o zarozumiałość, jeśli poddam teorie twoje cięższej próbie?

— Przeciwnie, — odpowiedziałem — przeszkodzi mi to wziąć powtórna dawkę kokainy. Będę uszczęśliwiony, jeśli, dzięki tobie, znajdę się wobec jakiego nowego zagadnienia.

— Mówiłeś mi kiedyś, że człowiek zazwyczaj pozostawia na rzeczach, które mu służą do codziennego użytku, piętno indywidualizmu w taki sposób, że wprawny obserwator dostrzeże je niechybnie. Otóż, mam tu zegarek, który dostałem niedawno. Czy zechciałbyś mi łaskawie powiedzieć swoje zdanie o przyzwyczajeniach ostatniego właściciela tego zegarka?

To mówiąc, podałem mu z uśmiechem zegarek, ubawiony tym swoim pomysłem, bo, zdawało mi się, że tej próby nie wytrzyma. A zamierzałem mu dać w ten sposób nauczkę za ton dogmatyczny, jaki niekiedy przybierał. Holmes ważył zegarek na dłoni, obejrzał uważnie cyferblat, otworzył kopertę i przyglądał się bacznie werkowi, najpierw gołem okiem, a następnie przez lupę. Po chwili zamknął zegarek i podał mi go, a był przytem tak widocznie zbity z tropu, że zaledwie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— Niema tu prawie żadnych danych, —

zauważył. — Zegarek był niedawno czyszczony, a to mnie pozbawia najważniejszych wskazówek.

— Masz słuszość, — odparłem. — Był czyszczony, zanim go przystano.

W duszy oskarżałem jednak swego towarzysza, że podaje bardzo marną i niedorzeczną wymówkę dla pokrycia swej porażki. Jakich danych mógł się spodziewać w zegarku nieczyszczonym?

— Jakkolwiek badanie moje nie dało wyników pożądaných, niemniej nie było zupełnie próżne, — zauważył Holmes, spoglądając w sufit zamglonemi oczyma. — Jestem prawie pewien, że ten zegarek należał do twego starszego brata, który go odziedziczył po twoim ojcu.

— Wnosisz to niewątpliwie z liter H. W. na kopercie, co?

— Tak jest. W. każe mi się domyślać twego nazwiska. Data zegarka jest z przed pięćdziesięciu laty, a inicjały są równie stare jak zegarek; zrobiony zatem został dla ostatniego pokolenia. Klejnoty przechodzą zawsze na najstarszego syna, który ma zazwyczaj to samo imię co ojciec. Ojciec twój umarł, jeśli się nie mylę przed wielu laty. Zegarek tedy był w rękach twego najstarszego brata.

— Dotąd nie mylisz się we wnioskach, — rzekłem. — Cóż dalej?

— Był to człowiek nieporządny w przyzwyczajeniach... nieporządny i niedbały. Miał bardzo dobre widoki na przyszłość, ale nie skorzystał z nich; żył przez jakiś czas w ubóstwie potem znów powodziło mu się lepiej, a w końcu rozpił się i umarł. To wszystko czego zdołałem się dowiedzieć.

Zerwałem się z krzesła i, rozdrażniony, rozgoryczony, zacząłem chodzić po pokoju.

— To niegodne ciebie, Holmesie, — rzekłem. — Nie przypuszczałbym nigdy, że ponizysz się do takiego wybiegu. Dowiedziałeś się szczegółów życia mego nieszczęśliwego brata, a teraz utrzymujesz, że wysnuwasz te dzieje w jakiś fantastyczny sposób. Nie możesz chyba wymagać odemnie, żebym uwierzył, iż wyczytałeś to wszystko z jego starego zegarka! To niepocziwie z twojej strony, a, mówiąc szczerze, to trąci szarlatanizmem.

— Mój drogi doktorze, — rzekł łagodnie — przepraszam cię bardzo. Biorąc tę całą rzecz jako oderwane zagadnienie, zapomniałem jak dalece ta sprawa dotyczy cię osobiście i jak może ci być przykra. Zapewniam cię jednak, że nie wiedziałem, iż miałeś brata, dopóki mi nie wręczyłeś tego zegarka.

— W takim razie, w jakież cudowny spo-

sób domyśliłeś się tych wszystkich faktów? Są najzupełniej zgodne z prawdą, w każdym szczególe.

— To szczęśliwy zbieg okoliczności, bo ja tylko mogłem robić prawdopodobne przypuszczenia. Nie spodziewałem się bynajmniej, że będę taki ścisły.

— Ale przecież to nie było proste zgadywanie.

— Nie, nie; ja nigdy nie zgaduję. To złe przyzwyczajenie... zgubne bardzo dla logiki myśli. Niejedno wydaje ci się osobliwe dlatego, że nie śledzisz biegu moich myśli, albo też nie zwracasz uwagi na drobne fakty, z których można nieraz wysnuwać bardzo ważne wnioski. Naprzykład zacząłem od stwierdzenia, że twój brat był niedbały. Gdy się przyjrzyś niższej części koperty tego zegarka, dostrzeżesz, że jest nie tylko wgnieciona w dwóch miejscach, ale cała porysowana, a to skutkiem tego, że w tej samej kieszeni co zegarek noszono inne twarde przedmioty, jak drobne pieniądze lub klucze. Niewielka zatem sztuka wnioskować ztąd, że człowiek, obchodzący się w taki sposób z zegarkiem za 50 gwinei, jest człowiekiem niedbałym. Nietrudny jest tu również domysł, iż kto dziedziczy jeden przedmiot takiej znacznej wartości, jest i pod innym względem dobrze zaopatrzony.



Skinąłem głową na znak, że śledzę jego rozumowanie.

— Właściciele lombardów w Anglii, przyjmując zegarek, mają zwyczaj rysowania końcem szpilki wewnątrz koperty numer kwitu. Jest to wygodniejsze, niż kartka, a przytem w ten sposób numer nie może zginąć. Otóż przez lupe dojrzałem aż cztery takie, szpilką narysowane, numery wewnątrz tej koperty. Ztąd wniosek pierwszy, że twój brat bywał często w kłopotach finansowych, a drugi, że miał okres za-  
możności, inaczej bowiem nie mógłby wykupywać zastawu. W końcu, spojrzij, proszę cię na kopertę wewnątrz, w której znajduje się dziurka od klucza. Patrz na te dziesiątki rysów dokoła dziurki... to znaki, że klucz się obsuwał. Czy trzeźwy człowiek może zostawiać takie znaki? Natomiast nie zobaczysz nigdy bez nich zegarka pijaka. Nakręca go w nocy i pozostawia ślady swej niepewnej ręki. Gdzież tu w tem wszystkim tajemnica?

— Ależ to jasne, jak słońce,— odparłem.— Przykro mi, że byłem dla ciebie taki niesprawiedliwy. Powinienem być mieć więcej wiary w twoje zdumiewające zdolności. A wolno mi też spytać, czy masz teraz jakie zajmujące śledztwo na warsztacie?

— Nie. I ztąd powrót do kokainy. Nie



mogę żyć bez pracy umysłowej. Bo i cóż życie bez tego warte? Spójrzyno przez okno. Jaki ten świat ponury, okropny, nudny. Patrz jak mgła rozwłóczy się po ulicach; jak osiada na tych wstrętne pomalowanych domach. Czy może być co prozaiczniejszego? Po co mieć talent specjalny, jeśli człowiek nie posiada pola do jego zużytkowania? Zbrodnia jest banalna, życie jest banalne i tylko banalne, pospolite zdolności znajdują zawsze pole do czynu.

Otworzyłem już usta, chcąc na te żale odpowiedzieć, gdy rozległo się krótkie pukanie i weszła nasza gospodyni, niosąc kartę wizytową na mosiężnej tacce.

— Jakaś młoda panna do pana — rzekła, zwracając się do Holmesa.

— Marja Morstan, — przeczytał. — Hm... nie pamiętam, żebym już kiedy słyszał to nazwisko. Pani Hudson, proszę poprosić tę panią. Doktorze, nie odchodź. Wolę, żebyś został.

## ROZDZIAŁ II.

### Nowa sprawa.

Miss Morstan weszła do pokoju pewnym krokiem, napozór zupełnie spokojna. Jasna blondynka, młoda, niska, drobna, była ubrana z wielkim smakiem. Pomimo to, strój jej uderzał skromnością i prostotą, która kazała się domyślać, że środki materialne młodej dziewczyny są ograniczone. Suknia, zrobiona z ciemnego, popielatego beżu, nie była niczem przybrana, ani obszyta, na jasnych włosach spoczywał toczek tego samego smutnego koloru, ożywiony małym białym piórem, przypiętem z boku. Twarz przybyłej nie odznaczała się regularnością rysów ani pięknnością cery, ale miała wyraz słodki i miły a wielkie, błękitne oczy były niezwykle bystre i piękne. Widziałem kobiety rozmaitych narodowości w trzech częściach świata, lecz nie zdarzyło mi się spotkać oblicza, na którym odbijałaby się wyraźniej natura subtelna i wrażliwa. Zauważyłem, że, siadając na krześle, które jej przysunął Sherlock

Holmes, miss Morstan była widocznie bardzo wzburzona, usta jej drżały, ręce poruszały się nerwowo.

— Przyszłam do pana, panie Holmes, — rzekła w końcu — bo pan dopomógł kiedyś mojej zwierzchnicze, pani Cecylji Forrester, do wyjaśnienia pewnej zawikłanej sprawy; nie może zapomnieć pańskiej uprzejmości i umiejętności w prowadzeniu śledztwa.

— Pani Cecylja Forrester...—powtórzył zamysłony. — Zdaje mi się, że byłem jej pomocny. Ale, o ile pamiętam, była to jakaś bardzo prosta sprawa.

— Jej zdaniem nie. Nie będzie pan mógł jednak powiedzieć tego o mojej. Niepodobna sobie wyobrazić czegoś dziwniejszego, bardziej niewytłómaczonego, niż położenie, w jakim się znajduję.

Holmes zatarł ręce, oczy mu zaświeciły. Oparł się wygodnie w fotelu, a na twarzy jego osiadł wyraz niezwykłego skupienia.

— Proszę, niech pani opowie, o co chodzi — rzekł tonem szorstkim, urzędowym.

Moje położenie zaczynało być kłopotliwe, czułem, że jestem zupełnie zbyteczny.

— Przepraszam, wychodzę — rzekłem, wstając.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu miss Mor-

stan wyciągnęła ku mnie drobną dłoń, obciśniętą w elegancką rękawiczkę.

— Gdyby pański przyjaciel — rzekła do Holmesa — zechciał pozostać, mógłby mi oddać nieocenioną przysługę.

Usiadłem.

— Krótko mówiąc — ciągnęła dalej — oto fakty: Ojciec mój służył w pułku indyjskim i odesłał mnie do kraju, gdy byłam małym dzieckiem. Matka moja nie żyła, nie miałam w Anglii żadnych krewnych. Umieszczono mnie w pensjonacie w Edyburgu i tam pozostałam do siedemnastego roku życia. W r. 1878 ojciec mój, kapitan wówczas, otrzymał urlop roczny i przyjechał do kraju. Telegrafował do mnie z Londynu, że przybył szczęśliwie i wezwał, żebym przyjeżdżała niezwłocznie i zgłosiła się do hotelu Langhama, gdzie mieszkał. Wybrałam się natychmiast; przybywszy do Londynu pojechałam do Langhama i tu dowiedziałam się, że kapitan Morstan mieszka tam wprawdzie, ale, że wyszedł poprzedniego wieczora i jeszcze nie wrócił. Czekałam przez cały dzień daremnie. Wieczorem, idąc za radą właściciela hotelu, zawiadomiłam policję, a następnego dnia rano umieściliśmy ogłoszenie we wszystkich dziennikach. Poszukiwania nasze pozostały bez skutku i od owego dnia do dzisiejszego nie mam

żadnej wieści o swoim nieszczęśliwym ojcu. Powrócił pełen nadziei, spodziewając się znaleźć odpoczynek i spokój, a natomiast...

Poniosła dłoń do ust, łkanie przerwało jej mowę.

— Kiedy się to stało? — spytał Holmes, otwierając notatnik.

— Znikł 3 grudnia r. 1878... blisko dziesięć lat temu.

— A jego pakunki?

— Pozostały w hotelu. Nie było w nich nic, coby mogło dać jakkolwiek wskazówkę... trochę ubrania, kilka książek i spory zbiór osobliwości z wysp Andamańskich, gdzie był oficerem straży, pilnującej więźniów.

— Czy miał tu w mieście jakich przyjaciół?

— Jednego tylko, o ile mi wiadomo, majora Sholto, z tego samego co on pułku... 34-go piechoty bombajskiej. Major opuścił służbę na krótko przed moim ojcem i zamieszkał w Upper Norwood. Widywałam się z nim oczywiście, ale on nie wiedział nawet, że jego kolega przybył do Anglii.

— Szczególny wypadek, — zauważył Holmes.

— Nie powiedziałam panu jeszcze tego, co w tem jest najszczególniejsze. Oto sześć lat temu, dla ścisłości dodam, że było to 4-go

maja roku 1882, ukazało się w *Timesie* ogłoszenie, zapytujące o adres Marji Morstan z dodaniem, że, jeśli go poda, będzie to z jej korzyścią. Przy ogłoszeniu nie było ani adresu, ani nazwiska. W owym czasie tylko co właśnie przyjechałam u pani Cecylji Forrester miejsce nauczycielki. Za jej radą podałam swój adres między ogłoszeniami. Tego samego dnia przysłano pocztą pod moim adresem małe tekturowe pudełeczko, w którym znalazłam bardzo dużą i piękną perłę. Lecz oprócz tego nic, ani listu, ani kartki nawet. Odtąd co rok, tego samego dnia, otrzymywałam pudełko podobne, zawierające taką samą perłę, bez wszelkich wszakże danych co do osoby wysyłającego. Człowiek fachowy powiedział mi, że perły te są niezwyklej piękności i mają dużą wartość. Niech się pan sam przekona, że są istotnie bardzo ładne.

To mówiąc, wyjęła z kieszeni małe, płaskie pudełko, otworzyła je i pokazała nam sześć pereł takich pięknych, jakich w życiu nie widziałem.

— Opowieść pani jest bardzo zajmująca— rzekł Sherlock Holmes.— Czy zdarzyło się pani jeszcze co osobliwego?

— Tak jest i to nie dalej jak dzisiaj. Dlatego właśnie przyszłam do pana. Dziś rano

otrzymałam ten list, który pan może zechce sam przeczytać.

— Dziękuję pani, — rzekł Holmes. — Proszę też o kopertę. Marka z Londynu P. Z., data 7 lipca. Hm! w rogu znak dużego męskiego palca... Prawdopodobnie listonosza. Papier najlepszego gatunku. Koperty po sześć pensów paczka. Człowiek dbający o swoje materiały piśmienne. Bez adresu... „Zechciej Pani przyjść pod trzeci filar z lewej strony w przedsionku teatru Lyceum, dziś wieczór, o godzinie siódmej. Jeżeli się Pani obawia, proszę przyprowadzić ze sobą dwóch przyjaciół. Jest Pani kobietą pokrzywdzoną i będzie ci wymierzona sprawiedliwość. Niech Pani nie przyprowadza policji. Jeśli to uczynisz Pani, zepsujesz wszystko. Nieznany przyjaciel“. No, no, niezła tajemnica! I cóż pani zamierza uczynić, miss Morstan?

— Przyszłam właśnie po to, żeby się pana poradzić.

— W takim razie pójdziemy stanowczo... pani i ja... tak, doskonale, i dr. Watson. Ten jegomość pisze o dwóch przyjaciółach. Doktor nieraz już był mi pomocą.

— Ale, czy zechce pójść? — zapytała z prośbą w głosie i w spojrzeniu.

— Będę szczęśliwy i dumny, — rzekłem skwapliwie, — jeśli zdołam przydać się pani.

— Jesteście panowie obaj bardzo dobrzy—  
odparła. — Prowadzę życie bardzo ciche i nie  
mam przyjaciół, do których mogłabym się od-  
wołać. Przyjdę tu o szóstej, czy to dość  
wczesnie?

— Tak, ale nie później,—rzekł Holmes.—  
Jeszcze jedno pytanie. Czy list i adresy na  
pudełkach z perłami są pisane jednym chara-  
kterem?

— Mam je ze sobą, — odparła, wyjmując  
sześć karteczek papieru.

— Jest pani doprawdy wzorową klient-  
ką. Zobaczmy.

Rozłożył kartki na stole i przyglądał im  
się bystro.

— Wszystko pisane jest zmienionym chara-  
kterem, z wyjątkiem listu, — rzekł w końcu, —  
ale nie ulega kwestji, że to ręka jednej i tej  
samej osoby. Proszę spojrzeć na to *e* i na za-  
kręt u *s*. Wszędzie powtarzają się jednakowe.  
To niewątpliwie pisane tą samą ręką... Nie  
chciałbym budzić w pani fałszywych nadziei, ale,  
czy to pismo ma jakie podobieństwo z pismem  
ojca pani?

— Żadnego, absolutnie żadnego.

— Spodziewałem się takiej odpowiedzi.  
Będziemy zatem czekali na panią o szóstej.  
Proszę, niech mi pani zostawi te papiery. Może



będę musiał przejrzyć je raz jeszcze. Dopiero pół do czwartej. A zatem, *au revoir*.

— *Au revoir*, — odparła miss Morstan i, rzuciwszy każdemu z nas jasne, łagodne spojrzenie, schowała pudełko z perłami i wyszła.

Stojąc w oknie, patrzyłem za nią jak szła szybkim krokiem i nie odwróciłem się dopóki popielaty, toczek z białym piórem nie znikł w ciemnym tłumie.

— Jaka to przystojna kobieta! — zawołałem.

Holmes zapalił znów fajkę i leżał rozparty w fotelu; oczy miał przymknięte.

— Doprawdy? — rzekł leniwie — nie zauważyłem.

— Jesteś, doprawdy, automatem... maszyną rachunkową! — zawołałem. — Chwilami masz w sobie coś stanowczo nieludzkiego.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Nie trzeba dopuścić do tego, by na sąd nasz wpływały zalety osobiste, to rzecz pierwszorzędnej wagi. Klient jest dla mnie tylko zwyczajną jednostką, czynnikiem w zagadce. Zalety, wywołujące wrażenie, są wrogami jasnego rozumowania. Zapewniam cię, że najbardziej, najbardziej ujmująca kobieta, jaką znałem, została powieszona za otrucie trojga małych dzieci, bo były ubezpieczone, a naj-

bardziej odrażający mężczyzna z pośród moich znajomych jest filantropem, który wydał prawie ćwierć miliona na ubogich Londynu.

— W tym wypadku wszelako...

— Nie robię nigdy wyjątków. Wyjątek zbija regułę. Czy miałeś kiedy sposobność studjowania charakteru na podstawie pisma? Co wnosisz z bazgraniny tego jegomościa?

— Pismo jest czytelne i regularne, — odparłem. — To człowiek, mający przyzwyczajenia handlowca i pewną siłę charakteru.

Holmes potrzęsnał głową.

— Spójrzj na jego długie litery, — rzekł. — Zaledwie się wznoszą ponad zwykłą linię. To *d* może być *a*, a to *l* można wziąć za *e*. Ludzie z charakterem zawsze należycie zaznaczają długie litery, choćby zresztą pisali bardzo niewyraźnie. W jego *k* przebija się wahanie, a duże litery wykazują pewną godność. Wychodzę teraz. Chcę zasięgnąć pewnych wiadomości. Polecam ci tę książkę... jedna z najlepszych, jakie kiedykolwiek napisano... „Męczeństwo człowieka“ Winwood’a Reade’a. Wrócę za godzinę.

Siedziałem w oknie, trzymając książkę w rękę, ale myśli moje odbiegły daleko od śmiałych twierdzeń filozoficznych jej autora. Zajęte były naszą klientką... jej uśmiechem, głębokim, dźwięcznym tonem jej głosu, szcze-

gólną tajemnicą jej życia. Jeśli miała lat siedemnaście, gdy znikł jej ojciec, musi mieć teraz dwadzieścia siedem... ponętny wiek, w którym młodość traci już swoją nieświadomość i staje się trzeźwiejsza, dzięki doświadczeniu. Siedziałem wtedy w zadumie, aż wreszcie powstały w mej głowie myśli takie niebezpieczne, że podążyłem śpiesznie do biurka i pogrążyłem się z zapalem w jakimś podręczniku patologji.

Jak ja, ubogi chirurg z chorą nogą, mogłem mieć takie zuchwałe myśli? Ona jest jednostką, czynnikiem — niczem więcej. Jeśli przyszłość moja ma być smutna, lepiej stawić jej czoło, jak mężczyzna, niż usiłować rozjaśnić ją niedorzecznymi rojeniami.

### ROZDZIAŁ III.

#### Poszukiwania.

Holmes powrócił o pół do szóstej. Był wesoły, ożywiony, w doskonałym humorze, a takie usposobienie kończyło się zawsze u niego napadami najokropniejszego przygnębienia.

— Niewielka tajemnica w tem wszystkim— rzekł, biorąc filiżankę herbaty, którą dla niego nalełem, — wyjaśnienie tych faktów może być jedno.

— Co! Jużes je znalazł?

— No, tego jeszcze powiedzieć nie mogę. Wykryłem tylko fakt znamieny, a nawet *bardzo* znamieny. Szczegółów brak mi jeszcze. Przeglądając dawniejsze komplety numerów *Timesa* odnalazłem, że major Sholto z Upper Norwood, który służył w 34 pułku piechoty bombajskiej, zmarł dnia 28 kwietnia 1882 roku.

— Może to dowód głupoty z mojej strony, ale nie mogę dopatrzeć się w tej śmierci wielkiego znaczenia.

— Nie? Zdumiewasz mnie. Zastanów się

tylko. Kapitan Morstan znika. Jedynym człowiekiem, którego mógł odwiedzić w Londynie, jest major Sholto. Major Sholto twierdzi, że nie wiedział o przybyciu jego do Londynu. W cztery lata później Sholto umiera. *W tydzień po jego śmierci* córka kapitana Morstana otrzymuje cenny podarek, który się powtarza z roku na rok, a to znów kończy się listem, przyznającym, iż owa córka jest kobietą pokrzywdzoną. O jakiej krzywdzie może tu być mowa, jeżeli nie o pozbawieniu jej ojca? A dlaczego przesyłka podarków zaczyna się niezwłocznie po śmierci Sholta, jeśli nie dlatego, że jego spadkobierca zna tajemnicę i chce zło wyrządzone powetować? Czy wpadłeś może na jaką inną teorię, która odpowiadałaby tym faktom?

— Ale, co za szczególny odwet! I w jaki dziwaczny sposób zaczęły! Dlaczego napisał list teraz a nie sześć lat temu? Mówi, że zostanie wymierzona sprawiedliwość. W jaki sposób? Trudno przypuścić, że ów ojciec żyje dotąd. A ty nie wiesz przecież o żadnej innej niesprawiedliwości, jakiej się względem niej dopuszczono.

— Ciemnych punktów jest niemało, niewątpliwie—rzekł Sherlock Holmes, zamyślony— ale nasza wyprawa rozjaśni je wszystkie. A otóż i dorożka, a w niej Miss Morstan. Jesteś go-

tów? W takim razie zejdźmy lepiej, bo już trochę po szóstej.

Wziąłem kapelusz i najcięższą laskę, lecz zauważyłem, że Holmes wyjął rewolwer z szuflady i wsunął go do kieszeni. Widocznie zatem spodziewał się, że nasza wieczorna wycieczka może nam zgotować poważne niespodzianki.

Miss Morstan była otulona w ciemny płaszcz, a wyrazista jej twarz była spokojna, lecz blada. Nie musiałaby być kobietą, gdyby nie czuła pewnego zaniepokojenia z powodu niezwyklej wyprawy, niemniej panowała w zupełności nad sobą i odpowiadała uprzejmie na pytania, jakie zadawał jej jeszcze Sherlock Holmes.

— Major Sholto był bardzo blizkim przyjacielem ojca,—mówiła,—który w listach pisał dużo o majorze. I on i ojciec stali z wojskiem na wyspach Andamańskich, przebywali zatem prawie ciągle razem. Nie sądzę, żeby ten papier miał wielkie znaczenie, ale pomyślałam, że pan może zechce go zobaczyć, więc zabrałam go ze sobą. Proszę...

I podała arkusz papieru Holmesowi, a ten rozłożył go starannie i wygładził na kolanach. Następnie zaczął go oglądać po swojemu — przez lupę.

— Papier jest z krajowej fabryki indyj-

skiej, — zauważył. — Był kiedyś przyczepiony czy przybity do jakiejś deski. Znak wodny wyobraża, zdaje się, plan części wielkiego budynku z hallami, korytarzami i przejściami. W jednym miejscu jest tu mały krzyżyk, nakreślony czerwonym atramentem, a ponad nim „3.37 z lewej“, napisane ołówkiem. W lewym rogu mamy dziwaczne, jak hieroglify, cztery krzyże rzędem, których ramiona się stykają. Obok zaś, niewprawnem bardzo pismem nakreślone, wyrazy: „Podpis czterech — Jonatan Small, Mahomet Singh, Abdullah Khan, Dost Akbar“. Nie, wyznaję, że nie widzę, jaki to może mieć związek ze sprawą. Ale jest to widocznie dokument wielkiej wagi. Przechowywano go starannie w pugilaresie, jedna strona bowiem jest równie czysta, jak druga.

— Znaleźliśmy to w pugilaresie ojca.

— Niech pani schowa dobrze ten papier, bo może nam być pożyteczny. Zaczynam przypuszczać, że sprawa będzie bardziej zawikłana, niż zrazu mniemałem. Muszę skupić myśli.

Wsunął się w głąb dorożki, a ściągnięte brwi jego i osłupiałe spojrzenie wykazywało mi, że wyteżał umysł. Miss Morstan i ja rozmawialiśmy półgłosem o wyprawie i jej możliwym wyniku, a towarzysz nasz nie odezwał się już do końca naszej podróży.

Był to wieczór wrześnieowy, posępny, chmurny, obłoki gęstej, wilgotnej mgły zawisły nisko nad wielką stolicą, brudno rdzawe chmury kłębiły się zwolna nad zabloconemi ulicami. Wzdłuż Strandu latarnie stały się tylko niewyraźnem: plamami przyćmionego światła, rzucającego kręgi bladego blasku na oślizgły bruk. Od wystaw sklepowych szedł strumień żółtawego światła, oblewał posępną jasnością chodnik rojący się od ludzi i gasł w obłoku mgły wilgotnej.

W nieskończonym pochodzie twarzy — smutnych i wesolych, wynędzniałych i zadowolonych — które przesuwaly się w tych wązkich pasmach świetlanych, było dla mnie coś nadziemskiego, szły niby duchy. Podobnie jak cały ród ludzki, wyłoniły się z ciemności na światło i potem znów zapadały w ciemność. Nie jestem wrażliwy, ale ponury, mglisty wieczór łącznie z niezwykłą sprawą, jaka nas zajmowała, rozdrażnił mnie i przygnębił.

Z zachowania się miss Morstan wywnioskowałem, że i ją ogarnęło to samo uczucie. Holmes tylko był wyższy nad takie drobne wpływy. Trzymał na kolanach otwarty notatnik i od czasu do czasu pisał coś przy świetle latarki kieszonkowej.

W teatrze Lyceum ścisk był już niemały



u wejść bocznych. Przed wejście główne za-  
jeżdżał nieustający szereg dorożek i powozów,  
z których wysiadali wyfraczeni mężczyźni i wy-  
brylantowane, strojne kobiety. Zaledwie doszli-  
śmy do trzeciego filaru, miejsca naszej schadzki,  
gdy zaczął nas niski, ruchliwy brunet, w ubra-  
niu dorożkarza.

— Czy panowie przychodzą z miss Mor-  
stan? — spytał.

— Ja jestem miss Morstan, a ci panowie  
są moimi przyjaciółmi, — rzekła.

Spojrzał na nas niezwykle przenikliwym,  
badawczym wzrokiem.

— Pani mi wybaczy, — zaczął tonem nie-  
ufnym — ale mam prosić, żeby mi pani dała  
słowo, iż żaden z towarzyszków pani nie jest  
urzędnikiem policji.

— Daję panu słowo, — odparła.

Wówczas człowiek ów gwizdnął przeraźli-  
wie, a na ten znak chłopak jakiś podprowadził  
konia z dorożką i otworzył drzwiczki. Człowiek,  
który z nami rozmawiał, siadł na kozioł, a my  
zajęliśmy miejsca wewnątrz. Zaledwie usadowi-  
liśmy się, woźnica zaciął konia i popędziliśmy  
pełnym galopem po mglistych ulicach.

Położenie stawało się coraz ciekawsze.  
Jechaliśmy do miejsca nieznanego, w nieznaney  
sprawie. Wezwanie, jakie otrzymaliśmy, było

zupełnem oszustwem — co wydawało mi się nieprawdopodobne—albo też wyprawa ta mogła się zakończyć bardzo ważnem odkryciem. Miss Morstan zachowała spokój i panowanie nad sobą. Usiłowałem rozweselić ją i rozerwać opowieściami swoich przygód w Afganistanie, ale, mówiąc szczerze, byłem sam taki zdenerwowany i taki zaciekawiony, że opowiadanie moje nie miało wielkiego sensu.

Niejednokrotnie później miss Morstan zapewniała mnie, że opowiadałem jej, między innymi, wzruszającą scenę, jak dubeltówka wsunęła łeb, wśród ciszy nocnej, do mego namiotu, a ja palnąłem do niej z młodego tygrysa! Z początku zdawałem sobie jako tako sprawę z kierunku, w jakim jechaliśmy; niebawem wszakże wobec mgły i mojej niewielkiej znajomości Londynu, oraz naszej szalenie szybkiej jazdy, zatraciłem wszelkie ślady i wiedziałem tylko, że jedziemy bardzo daleko. Sherlock Holmes wszakże orjentował się doskonale i coraz rzucał półgłosem inną nazwę, w miarę jak dorożka toczyła się mimo skwerów i skręcała w boczne ulice.

— Rochester Row,—mówił.—A teraz Vincent Square. Teraz znów wyjeżdżamy na Vauxball Bridge Road. Widocznie jedziemy w stronę Surrey. A co, nie omyliłem się. Teraz

jesteśmy na moście. Można ztąd widzieć rzekę.

Istotnie dostrzegliśmy w przelocie Tamizę i światło latarni, odbijające się w szerokiej, cichej toni. Ale dorożka nasza pędziła dalej i wnet wtoczyła się w labirynt ulic po drugiej stronie.

— Wordsworth Road — odezwał się znów nasz towarzysz. — Priory Road. Lark Hall Lane. Stockwell Place. Robert Street. Cold Harbour Lane. Nasza wyprawa nie prowadzi nas do dzielnic wielkoświatowych, jak widzę.

Istotnie wjechaliśmy w okolicę osławioną i niezbyt bezpieczną. Długie szeregi posepnych koszarowych kamienic, przerywane były na rogach ulic jaskrawo oświetlonymi domami rozrywek. Potem ujrzeliśmy rzędy dwupiętrowych willi, z miniaturowymi ogródkami od frontu, a następnie zaczęły się znów nieskończone szeregi nowych wielkich kamienic — ramiona polipa, któremi olbrzymia stolica ogarniała coraz większe przestrzenie wsi.

Nareszcie dorożka zatrzymała się przed trzecim domem nowej zupełnie dzielnicy. Zaden z domów dokoła nie był zamieszkanym, a w tym, przed którym stanęliśmy, panowała taka sama ciemność jak w sąsiednich; w oknie kuchennym tylko jaśniało światelko. Zastuka-

liśmy do drzwi i niezwłocznie otworzył je nam służący, Indus, ubrany w żółty turban i białe, luźne szaty, przepasane żółtą szarfą. Ta wschodnia postać w ramach najpospolitszych drzwi trzeciorzędnego domu podmiejskiego, robiła wrażenie wprost śmieszne.

— Sahib czeka na was — rzekł, a gdy to mówił, doleciał nas z jednego z pokojów głos cienki i piskliwy.

— Wprowadź ich do mnie — wołał. — Wprowadź ich prosto do mnie.

## ROZDZIAŁ IV.

### Opowieść łysego człowieka.

Służący Indus prowadził nas przez brudny, źle oświetlony, korytarz i po chwili stanął przed drzwiami z prawej strony i otworzył je. Strumień żółtego światła padł na nas, a w tym blasku stał niski mężczyzna z bardzo dużą głową, okoloną wieńcem rudych, sterczących jak szczecina, włosów, z pośród których wystawała łysa, świecąca czaszka, niby wierzchołek góry z pomiędzy szczytów drzew. Splótłszy dłonie, wykręcał je nerwowo, a twarz jego była w ciągłym ruchu — uśmiechała się, to znów wykrzywiła, lecz nie spoczywała ani chwili. Natura obdarzyła go obwisłą wargą i zbyt widocznym szeregiem zębów żółtych nierównych, które napróżno usiłował ukryć, przesuwając co chwila dłonią po dolnej części twarzy. Pomimo uderzającej łysiny, robił wrażenie człowieka młodego i w istocie skończył dopiero lat trzydzieści.

— Kląniam uniżenie, miss Morstan — po-

wtarzał cienkim, piskliwym głosem. — Kłaniam uniżenie, panowie. Proszę, niech państwo raczą wejść do mego małego sanktuarjum. Nie duże ono, miss, ale urządzone według mego upodobania. Oaza artystyczna wśród tej rozpaczliwej pustyni, jaką jest Londyn południowy.

Na widok pokoju, do którego nas tak zapraszał, stanęliśmy zdumieni. W tym ponurym brudnym domu był on równie nie na miejscu, jak djament pierwszej wody w oprawie miedzianej. Ściany pokryte były bogatymi makatami, o przepysznych barwach, tu i owdzie uniesionymi dokoła obrazu we wspaniałych ramach, lub wschodniego wazonu. Podłogę zaścielał kobierzec, barwy żółtej i czarnej, taki miękki i puszysty, że nogi tonęły w nim jak we mchu. Dwie skóry tygrysie, rzucone na dywan, potęgowały jeszcze wrażenie panującego dokoła wschodniego zbytku. Lampa srebrna, w kształcie gołębia, zwieszała się na niewidzialnym prawie sznurze złotym na środku pokoju, a paląc się, roznosiła woń delikatną i aromatyczną.

— Tadeusz Sholto brzmi moje nazwisko— odezwał się znów mały jegomość, krzywiąc się i uśmiechając. — Pani oczywiście jest miss Morstan, a ci panowie...

— Pan Sherlock Holmes, dr. Watson.

— Doktor, co? — zawołał wzburzony. —

Czy pan ma ze sobą stetoskop? Czy mogę pana prosić... nie zechciałby pan łaskawie? Mam poważne wątpliwości co do całości zastawek sercowych; o aortę się nie boję, ale radbym usłyszeć zdanie pana o zastawkach.

Przyłożyłem ucho do jego piersi, lecz nie mogłem dosłuchać się niczego, stwierdziłem tylko, że był w istnym paroksyzmie trwogi, bo drżał od stóp do głowy.

— Są zupełnie normalne — rzekłem. — Nie ma pan powodu do obawy.

— Pani wybaczy mój niepokój — rzekł, zwracając się do miss Morstan. — Jestem bardzo cierpiący i oddawna miałem podejrzenia co do tego serca. Szczęśliwy jestem, że są nieuzasadnione. Gdyby ojciec pani, miss Morstan, oszczędzał swoje serce, żyłby jeszcze teraz.

Byłbym mógł go spoliczkować, tak mnie oburzyło to odezwanie się nielitościwe i brutalne. Miss Morstan usiadła, a twarz jej pokryła się śmiertelną bladością.

— Przeczuwałam, że nie żyje, — rzekła zdławionym głosem.

— Mogę pani dać wszelkie informacje — odparł — a, co więcej, mogę pani wynagrodzić wyrządzoną krzywdę. Mogę i chcę, bez względu na to, co powie brat Bartłomiej. Rad jestem bardzo, że pani przyjaciele są tutaj, nietylko

dlatego, że pani towarzyszą, ale i dlatego, iż będą świadkami tego co uczynię i powiem. We trzech możemy śmiało stawić czoło bratu Bartłomiejowi. Lecz nie chcę obcych... ani policji, ani urzędników. Możemy wszystko załatwić sami, bez niczyjej pomocy. Nic tak nie rozdrażni brata Bartłomieja, jak rozgłos.

Usiadł na niskim stołku i bladoniebieskimi, małemi oczyma spoglądał na nas badawczo.

— Co do mnie, — odezwał się Holmes, — może pan być pewien, że cokolwiek pan powie zachowam dla siebie.

Skinałem głową na znak, że przystaję również na ten warunek.

— To dobrze! To bardzo dobrze! — zawołał. — Czy mogę pani służyć kieliszkiem *china-ti*? a może pani woli tokaj? Nie trzymam innych win. Czy mam otworzyć butelkę? Nie?... A więc spodziewam się, że pani nie będzie miała nic przeciw dymowi tytóniu wschodniego. Jestem trochę zdenerwowany, a palenie stanowi dla mnie nieporównany środek uspokajający.

W rogu na macie stała wielka *narghileh* \*), p. Sholto zapalił ją i wnet dym przedostał się do kuli szklanej, w której zabulgotała różana woda. Siedzieliśmy we troje półkolem z głowa-

\*) Długa fajka z kulą szklaną do wody, używana na Wschodzie

(Przyp. tłum.):



mi naprzód wysuniętymi, z podbródkiem, opartym na dłoni, a dziwaczny ruchliwy człowieczek, o wysokiej lśniącej czaszce, zajmwszy miejsce pośrodku, puszczał niespokojnie kłęby dymu.

— Gdy postanowiłem powiedzieć pani wszystko, — zaczął wreszcie — powinienem był przesłać swój adres, obawiałem się wszakże, iż pani nie uwzględni mej prośby i przyprowadzi ze sobą jakich niemiłych ludzi. Dlatego pozwoliłem sobie pokierować sprawę tak, żeby mój służący, Williams, najpierw panią zobaczył. Ufam najzupełniej jego dyskrecji, a miał rozkaz polecający mu cofnąć się, gdyby warunki moje nie były dotrzymane. Wybaczy mi pani tę ostrożność, ale jestem człowiekiem upodobań wybrednych, lubiącym spokój, a niema nic nieestetyczniejszego niż policjant. Mam wstręt wrodzony do brutalnego materializmu. Rzadko kiedy stykam się z tłumem. Żyję, jak pani widzi, w atmosferze pewnej wytworności. Mogę nazwać siebie mecenasem sztuk pięknych. To moja słabość... Ten krajobraz tam, to oryginalny Corot, a jakkolwiek znawca będzie może powątpiewał o autentyczności tego Salvatora Rosy, tamten Bouguereau jest po za obrębem wszelkiej dyskusji. Wielki ze mnie zwolennik nowoczesnej szkoły francuskiej.

— Zechce mi pan wybaczyć, panie Shol-

to — przerwała miss Morstan — ale przybyłam na pańskie wezwanie dlatego, że pan ma mi coś do powiedzenia. Jest już bardzo późno i radabym, żeby mój pobyt tutaj był możliwie krótki.

— W najlepszym razie potrwa czas jakiś — odparł — bo będziemy musieli pojechać do Norwood, do brata Bartłomieja. Pojedziemy wszyscy i zobaczymy, czy mu damy radę. Okropnie zły na mnie za to, że postanowiłem postąpić tak, jak mi się wydało słusznie. Pokłóciliśmy się nawet wczoraj wieczór. Nie macie państwo pojęcia jaki on straszny, gdy w gniew wpadnie.

— Jeśli mamy jechać do Norwood, lepiej by może zabrać się zaraz, — ośmieliłem się zauważyć.

P. Tadeusz Sholto zaśmiał się tak serdecznie, że aż mu uszy poczerwieniały.

— Ładnie wyglądalibyśmy — zawołał. — Nie mam pojęcia, do czego brat Bartłomiej byłby zdolny, gdybym was tak nagle wprowadził. Nie, muszę państwa przygotować do tego spotkania i objaśnić nasz wzajemny stosunek. Przedewszystkiem uprzedzam, że są w tej całej sprawie rzeczy i dla mnie zupełnie ciemne. Mogę państwu opowiedzieć tylko te fakty, które mi są wiadome.

„Ojcem moim był, jakeście się już domy-

ślili, major John Sholto, który służył niegdyś w armji indyjskiej. Przed laty jedenastu podał się do dymisji, a powróciwszy do kraju, zamieszkał tu, w Pondichery Lodge, w Upper Norwood. Zrobił majątek w Indjach i przywiózł ze sobą znaczny kapitał, duży zbiór kosztownych osobliwości i służbę induską. Posiadając takie środki, kupił dom i żył, otoczony wielkim zbytkiem. Brat Bartłomiej, mój bliźniak, i ja byliśmy jego jedynemi dziećmi.

„Pamiętam doskonale sensację, jaką wywołało zniknięcie kapitana Morstana. Czytaliśmy skwapliwie wszelkie wiadomości, podawane przez gazety, a wiedząc, że był przyjacielem naszego ojca, rozprawialiśmy z całą swobodą o tym wypadku w jego obecności, on zaś wtórował naszym domysłom i wnioskom. Ani przez chwilę jedną nie przypuszczaliśmy, że ukrywał w głębi duszy tajemnicę, że on tylko wiedział, co się stało z Arturem Morstanem.

„Wiedzieliśmy jednak, że jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo wisi nad naszym ojcem. Bał się wychodzić sam i wynajmował na stróżów w Pondichery Lodge dwóch zawodowych siłaczów. Jednym z nich był Williams, który was tu dziś wieczór przywiózł. Zdobył on raz w walce mistrzostwo w Anglji. Ojciec nigdy nie chciał nam powiedzieć, czego się obawiał właściwie,

ale miał najwyraźniejszy wstręt do ludzi z drewnianą nogą. Pewnego razu strzelił poprostu do człowieka, który miał jedną nogę drewnianą a był, jak się okazało, niewinnym kramarzem. Musieliśmy wtedy zapłacić znaczną sumę, żeby tę sprawę załagodzić. I brat i ja byliśmy przekonani, że ta obawa to fantazja ojca, ale on sam wprowadził nas z błędu.

„W początkach r. 1882, ojciec otrzymał list z Indji, który zrobił na nim niesłychane wrażenie. Otworzywszy go przy śniadaniu, omal nie zemdlął i od tego dnia zaczął coraz bardziej podupadać na zdrowiu. Co list ów zawierał, nie dowiedzieliśmy się nigdy, ale, gdy go czytał, dostrzegłem, że był krótki i pisany niewprawną ręką. Ojciec cierpiał od lat wielu na powiększenie śledziony, a teraz stan jego pogarszał się szybko i w końcu kwietnia zawiadomiono nas, że dogorywa i że chce nam przed śmiercią coś powiedzieć.

„Gdy weszliśmy do pokoju, siedział podparty poduszkami, oddychając ciężko. Kazał nam zamknąć drzwi na klucz i stanąć po obu stronach łóżka. Poczem, schwyciwszy każdego z nas za rękę, uczynił nam zdumiewające wyznanie, głosem, przerywanym zarówno wzruszeniem jak i cierpieniem. Postaram się powtórzyć jego własne słowa.

„ — Jedna rzecz tylko — mówił — cięży mi na sercu w tej ostatniej chwili mego życia: postępowanie moje z sierotą po biednym Morstanie. Pod wpływem przekłętej chciwości, która trawiła mnie całe życie, ukryłem przed nią skarb, co jej się należał przynajmniej w połowie. I sam jednak nie korzystałem z niego, zaślepiony, opętany przez skąpstwo. Samo uczucie posiadania było mi takie drogie, że nie mogłem się zdecydować na dzielenie skarbu z kimkolwiek. Spójrzcie na ten różaniec z pereł obok butelki z chiną; nawet z nim nie mogłem się rozstać, jakkolwiek wyjąłem go z myślą postania sierocie. Synowie moi, dacie jej znaczną część skarbu z Agry, ale dopóki ja żyję nie posyłajcie jej nic, nawet różańca. Zdaje się, że ludzie bywali tacy śmiertelnie chorzy jak ja i powracali do zdrowia.

„ — Opowiem wam szczegóły śmierci Morstana — ciągnął dalej. — Od wielu lat już chory był na serce, lecz ukrywał to przed wszystkimi, ja jeden wiedziałem o jego cierpieniu. Będąc w Indjach doszliśmy, dzięki niezwykłym okolicznościom, do posiadania znacznego majątku, który przywiozłem do Anglii, a Morstan, powróciwszy, tego samego wieczora zjawił się u mnie, żądając swojej części skarbu. Przyszedł prosto z dworca kolejowego i wpuścił go mój

wierny stary, Lal Chowdar, który już nie żyje. Gdy przyszło do podziału, poróżniliśmy się z Morstanem, unieśliśmy się obaj; Morstan w pasji zerwał się z krzesła i nagle przycisnął dłoń do piersi; twarz jego pokryła się śmiertelną bladością i padł na wznak, rozcinając głowę o brzeg skrzynki ze skarbem. Pochyliłem się nad nim i spostrzegłem z przerażeniem, że nie żyje.

„— Oszolomiony, nawpół przytomny, siedziałem czas jakiś, rozmyślając nad tem co począć. Zrazu naturalnie chciałem wzywać pomocy, ale wnet uprzytomniłem sobie, iż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zostanę oskarżony o zamordowanie przyjaciela. Śmierć jego w chwili kłótni i rana w głowie starczą za dowody obciążające. A potem śledztwo urzędowe nie mogłoby być przeprowadzone bez wykrycia pewnych faktów, dotyczących skarbu, na których ukryciu zależało mi niesłychanie. Morstan, przybywszy, powiedział mi, że nikt na świecie nie wie, dokąd poszedł. Nie było zatem potrzeby, żeby ktokolwiek dowiedział się o tem.

„— Zajęty temi myślami, podniosłem wzrok i ujrzałem we drzwiach sługę swego, Lal Chowdara. Wsunął się i zamknął drzwi na klucz. „Nie obawiajcie się, sahib“, rzekł, „nikt nie ma potrzeby wiedzieć, żeście go zabili.

Schowajmy go, a kto się domyśli“? „Ja go nie zabiłem“, rzekłem. Lal Chowdar potrząsnął głową i uśmiechnął się. „Słyszałem wszystko, sahib“, odparł, „słyszałem kłótnię, słyszałem odgłos ciosu. Ale usta moje są zamknięte. Wszyscy śpią w domu. Wynieśmy go razem“.

„— To wpłynęło na moje postanowienie. Jeśli mój własny służący nie uwierzył w moją niewinność, to jakże mogłem się łudzić, że jej dowiodę wobec dwunastu głupich kupców, zasiadających na ławie przysięgłych? Ukryłem tedy zwłoki, przy pomocy Lal Chowdara, a w kilka dni później dzienniki angielskie pełne były wiadomości o tajemniczym zniknięciu kapitana Morstana. Jak widzicie, w tym wypadku nie można mnie tak bardzo potępiać. Wina moja polega na tem, że ukryliśmy nietylko zwłoki, ale i skarb, i że przywłaszczyłem sobie część, należącą do Morstana. Chcę zatem, abyście wynagrodzili tę krzywdę. Przysuńcie uszy do ust moich. Skarb jest ukryty...“

„W tej chwili na twarzy jego zaszła straszliwa zmiana; wytrzeszczone oczy spoglądały błędnym wzrokiem, szczeka mu opadła i wrzasnął głosem, którego nie zapomnę do końca życia: „Nie wpuszczajcie go! Na miłość boską nie wpuszczajcie go!“

„Zwróciliśmy się obaj w stronę okna,

w które utkwił wzrok obłąkany, i dostrześliśmy po za niem wyraźnie śród ciemności twarz męską, widzieliśmy nawet nos pobielaty, w miejscu, gdzie był przyciśnięty do szyby. Twarz była okolona gęstym zarostem, malował się na niej wyraz zaciętej nienawiści, a oczy spoglądały okrutnym, dzikim wzrokiem. Brat i ja rzuciliśmy ku drzwiom, ale nie znaleźliśmy już nikogo. Za powrotem zastaliśmy ojca z głową spuszczoną — nie żył.

„Przeszukaliśmy tej samej nocy jeszcze cały ogród, lecz nie było nigdzie śladu intruza; pod oknem tylko dostrześliśmy odcisk jednej stopy na klombie kwiatowym. Gdyby nie ten znak, moglibyśmy przypuszczać, że owa straszna twarz była wytworem naszej wyobraźni. Niebawem wszakże inny, bardziej zdumiewający jeszcze, dowód wykazał nam, że otaczają nas jakieś tajemnicze potęgi. Zrana zastaliśmy okno do pokoju ojca otwarte, szafy i szuflady opróżnione, a na piersi nieboszczyka dostrześliśmy przyczepioną kartkę z napisanym, bardzo niewprawną ręką, wyrazem: „*Czterej*”.

„Co ten wyraz miał znaczyć, kto był owym gościem nocnym — nie dowiedzieliśmy się dotąd. O ile nam się zdaje, nic z rzeczy ojca nie ukradziono, jakkolwiek wszystko było powyrzućcane. Obaj z bratem nie wąpiliśmy oczywiście,



że ów niezwykle wypadek był w związku z obawą, która prześladowała ojca przez całe życie; wszelako wszystko razem pozostało dla nas dotychczas głęboką tajemnicą“.

P. Sholto umilkł, zapalił ponownie narghileh i przez dobrą chwilę puszczał w zamyśleniu kłęby dymu. Siedzieliśmy również zadumani, zastanawiając się nad jego opowieścią. Słuchając skąpych szczegółów śmierci ojca, miss Morstan pobladła śmiertelnie i przez chwilę obawiałem się, że zemdleje. Nalałem szklanke wody z karafki weneckiej, która stała na małym stoliku, i podałem jej, poczem przysła do siebie.

Sherlock Holmes siedział rozparty wygodnie w fotelu, oczy miał spuszczone, a twarz jego wyrażała wielkie nateżenie myśli. P. Tadeusz Sholto spoglądał na nas kolejno, dumny z wrażenia, jakie wywarła jego opowieść; po chwili zaczął znów, puściwszy wielki kłęb dymu:

— Domyślcie się państwo — mówił — że byliśmy obaj z bratem wielce wzburzeni myślą o skarbie, o którym ojciec wspominał. Przez tygodnie i miesiące przetrząsaliśmy dom, przekopywaliśmy ogród, lecz bez żadnego skutku. Oszaleć można było na myśl, że ojciec miał na ustach tę tajemnicę, gdy go zgon za-

skoczył. O wartości owych ukrytych bogactw mogliśmy wnioskować z różańca perłowego. Ten różaniec stał się powodem sprzeczki między mną a bratem Bartłojem. Perły były widocznie wielkiej wartości; nie chciał się tedy z nimi rozstać, gdyż, mówiąc między nami, brat mój odziedziczył poniekąd przywarę ojca. Mniemał nadto, że, gdy rozstaniemy się z perłami, da to powód do plotek i w końcu wprowadzi nas w kłopot niemały. Nareszcie zdołałem go nakłonić, żeby mi pozwolił odnaleźć adres miss Morstan i posyłać jej perły, po jednej, w pewnych odstępach czasu, tak, żeby przynajmniej nigdy nie cierpiała niedostatku.

— Miał pan myśl bardzo pocziwą,— rzekła nasza towarzyszka poważnie, — dał pan dowód niezwykle dobrego serca.

P. Sholto machnął ręką lekceważąco.

— Mojem zdaniem byliśmy opiekunami pani, — rzekł, — jakkolwiek brat Bartłoj nie mógł nigdy przystać na takie pojmovanie sprawy. Sami mieliśmy pieniądze poddostatkiem. Ja więcej nie pragnąłem. Nadto, postąpienie z młodą panną w taki niegodny sposób byłoby w bardzo złym guście. „*Le Mauvais goût mène au crime*“. Francuzi umieją tak elegancko wyrażać rzeczy podobne! Różnica zdań naszych w tej sprawie zaostrzyła się tak dalece, że uwa-

załem za stosowne zamieszkać sam. Wyprowadziłem się tedy z Pondicherry Lodge, zabrawszy ze sobą starego khitmugara i Williamsa. Wczoraj wszakże dowiedziałem się, że zaszedł wypadek niesłychanej wagi. Skarb został odnaleziony. Porozumiałem się z miss Morstan i teraz pozostaje nam tylko pojechać do Norwood i zażądać naszego udziału. Zawiadomiłem brata Bartłomieja wczoraj wieczorem o swoich zamiarach, będziemy gośćmi spodziewanymi, jeśli już nie pożądanymi.

P. Tadeusz Sholto umilkł znów a i my siedzieliśmy nic nie mówiąc, zastanawiając się nad nowym zwrotem w tej tajemniczej sprawie. Holmes pierwszy zerwał się na równe nogi.

— Postąpił pan uczciwie od początku do końca, — rzekł. — Może będziemy mogli wywdzięczyć się panu poniekąd, wyświetlając jako tako te szczegóły, które są dla pana jeszcze ciemne. Ale, jak miss Morstan słusznie zauważyła przed chwilą, jest późno i powinniśmy wyruszyć w drogę, bez dalszej zwłoki.

Nowy nasz znajomy zwinął ostrożnie cybuch swojej narghileh i wydobył z za portjery bardzo długi fałdzisty płaszcz z barankowym kołnierzem i mankietami. Włożywszy ten płaszcz zapiał go, postawił kołnierz, pomimo, że wieczór był bardzo duszny, i dokończył stroju, kła-

dąc na głowę futrzaną czapkę z klapami na uszy, tak, że z całej jego postaci widać było tylko twarz ruchliwą i mizerną.

— Mam zdrowie nie tęgie, — zauważył, prowadząc nas przez korytarz, — muszę się bardzo wystrzegać.

Dorożka nasza czekała przed domem, a program naszej wycieczki był widocznie z góry ułożony, bo woźnica ruszył od razu z miejsca szybkim kłusem. Tadeusz Sholto mówił nieustannie głosem, górującym nad turkotem kół.

— Z Bartłomieja mądry ptaszek, — wywodził. — Jak się państwu zdaje, w jaki sposób wykrył, gdzie skarb był schowany? Przyszedł do wniosku, że jest gdzieś w domu; odszukał tedy wszystkie szpary w całym budynku dokonał wszędzie pomiarów, nie pominawszy ani jednego cala. Między innymi przekonał się, że wysokość budynku wynosiła siedemdziesiąt cztery stopy; tymczasem, dodając razem wysokość wszystkich pokojów pojedynczych i doliczając następnie przestrzeń między nimi, której rozmiary stwierdził przy pomocy świdra, nie mógł dojść do sumy wyższej nad stóp siedemdziesiąt. Brakło mu zatem czterech stóp, których należało, zdaniem jego, szukać jedynie pod dachem domu. Wyrąbał tedy otwór w su-

ficie najwyższego pokoju i istotnie, ponad nim, znalazł maleńką izdebkę na poddaszu, opieczętowaną, nieznaną nikomu. Na środku zaś stała na dwóch belkach skrzynka ze skarbem. Spuścił ją przez otwór i ma ją nareszcie u siebie. Bartłomiej ocenia wartość klejnotów, jakie się w niej znajdują, na nie mniej niż pół miliona funtów sterlingów.

Usłyszawszy tę olbrzymią sumę, spojrzeliśmy wzajemnie na siebie szeroko otwartymi oczami. Miss Morstan zatem, gdybyśmy zdołali dowieść jej praw, zamieniłaby się z ubogiej guwernantki na jedną z bogatszych dziedziczek w Anglii. Oczywiście, wierny przyjaciel, usłyszawszy taką nowinę, miał powód do niemałej radości; jednakże, wstydę się wyznać, samolubstwo wzięło górę w mojej duszy i serce zaciężyło mi ołowiem. Wyjąkałem kilka banalnych słów z powinszowaniem i siedziałem przygnębiony, z głową spuszczoną, głuchy na paplaninę naszego nowego znajomego.

Był on najwyraźniej skończonym hypochondrykiem; jak przez sen słyszałem, że wylizczał nieskończony szereg objawów chorobliwych i błagał o informacje, dotyczące składu i skutku przeróżnych leków; niektóre z nich nosił nawet przy sobie w pudełku skórzanem. Mam nadzieję, że nie zapamiętał

ani jednej odpowiedzi z tych, jakie mu owego wieczora dałem. Holmes zapewnia, że słyszał, jak ostrzegałem go, żeby nie zażywał więcej niż dwie krople oleju rycynowego, gdyż to środek bardzo niebezpieczny, a zalecałem natomiast strychninę w wielkich dawkach, jako środek uśmierzający. Bądź jak bądź, rad byłem, gdy dorożka, podskoczywszy w górę, stanęła, a woźnica zeszedł z kozła i otworzył drzwiczki.

— Miss Morstan, oto Pondicherry Lodge, — rzekł pan Tadeusz Sholto, podając jej rękę przy wysiadaniu.

## ROZDZIAŁ V.

### Tragedja w Pondicherry Lodge.

Była już blisko jedenasta, gdy dotarliśmy do ostatecznego celu naszej nocnej wycieczki. Wilgotna mgła i wielka stolica pozostały za nami, noc wypogodziła się. Z zachodu wiał ciepły wiatr, ciężkie chmury snuły się leniwie po niebie, a od czasu do czasu półksiężyc wyzierał po przez szczeliny w obłokach. Było dość jasno, tak, że widzieliśmy drogę przed sobą, ale Tadeusz Sholto wziął jedną z bocznych latarni dorożki i świecił nam.

Pondicherry Lodge stał na własnym gruncie, otoczonym bardzo wysokim murem. Jedyne wejście stanowiły wąskie drzwi, okute żelazem. Do tych to drzwi zastukał w sposób odrębny nasz przewodnik.

— Kto tam? — odezwał się szorstki, gruby głos z wewnątrz.

— To ja, Mc Murdo. Powinieneś już poznać moje stukanie.

Dobiegły nas mrukliwe dźwięki i brzęk

kluczy. Drzwi cofnęły się ciężko i ujrzeliśmy w nich człowieka krępego, barczystego, o szerokiej piersi, z oświetloną żółtym blaskiem latarni, naprzód podaną, twarzą, który patrzył na nas badawczym, nieufnym wzrokiem

— To pan, panie Tadeuszu? Ale reszta, kto to? Pan nie wydał mi żadnych rozkazów i nic mi o nich nie mówił.

— Nie? Bardzo się dziwię! Powiedziałem wczoraj wieczór bratu, że przyprowadzę ze sobą kilku przyjaciół.

— Nie wychodził dziś przez cały dzień z pokoju. Panie Tadeuszu, nie mam żadnych poleceń, a pan wie dobrze, że muszę się trzymać rozkazów. Pana mogę wpuścić, ale przyjaciele pańscy muszą pozostać, gdzie stoją.

Była to zupełnie niespodziewana przeszkoda. Tadeusz Sholto spoglądał dokoła, zaniepokojony, nie wiedząc co począć.

— Mc Murdo, to bardzo brzydko z twojej strony! — rzekł. — Ja za nich ręczę, a to powinno ci wystarczyć. Patrz, jest z nami młoda panna. Przecież ona nie może stać na ulicy o tej godzinie.

— Bardzo mi przykro, panie Tadeuszu, — odparł nieubłagany odźwierny. — Ci państwo mogą być pańskimi przyjaciółmi, co jeszcze nie dowodzi, że są przyjaciółmi mojego pana.



Pan płaci mi dobrze za spełnianie moich obowiązków, więc ich zaniedbywać nie będę. Nie znam żadnego z tych pańskich przyjaciół.

— O, przeciwnie, Mc Murdo, znacie! — zawołał Sherlock Holmes wesoło. — Nie przypuszczam, żebyście mnie mogli zapomnieć. Nie pamiętacie amatora, który zmierzył się z wami trzy razy w lokalu Alisona, w wigilję waszego benefisu przed czterema laty?

— Co, może to pan Sherlock Holmes?! — ryknął bokser. — Dalibóg! Jakem ja mógł nie poznać pana? Gdyby pan, zamiast tak stać spokojnie zdaleka, podszedł był do mnie i wsadził mi, po swojemu, kułaka pod szczękę, byłbym pana poznał odrazu. O, pan się zmarnował! takie zdolności! Mógłby pan zejść bardzo daleko, gdyby je pan był wyzyskał.

— Widzisz, Watsonie, jak mi się już nie powiedzie, zawsze jeszcze ten jeden zawód naukowy stoi przedemną otworem, — rzekł, śmiejąc się, Holmes. — No, teraz mam nadzieję, że nasz przyjaciel nie będzie nas tu trzymał na zimnie.

— Wejdz pan, proszę, wejdz pan... i pan i pańscy przyjaciele, — odparł. — Bardzo mi przykro, panie Tadeuszu, ale mam takie surowe rozkazy... Musiałem się upewnić co do pańskich przyjaciół, zanim ich wpuściłem.

Posypana żwirem kręta ścieżka prowadziła przez pusty obszar do dużej, kwadratowej, pozbawionej wszelkiej ozdoby, kamienicy, która pogrążona była w cieniu; blask księżyca tylko padał na jeden róg i oświetlał jedno okno. Widok wielkiego gmachu, w którym panowała ciemność i śmiertelna cisza, sprawiał przygnębiające wrażenie. Nawet Tadeusz Sholto był widocznie rozdrażniony, bo latarnia drżała i chwiała się w jego rękę.

— Nie rozumiem doprawdy, — rzekł. — Musi w tem być jakaś pomyłka. Powiedziałem wyraźnie Bartłomiejowi, że przyjdziemy, a mimo to w jego oknie niema światła. Nie wiem jak sobie to wytłómaczyć.

— Czy on zawsze strzeże w ten sposób swojej posiadłości? — spytał Holmes.

— Tak; zachował zwyczaje ojca. Był jego ulubionym synem, widzi pan i coś mi się zdaje, że ojciec zwierzył mu się z niejednego, o czem mnie nie wspominał nawet. Tam, gdzie pada księżyc, to okno Bartłomieja; jest zupełnie jasne, ale zdaje mi się, że wewnątrz światła niema.

— Nie, niema, — potwierdził Holmes. — Ale widzę blask światła w okienku przy drzwiach.

— To pokój gospodyni. Tam rezyduje

stara pani Bernstone. Ona nam wszystko wyjaśni. Ale może państwo zechcą poczekać tu parę minut, bo, jeśli wejdziemy wszyscy razem, a ona nie została uprzedzona o naszym przyjsciu, przelęknie się. Ale... cicho! a to co?

Podniósł w górę latarnię, a ręka jego dygotała tak silnie, że kręgi światła skakały dookoła nas zygzakowatym ruchem. Miss Morstan schwyciła mnie za rękę i staliśmy wszyscy z zapartym oddechem i wyężonym słuchem. Z wielkiego czarnego gmachu dobiegł nas, rozdzierając ciszę nocną, dźwięk rozpaczliwie smutny i żalony — przejmujące zawodzenie przerażonej kobiety.

— To pani Bernstone, — rzekł Sholto. — Oprócz niej, niema tu innej kobiety. Poczekaćcie tutaj. Wrócę za chwilę.

Pośpieszył do drzwi, zastukał w swój specjalny sposób i ujrzeliśmy wysoką, starą kobietę, która, otworzywszy mu, krzyknęła z radości.

— Ach, panie Tadeuszu, jakam ja szczęśliwa, że pan przyszedł! Taka jestem szczęśliwa, że pan przyszedł!

Słyszeliśmy jak powtarzała raz jeszcze, że jest wielce uradowana, potem drzwi się zamknęły, a głos jej skonał w nieuchwytnym już dla nas szepcie.

Przewodnik nasz pozostawił nam latarnię. Holmes powiódł nią zwolna dokoła i przyglądał się bystro domowi, oraz wielkim stosom śmieci, sterczącym ze wszystkich stron. Miss Morstan i ja staliśmy obok siebie, a jej dłoń spoczywała w mojej. Szczególne ło, niewytłomaczone uczucie miłość! Oto my dwoje, którzy nie dzieliśmy się dotąd nigdy, którzy nie zamieniliśmy ze sobą jednego czułego słówka, ani nawet spojrzenia, w godzinie niepokoju stanęliśmy przy sobie, a dłonie nasze, instynktownie, szukały się wzajemnie. Później nieraz zastanawiałem się i zdumiewałem nad tem, ale w danej chwili rzeczą najnaturalniejszą wydał mi się ten mój popęd do niej, ona zaś mi mówiła niejednokrotnie, że i jej instynkt nakazywał zwrócić się do mnie po radę i opiekę. Staliśmy tedy, trzymając się za ręce, jak dwoje dzieci, a w sercach naszych panował błogi spokój, pomimo ciemnej, tajemniczej atmosfery, jaka nas otaczała.

— Co za szczególna miejscowość! — rzekła miss Morstan, rozglądając się dokoła.

— Zdawałoby się, że wszystkie krety w całej Anglii urządziły tu najście. Widziałem coś podobnego na stoku wzgórza w pobliżu Ballaratu, gdzie pracowali poszukiwacze złota.

— Przyczyna jest tutaj ta sama, — rzekł Holmes. — To wszystko są ślady poszukiwaczy

skarbu. Nie zapominaj, że szukali go przez lat sześć. Nic dziwnego, że cały ten obszar pełen jest dolów i nasypów.

W tejże chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich Tadeusz Sholto, z wyciągniętymi rękoma, patrząc wylekłym wzrokiem.

— Coś się stało Bartłomiejowi! — krzyknął. — Jestem przerażony! Moje nerwy, ach, moje nerwy!

Istotnie był nawpół przytomny ze strachu a ruchliwa, blada twarz jego, wychylająca się z wielkiego kołnierza barankowego, miała bezbronny, błagalny wyraz wystraszonego dziecka.

— Wejźmy do domu, — rzekł Holmes swoim suchym, stanowczym tonem.

— O tak, wejźcie! — prosił Tadeusz Sholto. — Ja doprawdy nie czuję się na siłach dawać panom jakiegokolwiek wskazówki.

Poszliśmy za nim do pokoju gospodyni, położonego po lewej stronie korytarza. Stara kobieta chodziła niespokojnie, przerażona, załamując ręce.

— Pan zamknął się i nie odpowiada na moje stukanie, — wyjaśniła. — Przez cały dzień czekałam, żeby mnie wezwał, a że często lubi być sam, więc mnie to tak bardzo nie zdziwiło, ale przed godziną zdjął mnie strach, że się coś

stało, poszłam tedy na górę i spojrzałam przez dziurkę od klucza. Panie Tadeuszu, pan musi pójść na górę... musi pan pójść i sam zobaczyć. Widywałam pana Bartłomieja przez dziesięć lat w smutku i w radości, ale z taką twarzą nie widziałam go nigdy!

Sherlock Holmes wziął latarnię i poszedł naprzód. Tadeusz Sholto drżał cały i szczekał zębami; był taki wzruszony, że musiałem go wziąć pod rękę, bo nogi uginały się pod nim. Gdy szliśmy po schodach, Holmes wyjmował dwukrotnie lupę z kieszeni i przyglądał się bacznie znakom, które mnie wydawały się zwyczajnymi plamami od kurzu na macie kokosowej, jaka pokrywała stopnie, służąc za kobierzec. Holmes wchodził wolno ze stopnia na stopień, trzymał latarnię nisko i rozglądał się bystrym wzrokiem w prawo i w lewo. Miss Morstan pozostała z wylęklą gospodynią.

Trzecia kondygnacja schodów wychodziła na prosty, długi korytarz; z prawej strony na ścianie wisiała makata indyjska, w ścianie lewej było troje drzwi. Holmes szedł korytarzem tak samo wolno, bacznie się rozglądając, my zaś dążyliśmy tuż za nim, a długie czarne cienie nasze rozwłóczyły się po posadzce. Trzecie z kolei drzwi były celem, do którego zmierza-

liśmy. Holmes zastukał, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi, poczem chwycił za klamkę, usiłując drzwi otworzyć; były wszakże zamknięte od wewnątrz i to na szeroki mocny rygiel, o ile mogliśmy dostrzedz, oświetlając szparę. Klucz w zamku był przekreślony i nie zakrywał dziurki. Sherlock Holmes schylił się tedy, zajrzał i niezwłocznie wyprostował się.

— Watsonie, — rzekł widocznie wzburzony, — to jakaś piekielna sprawa. Spójrzyj-no, jak myślisz?

Schylilem się do dziurki i wnet cofnąłem się ze zgrozą. Blask księżyca wpadał do pokoju snopem tajemniczego, migocącego światła. Patrząc prosto na mnie, zawieszona jak się zdawało w powietrzu — bo poniżej dokoła wszystko tonęło w cieniu — widniała twarz — twarz naszego towarzysza Tadeusza. Ta sama wysoka, lysa czaszka, to samo pasmo rudych włosów dokoła, ta sama blada cera. Rysy wszakże zastygły w strasznym uśmiechu, w skrzywieniu potwornem, które, na tle tego cichego, skapanego w blasku księżycowym pokoju, robiło nieopisanie wstrząsające wrażenie. A twarz ta taka była podobną do twarzy naszego nowego znajomego, że odwróciłem się, by się przekonać, czy on jest istotnie z nami. W teje

chwili przypomniałem sobie, że wspominał nam, iż on i brat są bliźniętami.

— Okropność, — rzekłem do Holmesa. — Co tu począć?

— Trzeba drzwi otworzyć, — odparł i rzucił się całym ciężarem na zamek.

Zatrzeszczał, zgrzytnął, ale nie uległ. Zabrałiśmy się więc do niego wspólnymi siłami i, tym razem, otworzył się z głośnym trzaskiem, a my znaleźliśmy się w pokoju Bartłomieja Sholto.

Pokój ten urządzony był jak pracownia chemiczna. Na ścianie, wprost drzwi, wisiała półka, a na niej stały dwoma rzędami różnej wielkości butelki, stół zaś był zarzucony lampkami Bunsena, epruwetkami i retortami. W rogach stały galony z kwasami, oplecione łożyną. Jeden z nich pękł widocznie, bo wypłynął z niego strumień ciemnej cieczy, a w powietrzu unosiła się woń ostra, przypominająca zapach smoły. W jednym kącie stały schodki, wśród stołu gruzów i tynku, a nad nimi znajdował się w suficie otwór, taki duży, że człowiek, mógł przejść swobodnie. Przed schodkami leżał sznur długi i gruby.

Przy stole, na drewnianym fotelu, siedział pan domu, skulony, z głową opuszczoną na lewe ramię, z twarzą zastygłą w tym straszny,



niezrozumiałym uśmiechu. Był sztywny i zimny: widocznie nie żył już od kilku godzin. Zdawało mi się, że nietylko rysy jego oblicza, ale wszystkie członki postaci jego były powykrzywiane i powykręcane w fantastyczny sposób. Przy jego dłoni, na stole, spoczywało szczególne narzędzie — ciemny, sękaty kij, z galką kamienną, w kształcie młotka, oplecioną sznurem. Obok leżała kartka papieru, a na niej nabazgrany jakiś wyraz. Holmes spojrzął na nią i podał ją mnie.

— Patrz, — rzekł znaczącym tonem.

Przy świetle latarni odczytałem ze zgrozą: „*Caterej*“.

— Na miłość boską, co to wszystko znaczy? — spytałem

— Znaczy, że popełniono morderstwo, — odparł, pochylając się nad zmarłym — *A!*... spodziewałem się tego. Spójrzjino tutaj!

Wskazywał coś, co wyglądało jak długie, czarne cierń, wetknięte w ciało tuż nad uchem.

— To wygląda jak cierń, — rzekłem.

— Bo też to jest cierń. Możesz go wyjąć, ale uważaj... zatruty.

Uchwyciłem go dwoma palcami i wy dobyłem z taką łatwością, że pozostawił niewidoczny prawie ślad, w postaci maleńkiego sińca.

— Wszystko to razem jest dla mnie niedocieczoną tajemnicą, — rzekłem. — Sprawa, zamiast się wyjaśniać, zaciemnia się coraz bardziej.

Od chwili, w której weszliśmy do pokoju, zapomnieliśmy zupełnie o naszym towarzyszu. Stał dotąd we drzwiach, istny obraz rozpacz, załamując ręce i zawodząc. Nagle krzyknął przeraźliwie.

— Skarb znikł! — zawołał. — Okradli go ze skarbu! Oto otwór, przez który spuszczaaliśmy skrzynkę. Dopomagałem mu! Ja byłem ostatni, który go widziałem! . . . Pozostawiłem go tutaj wczoraj wieczorem, a schodząc ze schodów słyszałem, jak zamykał drzwi na klucz...

— O której godzinie?

— O dziesiątej... A teraz nie żyje i przyjdzie policja i będę podejrzany, że przyłożyłem rękę do zabójstwa... O, tak, jestem pewny, że mnie posądzą. Ale, panowie mnie przecież nie podejrzewają? Panowie nie myślicie, że to ja? Czyżbym was tu sprowadzał, gdybym to uczynił? O, Boże, Boże! Ja chyba oszaleję!

Machał rękami i tupał nogami, jak w konwulsyjnym napadzie.

— Nie ma pan żadnego powodu do obaw, panie Sholto, — rzekł Holmes łagodnie, kładąc mu dłoń na ramieniu; — usłuchaj pan

mojej rady: jedź, daj znać policji. Powiedz, że im dopomożesz we wszystkim. Zaczekamy tu, dopóki pan nie wróci.

Nieborak usłuchał, nawpół przytomny, i niebawem usłyszeliśmy, jak potykał się na ciemnych schodach.

## ROZDZIAŁ VI.

### **Sherlock Holmes działa.**

— Watsonie — odezwał się Holmes, zacie-  
rając dłonie — mamy z pół godziny czasu, sko-  
rzystajmy! Usiadźno tam, w kącie, żeby ślady  
twoich kroków nie utrudniły poszukiwań. A te-  
raz do roboty! Przedewszystkiem, jak oni we-  
szli i którędy wyszli? Drzwi nie były otwierane  
od wczoraj wieczorem. Obejrzymy okno. —  
Wziął latarnię i podszedł do okna, mówiąc gło-  
śno swoje uwagi, lecz raczej do siebie samego,  
niż do mnie.

— Okno jest zamykane od wewnątrz. Ra-  
ma mocna. Z tamtej strony niema zawiasów.  
Otwórzmy. Rynny nigdzie blisko niema. Dach  
za wysoko. A jednak ktoś wszedł oknem.  
Deszcz padał wczorajszej nocy. Tu, na para-  
pecie jest ślad od zabloconej stopy. A tutaj  
jest okrągła plama od błota... o i tu, na po-  
sadzce, i tutaj przy stole. Spójrzyj-no, Watso-  
nie! To, istotnie, wskazówki ciekawe...

Przyglądałem się okrągłym, bardzo wyraźnym plamom.

— To nie są ślady stopy,—rzekłem.

— Ale to ślad daleko dla nas cenniejszy. Jestto odcisk drewnianego kikuta. Patrz, tu, na parapecie jest ślad buta, ciężkiego buta z szerokim, metalowym obcasem, obok zaś masz odcisk grubej drewnianej pałki.

— Już wiem!... człowiek z nogą drewnianą.

— Właśnie. Ale tu był jeszcze ktoś inny... jakiś bardzo zręczny pomocnik. Czy mógłbyś się wdrapać na ten mur, doktorze?

Wyjrzałem przez otwarte okno. Jasny blask księżyca padał jeszcze na ten róg domu. Staliśmy na wysokości sześćdziesięciu stóp ponad ziemią, a gdziekolwiek spojrzałem, nigdzie nie mogłem dostrzedz nietylko oparcia dla stopy, ale nawet najmniejszej szpary w murze.

— Stanowczo niepodobna,—odparłem.

— Bez pomocy, wierzę. Ale przypuśćmy, że miałbyś tu, na górze, sprzymierzeńca, któryby ci spuścił tę mocną linę, leżącą tam, w kącie, przywiązawszy drugi jej koniec do tego wielkiego haka, tu w ścianie. W takim razie, sądzę, mógłbyś doskonale wdrapać się tutaj, choćbyś miał drewnianą nogę. Wyszedłbyś, oczywiście, w ten sam sposób, a twój pomocnik wciągnąłby napowrót linę, odwiązał ją z haka,

zamknął okno i opuścił pokój w ten sam sposób, w jaki się do niego dostał. Zaznaczyć tu muszę — dodał, wskazując linię, — że nasz jeździec z drewnianą nogą, jakkolwiek zręczny gimnastyk, nie jest zawodowym marynarzem. Dłonie ma delikatne. Dostrzegłem przez lupę niejedną krwawą plamę na linie, zwłaszcza ku końcowi, skąd wnoszę, że spuszczał się z taką szybkością, iż pościerał sobie naskórek z dłoni.

— Wszystko to bardzo piękne, — rzekłem, — ale sprawy nic a nic nie wyjaśnia; przeciwnie wzięła ją tylko. Kto był ten tajemniczy pomocnik? W jaki sposób dostał się do tego pokoju?

— Tak, ten pomocnik! — powtórzył Holmes w zamyśleniu. — Ten pomocnik jest bardzo zajmujący. Dzięki jemu cała sprawa przestaje być banalna.

— Ale, któredy wszedł? — spytałem. — Drzwi były zamknięte, okno jest niedostępne. Przez komin, co?

— Otwór jest o wiele za mały, — odpowiedział Holmes. — Rozważałem już tę możliwość.

— A więc któredy? — nalegałem.

— Nie chcesz zastosować mojej metody — rzekł, potrząsając głową. — Ileż razy powtarzałem ci, że skoro wyłączysz rzeczy niemożliwe, to, co pozostanie, *jakkolwiek nieprawdopodobne*, musi być prawdziwe? Wiemy, że nie wszedł

przez drzwi, ani oknem, ani kominem. Wiemy też, że nie mógł być ukryty w pokoju, bo ukryć się tu niepodobna. Którędy zatem wszedł?

— Przez otwór w dachu!—zawołałem.

— Ma się rozumieć. Tylko tamtędy. Jeśli zechcesz łaskawie potrzymać mi latarnię, to zajrzemy do tej izdebki na górze... do tajemniczej izdebki, w której znaleziony został skarb.

Wszedł na schodki, a schwyciwszy się oburącz belek, wskoczył na poddasze. Poczem, położywszy się na brzuchu, wyciągnął rękę po latarnię i trzymał ją, gdy ja wskoczyłem za nim.

Izdebka, w której znaleźliśmy się, miała około dziesięciu stóp na sześć. Podłoga składała się z belek, połączonych bardzo cienkim pokładem wapna z piaskiem, tak, że, chodząc, trzeba było stawiać kroki na drzewie. Mebli nigdzie żadnych, a wszędzie dokoła zalegała gruba warstwa, nagromadzonego z biegiem lat, kurzu.

— Patrz, widzisz, — rzekł Holmes, kładąc rękę na pułapie, — tu są spuszczone drzwi, prowadzące na dach; mogą je otworzyć... a oto dach śpiczasty wprawdzie, ale nie stromy. Tą drogą zatem wszedł Numer Pierwszy. Zobaczymy, czy znajdziemy jeszcze jakie inne ślady jego bytności.

Przybliżył latarnię do podłogi i dostrze-

głem, już po raz drugi w ciągu tej nocy, wyraz zdumienia na jego obliczu. Spojrzałem śladem jego wzroku i zimny dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głowy. Podłoga była pokryta śladami bosej stopy — bardzo kształtnei, ale o połowę mniejszej od stopy przeciętnego mężczyzny.

— Holmesie, — wyszeptałem z trudnością, — dziecko jest sprawcą tego ohydneho czynu.

Holmes zapanował już nad sobą.

— Miałem chwilę wahania i niepewności, — rzekł, — ale to rzecz zupełnie naturalna. Pamięć mnie zawiodła, inaczej byłbym mógł to przepowiedzieć. Niczego więcej już się tu nie dowiemy. Zejdźmy.

— No, i cóż myślisz o tych śladach, — spytałem skwapliwie, gdy znaleźliśmy się ponownie w pokoju.

— Mój drogi Watsonie, spróbuj sam trochę pomyśleć, poszukaj, — odparł z pewnym zniecierpliwieniem. — Znasz moją metodę. Zastosuj ją, a porównanie wniosków będzie ciekawe.

— Nie mogę sobie wyobrazić takich okoliczności, któreby odpowiadały tym faktom, — odparłem.

— Niebawem zrozumiesz wszystko, — rzekł. — Zdaje mi się, że tu niema już nic ważnego, ale zobaczę jeszcze.



Wydobył lupę i centymetr i suwał się po pokoju na kolanach, mierząc, porównywając, badając; zaledwie kilka cali dzieliło długi cienki nos jego od posadzki, a niewielkie, osadzone głęboko, jak u ptaka, oczy jego iskrzyły się i promieniały. Ruchy miał takie szybkie, ciche i zwinne, że nie mogłem się oprzeć myśli, jaki straszny byłby z niego przestępca, gdyby energję swoją i bystrość był obrócił przeciw prawu, zamiast zużytkować te przymioty na jego obronę! Śledząc i tropiąc, szeptał coś do siebie, a w końcu wydał głośny okrzyk radości.

— Szczęście sprzyja nam kapitalnie — rzekł. — Teraz będziemy mieli już niewiele kłopotu. Numer Pierwszy na swe nieszczęście wdepnął w kreozot. Można wyraźnie dostrzedz zarysy jego drobnej stopy tutaj, z boku tego cuchnącego strumienia. Galon pękł, jak widzisz, i kreozot wyciekł.

— I cóż ztąd? — spytałem.

— Mamy go, nic więcej — odparł Holmes. — Znam psa, który poleciałby śladem tej woni na koniec świata. Ale oto i urzędowi przedstawiciele prawa.

Z dołu dobiegł nas odgłos ciężkich kroków i dźwięk głosów; drzwi od sieni zamknęły się z trzaskiem.

— Zanim tu wejda—odezwał się Holmes—

przyłożno dłoń tu, do ręki tego nieboraka, i tu do jego nogi. Co czujesz?

— Mięśnie są twarde, jak deski — odpowiedziałem.

— Właśnie. Są w stanie niesłychanego naprężenia, przewyższającego znacznie zwykłe *rigor mortis*. W połączeniu z tym wykrzywieniem twarzy, tym uśmiechem Hipokratesowym czyli „*risus sardonicus*“, jak go nazywali pisarze starożytni, jakż podsuwa ci wniosek?

— Śmierć, spowodowaną bardzo silną trucizną roślinną — odrzekłem; — substancją, zbliżoną do strychniny, a wywołującą tężec.

— Ta sama myśl przyszła mi do głowy, skoro tylko spostrzegłem skurcz mięśni twarzowych. Wszedłszy do pokoju, zacząłem odrazu szukać drogi, którą trucizna dostała się do ustroju tego człowieka. Jak widziałeś, wykryłem cierń, rzucony z niezbyt wielką siłą w czaszkę. Zwracam ci uwagę, że miejsce, które zostało ugodzone, byłoby zwrócone ku otworowi w suficie, gdyby ten człowiek siedział w krześle wyprostowany. A teraz obejrzyj cierń.

Wziąłem go ostrożnie w rękę i przybliżyłem do światła latarni. Był długi, ostry i czarny, a koniec lśnił się, jakgdyby zastygła na nim jakaś lepka ciecz; nadto tępy był, ostrugany i zaokrąglony nożem.

— Czy to cierni angielski?— spytał Holmes.

— Nie, stanowczo.

— Mając te wszystkie dane, mógłbyś już wysnuć jaki słuszny wniosek. Ale, oto wojsko regularne, zasilki ochotnicze muszą się tedy cofnąć.

Gdy to mówił, odgłos zbliżających się coraz bardziej kroków odezwał się głośno na korytarzu i do pokoju wtoczył się ciężko okazały, bardzo tęgi mężczyzna w szarym garniturze. Twarz miał ponsową, pulchną, oczy maleńkie, spoglądające bystro z pod obrzękłych, mrugających powiek. Tuż za nim szedł inspektor w mundurze i ciągle drżący jeszcze Tadeusz Sholto.

— Oho, będzie tu robota! — krzyknął głosem ochrypłym ten, który wszedł pierwszy; — będzie tu ładna robota! Ale, co to za ludzie? Cóż to, dom pełen, jak królikarnia!

— Sądzę, że mnie pan pamięta, panie Athelney'u Jones'ie, — odezwał się Holmes spokojnie.

— Naturalnie, ma się rozumieć, że pamiętam! — odparł tamten, sapiąc. — Pan Sherlock Holmes, teoretyk. Czy ja pana pamiętam! Ależ ja nigdy nie zapomnę, jakie pan nam wszystkim palnął kazanie o przyczynach, wnioskach i skutkach w sprawie klejnotów z Bishopgate.

Coprawda naprowadził nas pan na ślad właściwy, ale przyzna pan teraz, że zawdzięczał pan to raczej szczęściu, niż trafnemu spostrzeżeniu.

— Był to poprostu wynik zdrowej logiki.

— No, no, można się przyznać, niema czego się wstydzić! Ale, co się stało? Hm, hm, kiepska sprawa! Kiepska sprawa! Fakty niezaprzeczone... tu teoria na nic. Jakie to szczęście, że wyjechałem właśnie do Norwood w innej sprawie! Byłem na stacji, jak wiadomość nadeszła. Jak pan myśli, co za powód śmierci tego człowieka?

— O, ten wypadek nie nadaje się do rozumowania, tu teoria na nic — rzekł Holmes sucho.

— Nie, nie. Jednakże nie możemy zaprzeczyć, że pan niekiedy trafia w sedno. Boże, Boże!... Drzwi zamknięte, rozumiem. Klejnoty, wartości pół miljona, skradzione. A cóż okno?

— Zamknięte; ale są ślady kroków na parapecie.

— Dobrze, dobrze... jeśli było zamknięte, ślady kroków nie mogą mieć z tem nic wspólnego. To przecież takie proste. Ten człowiek mógł umrzeć na apopleksję... ale klejnotów niema. Aha! już mam... takie błyski zdarzają mi się niekiedy. Proszę nas zostawić samych,

sierzancie i panie Sholto... pański przyjaciel może zostać... Panie Holmes, Sholto wyznał sam, że był tu wczoraj wieczór u brata. Brat umarł, rażony apopleksją, poczem Sholto wyniósł się razem ze skarbem; no, jak się panu taka teoria podoba.

— A nieboszczyk wstał z całym spokojem i zamknął drzwi od wewnątrz.

— Hm! Jest w tem zatem jakaś niedokładność. Poczekaj pan, rozważmy wszystko po kolei. Ten Tadeusz był u brata; mieli ze sobą kłótnię, to wiemy na pewno. Brat umarł, a klejnoty znikły. To wiemy również. Nikt nie widział brata od chwili, kiedy go Tadeusz opuścił, łóżko brata jest nienaruszone, nikt w niem nie spał. Tadeusz jest widocznie bardzo wzburzony. Powierzchność ma, że tak powiem, niezbyt ponętą. Jak pan widzi, zasnęłam się dokoła Tadeusza; się zaczyna zaciesniać się coraz bardziej.

— Nie zna pan jeszcze wszystkich faktów — rzekł Holmes. — Ten cień, który, mojem zdaniem, jest zatruty, był w czasie nieboszczyka, ot, tu, gdzie widać jeszcze znak. Ta kartka z tym oto napisem, leżała na stole, a obok to dziwaczne narzędzie. Jakże to wszystko zgadza się z pańską teorią?

— Potwierdza ją pod każdym względem —

odparł otyły policjant uroczyście. — Dom jest pełen osobliwości indyjskich. Tadeusz więc przyniósł to tutaj, a jeśli ta drzazga jest zatruta, mógł ją zużytkować w celach morderczych zarówno Tadeusz, jak kto inny. Kartka, to jakiś figiel, dla zmylenia śladów. Pytanie tylko, w jaki sposób Tadeusz ztąd wyszedł? Aha, naturalnie, jest otwór w suficie.

Z wielką zwinnością, jak na pokazną swoją tuszę, p. Athelney Jones wskoczył na schodki i przecisnął się na poddasze, z kąd niebawem usłyszeliśmy tryumfujący głos, którym nam oznajmił, że znalazł drzwi wychodzące na dach.

— On może nawet tam coś wykryć — uważał Holmes, wzruszając ramionami; — miewa niekiedy błyski rozumu. „*Il ny a pas de sots si incommodes, que ceux qui ont de l'esprit*”.

— A widzi pan! — zawołał Athelney Jones, ukazując się znów na schodkach; — fakty są jednak więcej warte od teorii. Mój pogląd na sprawę został potwierdzony. Na poddaszu znajdują się drzwi, wychodzące na dach i są nawpół otwarte.

— Ja je otworzyłem.

— A... doprawdy! Więc pan je sam zauważył? — Był widocznie niezadowolony z tego odkrycia. — Zresztą mniejsza o to, kto je zauwa-

żył, faktem jest, że świadczą, którądy nasz je-  
gomość się wymknął. Inspektorze!

— Jestem, panie — odzwał się głos z ko-  
rytarza.

— Proś pana Sholto tutaj... Panie Sholto,  
obowiązkiem moim jest zawiadomić pana, że,  
cokolwiek pan powie, będzie użytowane prze-  
ciw panu. Aresztuję pana w imieniu królowej,  
jako podejrzanego w sprawie śmierci brata.

— A co! Nie mówiłem panom? — krzy-  
knął nieborak, załamując ręce i spoglądając na  
nas kolejno.

— Niechaj się pan tem nie martwi, panie  
Sholto — rzekł Holmes; — zdaje mi się, że mo-  
gę ręczyć, iż oswobodzę pana od tego podej-  
rzenia.

— Niech pan nie przyrzeka za dużo, panie  
teoretyku, niech pan nie przyrzeka za dużo! —  
sapał agent śledczy. — Dotrzymanie przyrze-  
czenia może będzie trudniejsze, niż się panu  
zdaje.

— Nietylko oswobodzę jego, panie Jones,  
ale nadto ofiaruję panu w prezencie nazwisko  
i rysopis jednego z dwóch ludzi, którzy tu byli  
ubiegłej nocy. Nazywa on się Jonathan Small,  
mam wszelkie powody przypuszczać, że się nie  
mylę. Jest to człowiek niskiego poziomu umy-  
słowego, mały, żywy, brak mu prawej nogi, za-

miast której nosi drewnianą pałkę, bardzo już zużytą od strony wewnętrznej. But jego nogi ma grubą podeszew z kwadratowym nosem i żelazne okucie dokoła obcasa. Człowiek to średniego wieku, ogorzały od słońca i siedział już w więzieniu. Te wskazówki mogą się panu przydać; dodam jeszcze, że ów Small ma starty naskórek z dłoni. Drugi...

— Aha! cóż ten drugi? — spytał Athelney Jones, drwiącym tonem, jakkolwiek widziałem dobrze, iż pewność siebie, z jaką mówił Holmes, zrobiła na nim wrażenie.

— To osobliwy jegomość — odparł Sherlock Holmes, obracając się na obcasie. — Mam nadzieję, że niezadługo będę mógł przedstawić pana jednemu i drugiemu. Watsonie, proszę cię na słówko.

Wyprowadził mnie na schody.

— Ta niespodziewana przygoda — rzekł — sprawiła, że zapomnieliśmy o pierwotnym celu podróży.

— Właśnie o tem myślałem — odparłem; — miss Morstan nie powinna pozostać tutaj.

— Nie. Musisz ją odwiedzić do domu. Mieszka u pani Cecylii Forrester, w Lower Camberwell, a zatem ztąd niedaleko. Poczekał tu na ciebie, jeśli zechcesz jeszcze wrócić. A może jesteś zanadto zmęczony?



— Bynajmniej. Nie mógłbym spocząć, dopóki nie dowiem się dalszych szczegółów tej fantastycznej sprawy. Jakkolwiek niesłychane niespodzianki nocy dzisiejszej stargały mi nerwy do szczytu, niemniej chciałbym sprawę przeprowadzić z tobą do końca, skoro już wiem tyle.

— Obecność twoja będzie mi wielką pomocą — odparł. — My sobie poprowadzimy sprawę na własną rękę a temu Jones'owi pozwolimy tworzyć kombinacje, jakie tylko zechce. Gdy odwiesz miss Morstan, chciałbym, żebyś wstąpił pod № 3 na Pinchin Lane, na dole nad wodą, w Lambeth. Trzeci dom po prawej stronie należy do wypychacza ptaków; nazywa się Sherman. Zobaczysz w oknie łasicę, trzymającą młodego królika. Zastukaj, wywołaj staroego Shermana, pokłoń mu się odemnie i powiedz, że potrzebny mi jest niezwłocznie Toby. Przywieziesz go ze sobą w dorożce.

— Domyślam się, że to pies.

— Tak, ordynarny kundel, mieszaniec, obdarzony zdumiewającym węchem. Wolę mieć do pomocy Tobyego, niż cały zastęp policji londyńskiej.

— Przywiozę go zatem — odparłem. — Teraz pierwsza. Jeśli dostanę świeżego konia, mogę być z powrotem o trzeciej.

— A ja — rzekł Holmes — zobaczę, czego

zdołam dowiedzieć się od pani Berstone i słuzącego, Indusa, który, jak mi mówi pan Tadeusz, sypia na poddaszu. Potem będę obserwował metodę wielkiego Jonesa i słuchał jego niezbyt wytwornych sarkazmów. „*Wir sind gewöhnt dass die Menschen verhöhnen, was sie nicht verstehen*“. Goethe jest zawsze jędrny i dobitny.

## ROZDZIAŁ VII.

### Przygoda z beczką.

Policjanci przyjechali dorożką, w której odwoziłem miss Morstan do domu. Anielskim zwyczajem kobiet zносиła ona wszystko spokojnie napozór, dopóki musiała istocie słabszej dawać otuchy; przy przerażonej gospodyni, zastałem ją pogodną i zrównoważoną. Wszakże skoro tylko znalazła się w dorożce, najpierw zemdląła prawie, a potem wybuchnęła spazmatycznym płaczem; przygody nocne rozdrażniły ją do najwyższego stopnia. Mówiła mi później, że podczas tej naszej jazdy uważała mnie za człowieka zimnego, nieczułego. Nie domyślała się nawet, jaka walka wrzała w mej piersi, jakim wysiłkiem woli hamowałem swe uczucia.

Serce moje rwało się ku niej, podobnie jak dłoń moja ku jej dłoni poprzednio w ogrodzie. Czułem, że przez całe lata konwencjonalnego stosunku towarzyskiego, nie poznałbym tak dokładnie jej słodkiej, mężnej natury, jak przez ten jeden dzień, pełen niezwykłych wy-

darzeń. Wszelako dwie myśli powstrzymywały na mych ustach słowa miłości. Była słaba i bezbronna, wstrząśnięta do głębi serca i duszy i popełniłbym wprost nadużycie, korzystając z takiej chwili, by jej narzucać swą miłość. Nadto, co gorzej jeszcze, będzie bogata. Jeżeli poszukiwania Holmesa zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem, odziedziczy wielką fortunę. Czy to zatem ucziwie, żeby chirurg, żyjący z emerytury, wyzyskał poufałe zbliżenie, które zawdzięcza jedynie przypadkowi? Czy ona nie będzie na mnie patrzyła jak na pospolitego łowcę posagowego? Nie mogłem narazić się na podobne podejrzenie z jej strony. Ten skarb zaginiony stanął między nami, jak nieprzewyciężona przeszkoda.

Była blisko druga, gdy przybyliśmy do pani Cecylii Forrester. Służba spała już oddawna, ale pani Forrester taka była zaintrygowana niezwykle wezwaniem, jakie otrzymała miss Morstan, że czekała na jej powrót. Otworzyła nam drzwi sama; z przyjemnością wielką patrzyłem, jak ta kobieta, w średnim wieku, bardzo jeszcze przystojna, tkliwie otoczyła ramieniem kibić przybyłej i witała ją z macierzyńską czułością. Miss Morstan przedstawiła mnie, a pani Forrester poprosiła, bym wszedł i opowiedział jej nasze przygody. Wyjaśniłem jednak,

że mam jeszcze spełnić bardzo ważne polecenie i przyrzekłem święcie, że przyjdę i doniosę o wszelkich nowych odkryciach, jakie w sprawie naszej poczynimy. Odjeżdżając, rzuciłem jeszcze spojrzenie w górę i zdawało mi się, że widzę dwie, pełne wdzięku, przytulone do siebie wzajemnie postacie, drzwi napół otwarte, światło w przedsionku, palące się po za matowym kloszem, barometr i jasną klatkę schodową. Ten przelotny widok cichego angielskiego ogniska domowego, w przeciwstawieniu do ponurej, tajemniczej sprawy, która nas pochłaniała, przyniósł mi niemałą ulgę.

A im głębiej rozważałem to, co się stało, tem sprawa wydawała mi się bardziej ponura i tajemnicza. Jadąc cichemi, gazem oświetlonemi, ulicami, przebiegłem myślą cały szereg tych nadzwyczajnych wypadków. Śmierć kapitana Morstana, przesyłanie pereł, ogłoszenie, list — to wszystko wyjaśniło się już dokładnie. Wypadki te doprowadziły nas wszakże do tajemnicy głębszej jeszcze i daleko tragiczniejszej. Skarb indyjski, ciekawy dokument, znalezione w rzeczach Morstana, szczególna scena podczas śmierci majora Sholto, odnalezienie skarbu, po którym nastąpiło niezwłocznie zamordowanie tego, który go odnalazł, wielce osobliwe okoliczności, towarzyszące zbrodni, ślady kroków,

niezwykła broń, wyraz na kartce, zgodny z tym, jaki był wypisany na kartce przy majorze Sholto, wszystko to razem stanowiło istotnie labirynt, z którego człowiek, mniej szczerze od mego współlokatora przez naturę uposażony, nie znalazłby z pewnością wyjścia i, zrozpaczony, dałby za wygranę.

Pinchin Lane był to szereg odrapanych, dwupiętrowych kamienic, w niższej dzielnicy Lambethu. Stukałem niejednokrotnie pod № 3 i upłynęło sporo czasu, zanim wywołałem jakiegokolwiek wrażenie. W końcu, po za roletą, błysnęła świeca i twarz jakaś wyjrzała z górnego okna.

— Ruszaj ztąd, pijany włóczęgo! — usłyszałem. — Jeśli będziesz się jeszcze dobijał, otworzę psiarnię i wypuszczę na ciebie czterdzieści dwa psy.

— Wypuście tylko jednego, to mi starczy, bo po to właśnie przyszedłem — rzekłem.

— Precz stąd! — krzyknął ten sam głos. — Słuchaj, mam w tym koszyku mokrą ścierkę, cisnę ci ją w łeb, jeśli sobie nie pójdziesz.

— Ale ja chcę psa! — krzyknąłem.

— Jeszcze mi tu będziesz gadał! — huknął pan Sherman. — Wynoś się, bo jak powiem „trzy“, ścierka spadnie.

— Pan Sherlock Holmes... — zacząłem,

a te dwa słowa wywołały skutek natychmiastowy; okno spuściło się z trzaskiem, w minutę później drzwi były odryglowane i otwarte i stanął w nich p. Sherman, chuderlawy staruszek, w niebieskich okularach, z pochylonemi ramionami i żylastą szyją.

— Przyjaciel pana Sherlocka Holmesa — rzekł — jest zawsze mile widziany. Proszę, niech pan wejdzie. Niech się pan nie zbliża do borsuka, bo gryzie... A ty, paskudna, ty paskudna! chciałabyś skosztować tego pana! — słowa te skierowane były do kuny, która wysunęła przez kraty klatki łeb ze złemi, czerwonymi ślepiami. — Niech się pan nie boi, to tylko padalec, wypuszczam go na podłogę, bo oczyszcza mi mieszkanie z robactwa. Musi mi pan wybaczyć, że zrazu nie byłem bardzo gościnny, ale dzieciaki mi strasznie dokuczają i przechodzą umyślnie tędy, żeby mnie wywoływać. Czegóż pan Sherlock Holmes chce odemnie?

— Chcę jednego z pańskich psów.

— A! to pewnie będzie Toby?

— Tak jest, nazwał go Toby.

— Toby mieszka pod Nr. 7, tu, na lewo.

Sherman szedł wolno naprzód, wśród gromady zwierząt, które zgromadził dokoła siebie. W niepewnym bladym blasku świecy widziałem nie-

wyraźnie błyszczące, rozognione ślepia, spoglądające na nas z każdego kąta i z każdego otworu. Nawet belki nad naszemi głowami zajęte były przez jakieś dwa ptaki, które kołysały się leniwie i unosiły skrzydła, gdyż głosy nasze zakłóciły im drzemkę.

Toby był, jak się okazało, brzydkim psem, mieszańcem wyżła i ogara, z długą sierścią, obciętemi uszami i ciężkim, kaczkowatym chodem. Po chwili wahania, przyjął kawałek cukru, który mi podał stary przyrodnik, a zawarłszy w ten sposób przyjaźń, pies poszedł za mną do dorożki i, bez najmniejszego oporu, pojechał ze mną. Na zegarze jakiejś wieży była właśnie trzecia, gdy stanąłem nareszcie przed Pondicherry Lodge. Dowiedziałem się, że były bokser konkursowy, Mc Murdo, został zaarrestowany jako spółnik Tadeusza Sholto i obaj powędrowali już do urzędu policyjnego. Dwaj policjanci strzegli małej furtki, lecz, skoro tylko wymieniłem nazwisko mego przyjaciela, wpuścili mnie wraz z psem.

Holmes stał w progu, ręce miał w kieszeni i palił fajkę.

— A! masz go! — rzekł. — Dobry, dobry pies... Athelney Jones poszedł. Rozwinął niesłychaną energję, po twojem odejściu zaarrestował nie tylko naszego przyjaciela, Tadeusza, ale i odź-



wiernego i gospodynię i służącego Indusa. Jesteśmy teraz sami, tylko jeden policjant siedzi na górze. Zostaw tu psa i pójdz ze mną.

Przywiązaliśmy Tobyego do stołu w przed-sionku i weszliśmy na piętro. Pokój znaleźliśmy w takim stanie, w jakim zostawiliśmy go; po-stać nieboszczyka tylko nakryta była przeście-radłem...

— Muszę zdjąć buty i skarpetki — ode-zwał się Holmes — a ty, Watsonie, zabierzesz je ze sobą na dół. Trzeba będzie pogimnasty-kować się trochę. Umaczaj moją chustkę do nosa w kreozocie. Dosyć, to starczy. A teraz, pójdz ze mną na chwilę na strych.

Przeleźliśmy przez otwór i Holmes raz jeszcze oświetlił ślady kroków na kurzu.

— Chciałbym, żebyś się dobrze przypatrzył tym śladom — rzekł. — Czy dostrzegasz w nich co godnego uwagi?

— Są to ślady stóp dziecka albo kobiety małego wzrostu.

— Ale oprócz ich rozmiarów... Nie widzisz nic innego?

— Wydają się takie, jak każde inne.

— Bynajmniej. Spójrzj tutaj! Masz tu odcisk prawej stopy na kurzu; a teraz ja stą-pam swoją bosą stopą obok i zostawiam też od-cisk. Jaka między niemi główna różnica?

— Twoje palce są skurczone i skupione razem, a na tamtym odcisku widać wyraźnie każdy palec z osobna.

— Właśnie. O to głównie chodzi. Zapamiętajże sobie tę różnicę. A teraz, czy byłbyś łaskaw dojść tam do okienka w dachu i powąchać drewnianą framugę? Ja pozostanę tutaj, bo mam tę chustkę w ręku.

Zrobiwszy, jak mi polecono, uczułem niezwłocznie silną, ostrą woń.

— Tam właśnie postawił nogę, wychodząc. Jeśli ty możesz go tym śladem wytropić, myślę, że i Toby nie będzie miał żadnych trudności. A teraz zbiegnij na dół, odwiąż psa i przyjrzyj się sztukom Blondina.

Wyszedłem przed dom, a Sherlock Holmes wdrapał się na dach; widziałem go, jak, ni by olbrzymi żuk świecący, suwał się zwolna wzdłuż krawędzi. Znikł mi z oczu po za kominami, lecz po chwili ukazał się ponownie, a potem znów zniknął ze strony przeciwnej. Obszedłem dom dokoła i ujrzałem go siedzącego na rogu, przy rynnie.

— To ty, Watsonie? — krzyknął.

— Tak.

— To tutaj. Co to tam czarnego na dole?

— Beczka do wody.

— Odwrócona dnem do góry?

— Tak.

— Ani znaku drabiny?

— Nie.

— Niech go diabli porwą!... Tu można kark skrócić. Powiniennem przecież mózdz zejść tam, gdzie on zdołał się wdrapać. Rynny prawie niema... Ale tu jakoś idzie...

Usłyszałem szuranie nogami, latarnia zaczęła się zsuwać z muru, poczem Holmes lekким skokiem stanął na bezce, a stamtąd zeskoczył na ziemię.

— Nietrudno było pójść jego śladami — rzekł, naciągając skarpetki i buty. — Dachówki są zupełnie obluźnione; w pośpiechu zgubił ten oto przedmiot, co, jak wy, doktorzy, mówicie, potwierdza moją djagnozę.

To mówiąc, pokazał mi małą torebkę, czy też sakiewkę z kolorowego tyka, ozdobioną kilku jaskrawemi paciorkami. Kształtem i wielkością przypominała papierośnicę. Wewnątrz znajdowało się sześć cierni, ostrych z jednego końca, a zaokrąglonych z drugiego, jak ten, który zabił Bartłomieja Sholto.

— Piekielna broń! — rzekł Holmes. — Uwważaj, żebyś się nie ukłół. Jestem uszczęśliwiony, żeś to znalazł, bo zdaje się, że więcej tych cierni nie ma, a stąd mniejsza obawa, że jeden z nich znajdzie się wkrótce w twojej lub mojej

skórze. Wolałbym kulkę Martiniego, gdyby mi przyszło wybierać. Czy zdolny jesteś jeszcze do sześciomilowej wędrówki, Watsonie?

— Ma się rozumieć—odparłem.

— Noga twoja wytrzyma?

— O, naturalnie.

— A, jesteś tu, piesku!... pocziwy dobry Toby! Powąchaj, piesku, powąchaj! — i podsunął chustkę, nasyconą kreozotem pod nos psa, który stał z rozkraczonemi łapami i, wielce komicznym ruchem, przekrzywił łeb, — jak znawca, wachający „bukiet“ słynnego wina.

Następnie Holmes cisnął chustkę daleko, przywiązał mocny sznur do obroży psa i doprowadził go do beczki. Pies niezwłocznie zaszczekał głośno, poczem z nosem przy ziemi i zadartym w górę ogonem leciał śladem woni tak szybko, że musieliśmy pędzić za nim, chcąc go utrzymać na postronku.

Na wschodzie zaczęło świtać i mogliśmy już teraz widzieć na pewną odległość śród chłodnego, szarego światła. Kwadratowy, wielki dom, z czarnymi, pustymi oknami i wysokimi, nagiemi murami pozostał w tyle, ponury i groźny. Droga nasza wiodła przez niezabudowany obszar ziemi, wśród dołów i kopców, jakimi był zasiany. Cała miejscowość z porozrzucanymi stosami śmieci i nędznymi krzakami wyglądała,

jakby wyklęta, a ten pozór złowrogi odpowiadał ponurej tragedji, jaka nad nią zawisła.

Toby, zbliżywszy się do okalającego muru, zaczął lecieć tuż pod nim, skowycząc, i przystanął wreszcie w rogu, osłoniętym młodym krzakiem. W miejscu, gdzie łączyły się dwie ściany muru, wyjęto kilka cegieł, a otwory były zdeptane i zaokrąglone na dolnej krawędzi, jakby służyły często za drabinę. Holmes wszedł po tych stopniach i, wzięwszy psa odemnie, spuścił go na przeciwną stronę.

— O, patrz, tu jest odcisk ręki człowieka z drewnianą nogą — rzekł, gdy znalazłem się obok niego. — Widzisz małą plamkę krwi na białem wapieniu? Jakie szczęście, że jej deszcz nie zmył! Pomimo, iż minęła już przeszło doba od ich ucieczki, jestem przekonany, że woń kreozotu pozostała jeszcze na drodze.

Wyznaję, że miałem co do tego niemałe wątpliwości, zważywszy wielki ruch, jaki pannaowała na gościńcu. Wszelako obawy moje pierzchnęły niebawem. Toby nie zawahał się, ani zatrzymał na chwilę, lecz, kołyszając się, biegł ciągle naprzód. Najwidoczniej ostra woń kreozotu górowała nad wszystkimi zapachami.

— Nie myśl — rzekł Holmes — że powódzenie moje w tym razie zależy jedynie od tego, iż jeden z tych jegomościów wsadził przy-

padkiem nogę w kreozot. Wiem teraz już tyle, że mógłbym ich śledzić rozmaitymi sposobami. Ten wszakże jest najszybszy, a skoro szczęśliwy zbieg okoliczności nam go podsunął, przeto zawiniłbym, gdybym go zaniedbał. Niemniej fakt ten sprawił, że cały wypadek przestał już być taki zagadkowy, jak się zrazu zapowiadał. Taka sprawa mogłaby przynieść zaszczyt, gdyby nie ten zbyt widoczny wątek.

— I przynosi ci już zaszczyt niemały — rzekłem. — Zapewniam cię, Holmesie, że zdumiewam się nad środkami, jakimi dochodzisz tutaj do wyników, zdumiewam się jeszcze bardziej, niż w sprawie morderstw, popełnionych przez Jeffersona Hopea. Wypadek obecny wydaje mi się głębszy i bardziej niewytłómaczony. Jakim sposobem naprzykład mogłeś opisać z taką pewnością człowieka o drewnianej nodze?

— Phii! mój drogi chłopcze, to takie proste! Postuchaj tylko: Dwaj oficerowie, którym powierzono straż nad więźniem, dowiadują się ważnej tajemnicy o ukrytym skarbie. Niejaki Jonathan Small, Anglik, rysuje dla nich mapę. Przypomnij sobie, że widzieliśmy to nazwisko na mapie, znalezionej w rzeczach kapitana Morstana. Small podpisuje ją za siebie i swych trzech współników. Przy pomocy tej mapy obaj oficerowie, lub też jeden z nich, odnajduje

skarbu i zawozi do Anglii, nie spełniwszy, przy-  
puśćmy, jednego z warunków, pod jakimi go  
dostał. A teraz, dlaczego Jonathan Small nie  
wydobył skarbu sam? Odpowiedź nietrudna.  
Na mapie jest data z czasu, kiedy Morstan  
miał ciągłe stosunki z więźniami. Jonathan  
Small nie mógł wydobyć skarbu, gdyż i on  
i jego wspólnicy byli [więźniami, a ztąd nie  
mieli swobody ruchów...

— Ależ to jedynie przypuszczenia — za-  
uważyłem

— Przepraszam cię, to jedyna hipoteza,  
która odpowiada faktom. Zobaczmy, jak się  
z faktem zgadza. Major Sholto żyje przez czas  
pewien w spokoju, szczęśliwy z posiadania  
skarbu. Następnie otrzymuje list z Indji, który  
go przeraża. Dlaczego?

— Bo mu doniesiono, że ludzie, których  
skrzywdził, zostali uwolnieni.

— Albo uciekli z więzienia. To daleko  
prawdopodobniejsze, inaczej bowiem wiedział-  
by, kiedy kończy się ich kara i nie byłoby  
to dla niego niespodzianką. Cóż tedy czyni?  
Wystrzega się człowieka o drewnianej nodze,  
i to człowieka białego, zwracam ci uwagę, gdyż  
myli się, bierze tu za niego jakiegoś kramarza  
i strzela doń z pistoletu. Na mapie zaś jest  
tylko jedno nazwisko człowieka białego, reszta

to Indusi lub mahometanie. Ztąd też możemy twierdzić napewno, że człowiek o drewnianej nodze jest owym Jonathanem Small'em. Czy to rozumowanie wydaje ci się fałszywe?

— Nie, owszem, jest jasne i ścisłe.

— A teraz postawmy się na miejscu Jonathana Small'a i rozważmy sprawę z jego punktu widzenia. Przybywa do Anglii z podwójnym zamiarem: odzyskania tego, do czego uważa, iż ma prawo, i zemśczenia się na człowieku, który go skrzywdził. Odszukał mieszkanie Sholta i prawdopodobnie nawiązał stosunki z kimś ze służby. Nie widzieliśmy Lala Rao, którego pani Bernstone ma za człowieka złego. Small nie mógł wszakże znaleźć skarbu, bo nikt nigdy nie wiedział, gdzie był schowany, z wyjątkiem majora i jednego wiernego sługi, który umarł. Nagle Small dowiaduje się, że major konę. Zdjęty trwogą, iż tajemnica umrze wraz z nim, biegnie, niepamięć, że może być schwytany, dostaje się pod okno konającego i jedynie obecność jego dwóch synów wstrzymuje go od wejścia. Ogarnięty wszakże szałem nienawiści do nieboszczyka, wchodzi do pokoju nocą, przetrząsa jego papiery prywatne w nadziei, że znajdzie jakąś notatkę, dotyczącą skarbu i w końcu zostawia ślad swojej wizyty w jednym wyrazie, na kartce napisanym.



Uplanował sobie prawdopodobnie z góry, że, gdyby zamordował majora, pozostawi jaką pamiątkę na zwłokach, jako znak, że nie jest to zbrodnia pospolita, lecz, z punktu widzenia czterech współników, coś w rodzaju wymiaru sprawiedliwości. Fantastyczne, dziwaczne urojenia tego rodzaju zdarzają się dość często w rocznikach kryminalnych. Czy ci się to wydaje jasne?

— Najzupełniej.

— A potem, cóż mógł Jonathan Small uczynić? Mógł tylko mieć potajemny nadzór nad usiłowaniami, skierowanemi do odnalezienia skarbu. Prawdopodobnie opuszcza Anglję i przyjeżdża tu od czasu do czasu. Następuje odnalezienie strychu, o czem Small zostaje niezwłocznie zawiadomiony. Ponownie okazuje się widoczny ślad sprzymierzeńca w domu. Jonathan, ze swą drewnianą nogą, nie może oczywiście dostać się do, położonego na piętrze, pokoju Bartłomieja Sholto. Bierze wszakże ze sobą jakiegoś niezwyklego spółnika, który pokonywa tę trudność, lecz macza bosą stopę w kreozocie, [z]kąd wynika potrzeba pomocy Tobyego i sześciomilowa wycieczka dla oficera na pół żołądziej, z uszkodzonym ścięgnem Achillesa.

— Ale morderstwo popełnił spółnik, nie Jonathan.

— Tak jest. I to, ku rozpaczcy Jonathana, sądząc po sposobie, w jaki tupił nogami, gdy wszedł do pokoju. Nie miał żadnego żalu do Bartłomieja Sholto i byłby wolął związać go poprostu i zakneblować mu usta. Nie zamierzał bynajmniej podsuwać własnej głowy pod stryczek. Wszelako nie było rady: dzikie instynkty jego towarzysza wybuchnęły i trucizna zrobiła swoje. Jonathan Small tedy pozostawił swoją pamiątkę, spuścił skrzynkę ze skarbem przez okno i sam udał się jej śladem. Oto przypuszczalny, zdaniem mojem, bieg wypadków. Co zaś do powierzchowności osobistej Small'a, to musi on być w średnim wieku i musi być ogorzały, skoro odbył swoją służbę w takim piecu jak Andamany. Wzrost jego łatwo da się wywnioskować z długości kroku, a wiemy też, że ma pełny zarost. Bujność owłosienia jego właśnie uderzyła nadewszystko Tadeusza Sholto, gdy go ujrzał pod oknem. Myślę, że to już wszystko.

— A spółnik?

— O, i tu tajemnica niezbyt zawikłana. Ale dowiesz się niebawem wszystkiego. Jakie to powietrze poranne rozkoszne! Spójrzyj... ta drobna chmurka powiewa, niby różowe pióro jakiegoś olbrzymiego flaminga... Teraz purpurowy brzeg słońca wsuwa się na ławę chmur

londyńskich... Przyświeca ono tysiącom ludzi, ale ręczę, że nikomu, kto by miał tak szczególne zadanie do spełnienia, jak ty i ja. Jakże małymi wydajemy się z naszymi błahymi ambicjami i walkami wobec potężnych, żywiołowych sił przyrody! Czy znasz dobrze Jean Paula?

— Dosyć. Powróciłem do niego przez Carlyle'a.

— To znaczy śledzić brzeg strumienia w dół, do jeziora rodzinnego. Jean Paul rzucił jedno ciekawe a głębokie spostrzeżenie. A mianowicie, że główny dowód istotnej wielkości człowieka polega na jego uznaniu własnej małości. Wykazuje to, widzisz, zdolność porównania i oceny, która sama w sobie jest dowodem niepospolitego umysłu. Czy masz ze sobą pistolet, co?

— Mam kij.

— Bardzo być może, iż będzie nam potrzebny, jeśli się dostaniemy do ich legowiska. Jonathana zostawię tobie, ale, gdyby tamten zaczął wojować, zastrzelę go na miejscu.

Mówiąc to, wyjął rewolwer, nabił go i schował do bocznej prawej kieszeni żakietu.

Szliśmy, prowadzeni przez Tobyego, drogami, nawpół wiejskimi, wzdłuż których wznoszą się wille, a które prowadzą do stolicy. Stopniowo dostaliśmy się na ulicę, gdzie rolni-

cy i robotnicy warsztatów okrętowych już wybierali się do pracy, a zaspane kobiety otwierały okiennice i zamiatały stopnie przededrzwiami. W szynkowniach rozpoczynał się już ruch— wychodzili z nich mężczyźni, których powierchowość nie budziła zaufania i rękawem ocierali brody po rannej, obficie skropionej, zakąsce. Psy harcowały po ulicach i spoglądały na nas ze zdziwieniem, ale nasz nieporównany Toby nie patrzył ani w lewo, ani w prawo, tylko pędził naprzód, nosem ryjąc ziemię i od czasu do czasu zaskowyczał, co dowodziło niezwykłego podrażnienia węchu.

Minęliśmy Streadham, Brixton, Camberwell i znaleźliśmy się w Kennigton Lane, przeszedłszy przez boczne ulice. Ludzie, których ścigaliśmy, dążyli niesłychanie zygzakowatą drogą, chcąc prawdopodobnie ująć uwagi. Nigdy nie szli ulicą główną, jeśli boczna prowadziła w tym samym kierunku. Na krańcu Kennigton Lane skęcili na lewo przez ulice Bond i Miles. W punkcie, gdzie ostatnia wychodzi na Knight's Place, Toby przystanął na chwilę, poczem zaczął latać tam i nazad, z jednym uchem nastawionem, a drugim spuszczone— istny obraz psiego zakłopotania. Potem zaczął się kręcić w kółko, spoglądając na nas od cza-

su do czasu, jakgdyby domagał się współczucia dla swej troski.

— Co ten pies, u licha, wyprawia? — mruknął Holmes. — Przecież nie wsiedli do dorożki, ani pofrunęli balonem.

— Może zatrzymali się tutaj i stali czas jakiś — zauważyłem.

— Al masz słuszność. Toby już znów rusza w drogę — rzekł mój towarzysz, z widocznym zadowoleniem.

Pies, istotnie, zakręciwszy się raz jeszcze w kółko, zdecydował się widocznie i popędził naprzód, z nową energją i zapalem. Woń była widocznie silniejsza niż poprzednio, gdyż Toby już nawet nie trzymał nosa przy ziemi, lecz szarpał się i próbował się urwać z postronka. Z błysku w oczach Holmesa widziałem, iż mniemał, że zbliżamy się do kresu wybieżki.

Droga nasza wiodła przez Nine Elms aż do wielkich warsztatów ciesielskich Brodrick'a i Nelsona, po za gospodą pod Białym Orłem. Tu pies, podniecony do najwyższego stopnia, zwrócił się na dół i przez boczną furtkę wpadł na dziedziniec, gdzie pracowali już trzecie. I biegł dalej po przez trociny i wióry, potem ścieżką między dwoma stosami drzewa i w końcu, z tryumfującym szczekaniem wskoczył na

wielką beczkę, która stała na ręcznym wózku. Z wywieszonym językiem i przymrużonemi ślepiami stał Toby na beczce, spoglądając na nas kolejno, jakgdyby oczekiwał oznaki uznania. Klepki beczki i koła wózka zasmarowane były ciemnym płynem, a w powietrzu dokoła unosiła się silna, ostra woń kreozotu.

Sherlock Holmes i ja osłupieliśmy, poczem spojrzeliśmy na siebie wzajemnie i jednocześnie parsknęliśmy mimowoli głośnym śmiechem.

## ROZDZIAŁ VIII.

### Ochotnicy z ulicy Baker.

— I cóż dalej? — spytałem. — Toby utracił swoje prawa do nieomylności.

— Działał zgodnie ze swoim instynktem — odparł Holmes, zsadził psa z beczki na ziemię i wyprowadził go z dziedzińca. — Jeśli weźmiesz pod uwagę, ile kreozotu przewożą po ulicach Londynu w ciągu jednego dnia, nic dziwnego, że szlak nasz został zmylony. Kreozot jest obecnie bardzo rozpowszechniony, zwłaszcza do nasycania drzewa. Biedny Toby nie winien temu.

— Sądzę, że trzeba będzie teraz powrócić na szlak, którym wiodła woń początkowa.

— Tak. Na szczęście droga nie będzie daleka. Na rogu Knight's Place pies widocznie znalazł się w kłopotcie dlatego, że rozbiegały się tam dwa szlaki w kierunkach przeciwnych. Poszliśmy złym: teraz pozostaje nam podążyć tamtym.

Wykonanie tego nie przedstawiało żadnych trudności. Pies, przyprowadzony na miejsce,

gdzie błąd popełnił, zaczął znów kręcić się w kółko i ostatecznie poleciał w innym kierunku.

— Musimy uważać, żeby nas teraz nie zaprowadził tam, z kąd przywieźli beczkę z kreozotem — zauważyłem.

— Myślałem o tem. Ale, jak widzisz, prowadzi nas chodnikiem, gdy beczka jechała środkiem ulicy. Nie, teraz jesteśmy na drodze właściwej.

Wiodła ona w dół, nad brzeg rzeki, przez Belmont Place i ulicę Prince. W końcu ulicy Broad pies zbiegł prosto nad wodę, do małej, drewnianej przystani, i zaprowadził nas na jej kraniec, gdzie stanął, skowycząc i patrząc w ciemną toń.

— Nie mamy szczęścia — rzekł Holmes. — Wsiadli tu do łódki.

Leżały tu w przystani i stały na wodzie łódki różnego kształtu; obeszlśmy kolejno z Tobym każdą z nich, ale, chociaż obwąchiwał je skwapliwie, pozostał obojętny.

Tuż przy tej pierwotnej przystani był mały domek, a w drugim jego oknie widniała drewniana tablica, z wydrukowanym wielkimi literami napisem: „Mordecai Smith“, pod spodem zaś: „Łodzie do wynajęcia na dni i godziny“. Drugi napis nadedrzwiami zawiadomił nas, że



można było dostać i statek parowy, a wiadomość tę potwierdzał stos węgla obok domku. Sherlock Holmes rozglądał się dokoła z ponurym wyrazem twarzy.

— Kiepska sprawa — rzekł. — Te łotry są sprytniejsze, niż przypuszczałem. Zatarli, jak się zdaje, ślady; mieli plan dobrze obmyślany i ukartowany z góry.

To mówiąc, zbliżał się do domku, gdy naraz drzwi się otworzyły i wybiegł sześćioletni może, kędzierzawy malec, a za nim wyszła tęga kobieta, o czerwonym obliczu, trzymająca w ręku wielką gąbkę.

— Janku, wrócisz ty mi zaraz! pójdz się myć! — krzyknęła. — Wracaj, ty nicponiu jakiś! jak ojciec przyjdzie i zastanie cię takiego umorusanego, będziemy się mieli z pyszna oboje...

— Co za śliczny dzieciak — odezwał się Holmes strategicznie. — A jaką ma różową buzię, urwis! Janku, słuchaj-no, cobyś ty chciał?

Malec zastanowił się.

— Chciałbym szylinga — odparł po chwili.

— A możebyś wolał co innego?

— Wolałbym dwa szylingi — odpowiedział po krótkim namyśle.

— Patrzcie państwo! A no, to masz... łapaj!.. Mądre dziecko, pani Smith.

— Niech panu Bóg da zdrowie... a taki

żywy! nie mogę sobie z nim poradzić, zwłaszcza, jak męża niema w domu, niekiedy całymi dniami.

— Niema go w domu? — rzekł Holmes tonem takim, jakgdyby doznał największego zawodu. — Bardzo mi przykro, bo właśnie chciałem pomówić z p. Smithem.

— Niema go od wczorajszego ranka, a jeśli mam powiedzieć prawdę, to zaczynam być o niego niespokojna. Ale, jeśli panu chodzi o łódkę, to mogę w zupełności męża zastąpić.

— Chciałem wynająć statek parowy.

— No, i co ja pocznę, kiedy on właśnie pojechał statkiem! To mnie właśnie tak dziwi, bo wiem, że węgla na nim tyle, co starczy na jazdę do Woolwich i z powrotem. Gdyby był pojechał łodzią, niczym nie myślała; bo nieraz jeździł najęty aż do Gravesend, a jak tu nie miał dużo do roboty, to sobie i tam został. Ale co za pożytek ze statku parowego bez węgla?

— Mąż pani mógł kupić węgle w jakiej przystani w dole rzeki.

— Mógł, ale nie ma tego w zwyczaju. Nieraz słyszałam, jak gniewał się, że tak drogo żądają za parę głupich koszyczków. Zresztą nie cierpię tego człowieka z drewnianą nogą, z tą szkaradną twarzą i mową nie naszą. Po co on tu ciągle przyłaził?

— Człowiek z drewnianą nogą? — powtórzył Holmes tonem zdziwienia.

— Tak, panie. Czarniusieńki, wygląda jak małpa, i przychodził już nieraz po męża. Obudził go znów wczorajszej nocy, a co więcej, mąż wiedział, że on przyjdzie, bo zapalił ogień na statku. Mówię panu otwarcie, że mi się to wcale nie podoba.

— Ale, moja droga pani Smith — rzekł Holmes, wzruszając ramionami — niepotrzebnie zupełnie niepokoi się pani. Zkąd pani wie, że to właśnie ten człowiek z drewnianą nogą przyszedł do męża w nocy? Nie rozumiem, doprawdy, zkąd ta pewność.

— Jego głos, panie. Poznałam jego gruby, ochrypły głos. Zastukał do okna... mogła być wtedy trzecia... „Wstawajcie“, powiedział, „czas w drogę“. Mój stary obudził Kubę... to mój najstarszy... i poszli, a do mnie to się nawet nie odezwali. Słyszałam dobrze stuk drewnianej nogi na kamieniach.

— A czy ten człowiek z drewnianą nogą był sam?

— Nie mogę powiedzieć, panie. Nie słyszałam nikogo innego.

— Bardzo mi przykro, bo chciałem wynająć porządny statek, a zachwalano mi bardzo... jakże się nazywa?

— „*Aurora*“, panie.

— A! Czy to nie taki stary, zielony statek, z żółtym pasem, bardzo szeroki w środku?

— Nie, panie. Jest mały i wązki, a został teraz świeżo pomalowany na czarno z dwoma czerwonymi pasami.

— Dziękuję. Spodziewam się, że p. Smith wróci niebawem. Idę w dół rzeki, a gdybym gdzie dostrzegł „*Aurorę*“ zawiadomię pana Smitha, że pani jest niespokojna. Statek ma czarny komiń, prawda?

— Nie, panie. Czarny z białym pasem.

— A, tak... Żegnaj panią. Watsonie, tam stoi przewoźnik z promem; wsiądziemy i przepłyniemy na drugą stronę rzeki.

— Główna rzecz w postępowaniu z takimi ludźmi — odezwał się Holmes, gdyśmy już siedzieli na promie — to nie dać im poznać, że informacje ich mogą mieć dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. Jeżeli się tylko z tem zdradzisz, zamkną się niezwłocznie, jak ostryga. A jeśli ich słuchasz obojętnie, dowiesz się zawsze czego tylko zechcesz.

— Nasza droga teraz bardzo jasna — rzekłem.

— I cóżbyś ty uczynił?

— Wynająłbym statek i popłynął w dół rzeki szukać „*Aurory*“.

— Mój drogi, to byłoby olbrzymie zadanie. Mogła zawiązać do którejkolwiek przystani z jednej lub drugiej strony rzeki między tem miejscem tutaj a Greenwich. Poniżej mostu ciągnie się istny labirynt przystani przez mile całe. Minęłyby tygodnie, zanimby człowiek zdołał je sam przeszukać.

— To wezwij do pomocy policję.

— Nie chcę... Prawdopodobnie wezwę Athelney'a Jones'a w ostatniej chwili. Niezły to chłop i nie chciałbym uczynić nic takiego, co mogłoby obrazić jego ambicję urzędniczą. Ale pragnąłbym „wypracować“ całą sprawę sam, skoro mam już wszystkie nici w rękę.

— Możeby ogłosić wezwanie do dzierżawców przystani, żeby nam udzielili jakich wiadomości?

— Byłoby to jeszcze gorzej. Nasi panowie domyślają się niewątpliwie, że są ścigani i opuszczają kraj. Dopóki jednak będą mniemali, że nikt tego śladu ich nie wykrył, nie będą się śpieszyli. A tutaj dopomoże nam gorliwość i energia Jones'a. Dzienniki opiszą niechybnie jego działalność w tej sprawie, i tamci nabiorą przekonania, że wszyscy są na fałszywym tropie.

— Cóż zatem pocniemy?— spytałem, gdy wylądowaliśmy w pobliżu Millbank Penitentiary.

— Weźmiemy tę dorożkę, pojedziemy do

domu, zjemy śniadanie i prześpiemy się z godzinę. Bardzo jest możliwe, że będziemy musieli i noc dzisiejszą spędzić na nogach. Do-  
rożkarz!... stań przed biurem telegraficznym. Zatrzymamy Tobyego, bo może nam się jeszcze przydać.

Staliśmy przed biurem na ulicy Great Peter, gdzie Holmes wysłał depezę.

— Jak ci się zdaje, do kogo telegrafowałem?—spytał, gdy ruszyliśmy znów w drogę.

— Nie mam pojęcia.

— Pamiętasz oddział policji śledczej z ulicy Baker, którym posługiwałem się w sprawie Jeffersona Hope'a?

— Pamiętam—odparłem, śmiejąc się.

— Otóż w obecnym wypadku ci malcy mogą się okazać nieoszacowanymi. Jeśli mi się nie uda, mam inne środki, ale najpierw spróbuję ich pomocy. Wysłałem zatem depezę do swego małego zamorusanego porucznika, Wigginsa, i spodziewam się, że będzie u nas, wraz ze swoją bandą, zanim zdążymy zjeść śniadanie.

Była już teraz blisko dziewiąta i zacząłem odczuwać silną reakcję po niezwyklej wrażeń nocnych. Noga mi dokuczała, utykałem, ogarnęło mnie znużenie, miałem umysł zamą-

cony, a ciało zmęczone. Nie ożywał mnie, jak mego towarzysza, zapal zawodowy, nie mogłem też uważać tej sprawy jedynie za jakieś oderwane zagadnienie. Co do śmierci Bartłomieja Sholto, słyszałem o nim tak mało dobrego, że nie czułem bynajmniej nadmiernej antypatii do jego morderców. Ze skarbem wszakże rzecz miała się inaczej. Należał on, przynajmniej w części, do miss Morstan. Dopóki tylko istniała jakakolwiek szansa odzyskania go, byłem gotów poświęcić życie dla tego jednego celu. Prawda, że, gdybym skarb odnalazł, miss Morstan stałaby się dla mnie na zawsze niedostępna. Wszelako marną i samolubną byłaby miłość, na którą oddziaływałyby myśl podobna. Jeśli Holmes mógł pracować dla odnalezienia przestępców, ja miałem stokroć silniejsze powody, pobudzające mnie do odszukania skarbu.

Kąpiel, za powrotem do domu, orzeźwiła mnie zupełnie. Gdy zeszedłem do wspólnego pokoju, śniadanie było zastawione, a Holmes nalewał kawę.

— Oto masz — rzekł, śmiejąc się i wskazując rozłożony dziennik. — Energiczny Jones i wszechdobyłski reporter już się porozumieli. Ale na razie masz dosyć tej sprawy. Zabierz się do szynki i jajek.

Wziąłem jednak dziennik i przeczytałem

krótką notatkę pod tytułem: „Tajemnicza sprawa w Upper Norwood“.

„Okolo godziny dwunastej ubieglej nocy“, — pisał *Standard*, — „p. Bartłomiej Sholto z Pondichery Lodge, w Upper Norwood, został znaleziony nieżywy, wśród okoliczności bardzo tajemniczych. O ile dotąd wiemy, nie wykryto na osobie p. Sholto żadnego śladu gwałtu; zginął wszakże cenny zbiór klejnotów indyjskich, które nieboszczyk odziedziczył po ojcu. Fakt wykryty został najpierw przez p. Sherlocka Holmesa i dra Watsona, którzy przybyli wraz z bratem zmarłego, panem Tadeuszem Sholto. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, p. Athelney Jones, dobrze znany członek policji śledczej, był na stacji policyjnej w Norwood i znalazł się na miejscu wypadku w pół godziny po pierwszym alarmie. Zabrawszy się do dzieła ze znaną swoją energją i wprawą, przedewszystkiem usiłował wykryć przestępców; usiłowania te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Zaaresztowano już brata, Tadeusza Sholto, wraz z gospodynią, panią Bernstone, służącego Indusa, nazwiskiem Lal Rao i odźwiernego, nazwiskiem Mc Murdo. Nie ulega wątpliwości, że złodziej, czy też złodzieje, byli dobrze obeznani z domem. P. Jones bowiem, dzięki swym znanym wiadomościom technicznym i niepospolitemu darowi



obserwacyjnemu, dowiódł niezbitcie, że złoźczyńcy nie mogli wejść drzwiami, ani też oknem, lecz przez otwór w dachu dostali się do pokoju, łączącego się z tym, w którym znaleziono zwłoki. Fakt ten jest dowodem oczywistym, że kradzież nie była przypadkowa, lecz dobrze obmyślana. Szybka i energiczna działalność przedstawicieli prawa wykazuje wielką korzyść, jaka wynika w podobnych wypadkach z obecności jednego człowieka, obdarzonego silną wolą i bystrym umysłem. Zdaniem naszym jest to jeden argument więcej na poparcie żądania tych, którzy chcieliby, aby nasza policja była bardziej zdecentralizowana i w ten sposób miała ściślejszą i skuteczniejszą styczność z wypadkami, jakie ma obowiązek śledzić“.

— Kapitalne, — rzekł Holmes, śmiejąc się. — I cóż ty na to?

— Co ja na to? A, no, myślę, że niewiele było trzeba, żebyśmy także nie zostali zaaresztowani, jako uczestnicy zbrodni.

— I mnie się tak zdaje. Nie ręczę jeszcze za nasze bezpieczeństwo w razie powtórnego napadu energii p. Jones'a.

W tej samej chwili rozległ się odgłos dzwonka i usłyszałem panią Hudson, naszą gospodynię, wydającą okrzyki oburzenia.

— Na Boga, Holmesie — rzekłem, wstając — zdaje mi się, że istotnie przyszli po nas.

— Nie, nie bój się, tymczasem jeszcze nie. To siła nieurzędowa... ochotnicy z ulicy Baker.

Gdy to mówił, rozległ się szybki tupot bosych stóp po schodach, krzykliwa paplanina i do pokoju wpadło dwunastu brudnych, obdartych łobuzów ulicznych. Panowała wszelako wśród nich pewna karność, bo, pomimo hałaśliwego wejścia, ustawili się niezwłocznie szeregiem i spoglądali na nas wyczekująco. Jeden z nich, wyższy i starszy od innych, stał na przedzie z miną, pełną godności, bardzo komiczną u takiego małego oberwańca.

— Otrzymałem wezwanie pana — rzekł — i sprowadziłem ich.

— Dobrze — odparł Holmes — ale na przyszłość niech oni zgłaszają się do ciebie, Wigginsie, a tylko ty jeden do mnie. Nie chcę takich napadów na swój dom. Niemniej dobrze, iż wszyscy razem usłyszycie zlecenie. Chcę, żebyście mi się dowiedzieli, gdzie jest teraz statek parowy, noszący nazwę „Aurora“, własność Mordecaiego Smitha, czarny, z dwoma czerwonymi pasami; komin ma czarny także, z białą obręczą. Jest gdzieś w dole rzeki. Jeden z was musi być przy przystani Smi-

th'a, wprost Milibanku i uważać, czy statek nie wraca. Musicie się rozdzielić tak, żeby pilnować obu wybrzeży. Skoro tylko będziecie mieli jakie wiadomości, doniesiecie mi niezwłocznie. Zrozumieliście?

— Tak, panie — odparł Wiggins.

— Zapłatę dostaniecie tę samą, co zawsze, a ten, który znajdzie statek, otrzyma nadto gwineę. Macie tu za dzień z góry. A teraz, ruszajcie!

Wręczył każdemu szylinga i malcy zbiegli ze schodów, a w chwilę później widziałem, jak pędzili ulicą.

— Jeśli statek jest dotąd na wodzie, znajdą go — rzekł Holmes, wstając od stołu i zapalając fajkę. — Te malcy pójdą wszędzie, dostrzegą wszystko, podsłuchają każdego. Spodziewam się przed wieczorem wiadomości, że statek odnalezli. My zaś tymczasem nic przedsięwziąć nie możemy, musimy czekać. Nie możemy nawiązać przerwanej nici, dopóki nie znajdziemy „Aurory” albo p. Mordecai Smith'a.

— Toby mógłby zjeść te resztki... Położysz się teraz, Holmesie?

— Nie, nie jestem zmęczony. Mam szczególną konstytucję. Nie pamiętam, żebym był kiedykolwiek zmęczony pracą, próżniactwo nuży mnie i wyczerpuje niesłuchanie. Będę palił

i rozważał tę niewesołą sprawę, w którą wmie-  
szała nas moja piękna klientka. Trudno o ła-  
twiejsze, pod pewnym względem, zadanie, niż  
nasze. Ludzie o drewnianych nogach nie są  
tacy pospolici, a tamten jego wspólnik musi  
być, mojem zdaniem, prosto unikatem.

— A... znów wspominasz tak zagadkowo  
o tym wspólniku!

— Nie zamierzam bynajmniej osłaniać go  
wobec ciebie tajemnicą. Ale chcę, żebyś sobie  
sam wytworzył o nim zdanie. Zastanów się  
tylko nad danymi, jakie mamy: Ślady bardzo  
małych stóp, palce nóg nigdy nie krępowane  
obuwem, nagie stopy, maczuga z kamienną  
galką, wielka zręczność, małe zatrute pociski.  
Co wywnioskujesz z tego wszystkiego?

— Dzikil!—zawołałem.—Może jeden z In-  
dusów, którzy byli spółnikami Jonathana Small'a?

— Nie sądzę — odparł. — Narazie, gdy  
sposzregł znak, pozostały od niezwyklej broni  
i ja tak myślałem; ale odrębny kształt śladów  
stóp wpłynął na zmianę mego zdania. Niektó-  
rzy mieszkańcy półwyspu indyjskiego są ludźmi  
niewielkiego wzrostu, ale żaden z nich takich  
śladów pozostawić nie mógł. Indus właściwy  
ma stopę długą i wąską. Noszący sandały ma-  
hometanin ma duży palec wyraźnie odłączony  
od innych, bo rzemień przechodzi zwykle mię-

dzy nim a palcem następnym. Co zaś do po-  
cisku, ten mógł być rzucony tylko w jeden  
sposób: mianowicie przez rurkę silnem dmu-  
chnięciem. No i gdzież, wobec tych danych, szu-  
kać będziemy naszego dzikiego?

— W Ameryce południowej — odparłem  
na chybił trafił.

Holmes wyciągnął rękę i zdjął z półki  
grubą książkę.

— Jest to pierwszy tom rozpoczętego nie-  
dawno wydawnictwa, zawiera zatem niewąpli-  
wie najświeższe dane. Zobaczmy więc...  
o patrz: „Wyspy Andamańskie, położone o 340  
mil na północ od Sumatry, w zatoce Bengal-  
skiej“. Hm! hm! o to wszystko mniejsza... kli-  
mat wilgotny, rafy koralowe, rekiny, port Blair,  
więzienie, Rutland Island, bawełna... A! mam!  
„Mieszkańcy pierwotni wysp Andamańskich  
mogą może rościć prawo do tego, że są naj-  
mniejszą rasą na świecie, jakkolwiek antropo-  
logowie oddają pod tym względem pierwszeń-  
stwo buszmenom afrykańskim, Indjanom ple-  
mienia Digger w Ameryce, oraz krajowcom  
z Ziemi Ognistej. Wzrost przeciętny Andamań-  
czyków wynosi niecałe cztery stopy, jakkolwiek  
często zdarza się spotykać iudzi dorosłych  
o wiele mniejszych. Są oni okrutni, dzicy,  
usposobienia ponurego, niesforni, jakkolwiek

zdolni do uczucia wiernej przyjaźni dla tego, kto raz pozyska ich zaufanie“. Zaznacz to sobie dobrze w pamięci, Watsonie. A teraz, słuchaj dalej: „Powierzchność mają potworną: wielkie bezkształtne głowy, małe dzikie oczy i powykrzywiane rysy. Stopy i ręce ich wszakże są niezwykle małe. Wszelkie usiłowania urzędników brytańskich, zmierzające do pozyskania ich, spęzły na niczem, wobec ich niesforności i okrucieństwa. Są oni zawsze postrachem dla rozbitych okrętów; zabijają niemilosiernie tych, którzy ocaleli, maczugami o kamiennych gąłkach lub zatrutemi strzałami. Takie rzezie kończą się zazwyczaj uczną kanibalową“. Miły naród, Watsonie, co? Gdyby ów jegomość był pozostawiony własnemu przemysłowi, sprawa przybrałaby niechybnie obrót jeszcze straszliwszy. Zdaje mi się, że i tak, wobec tego co zaszło, Jonathan Small dałby dużo, żęby nie był się uciekał do jego pomocy.

— Ale, jak się to stało, że sobie wybrał takiego towarzysza?

— O, tego ci już powiedzieć nie mogę. Skoro jednak postanowiliśmy już, że Small przybył z Andamanów, nic to znów tak bardzo dziwnego, że ma ze sobą tego wyspiarza. Niewątpliwie dowiemy się o wszystkim we właściwym czasie, a ja spróbuję cię uśpić.

Holmes wyjął skrzypce z pudła, a gdy wyciągnąłem się na sofie, zaczął wygrywać jakąś cichą, rzewną melodję — własną niewątpliwie, bo miał niezwykle dar improwizacji. Zachowałem niejasne wspomnienie jego wysokiej, poważnej postaci, oraz ruchu smyczka. Potem zdawało mi się, że unosi mnie łagodna fala dźwięku, aż wreszcie znalazłem się w sennej krainie i słodkie oblicze Mary Morstan pochyliło się nademną.

## ROZDZIAŁ IX.

### Wylom w łańcuchu.

Było już dobrze popołudniu, gdy obudziłem się, pokrzepiony i orzeźwiony. Sherlock Holmes siedział na tem samym miejscu, z tą różnicą, że odłożył skrzypce, a był zatopiony w książce. Gdym się poruszył, zwrócił twarz ku mnie i zauważyłem, że jest nachmurzona.

— Mocno spałeś — rzekł. — Bałem się, że nasza rozmowa cię zbudzi.

— Nic nie słyszałem — odparłem. — Masz więc jakie nowe wieści?

— Na nieszczęście, nie. Wyznaję, że jestem zdziwiony. Spodziewałem się, że dotychczas będę już wiedział coś konkretnego. Wiggins był tu właśnie przed chwilą i oznajmił, że niepodobna odnaleźć śladu statku. Zawód to bardzo niepotrzebny, bo każda godzina jest niesłychanie ważna.

— Czy nie mogę ci w czem dopomóc? Wypocząłem znakomicie i jestem gotów czuć znów przez całą noc.



— Nie; nie możemy nic przedsięwziąć, możemy tylko czekać. Gdy wyjdziemy, a tymczasem w naszej nieobecności nadeślą tu jaką wiadomość, nastąpi znów zwłoka. Ty możesz robić, co ci się podoba, ale ja muszę pozostać na straży.

— W takim razie pójde do Camberwell odwiedzić panią Cecylję Forrester. Prosiła mnie wczoraj.

— Panią Cecylję Forrester? — spytał Holmes ze znaczącym uśmiechem.

— No, oczywiście i miss Morstan. Były bardzo zaniepokojone i pragnęły usłyszeć, co się stało.

— Jabym im nie powiedział zbyt dużo, — rzekł Holmes. — Kobietom nie można nigdy ufać... nawet najlepszym.

Nie odpowiedziałem na tę złośliwą uwagę.

— Powrócę za godzinę, albo dwie, — rzekłem tylko.

— Dobrze! Przyjemnej zabawy! Ale słuchaj, skoro idziesz na tamtą stronę rzeki, zabierz ze sobą Tobyego i oddaj go. Zdaje się, że nam już teraz nie będzie potrzebny.

Zabrałem tedy naszego kundla i zwróciłem go, z dodatkiem 10 szylingów, staremu przyrodnikowi na Pinchin Lane. W Camberwell zastałem miss Morstan nieco zmęczoną przy-

godami nocnymi, ale bardzo chciwą usłyszenia dalszych wieści; pani Forrester również była niesłychanie zaciekawiona. Opowiedziałem im wszystko, cośmy zrobili, pomijając wszakże niektóre, bardziej wstrząsające, szczegóły tragedji. Między innymi nie mówiłem, w jaki sposób właściwie p. Sholto został zamordowany. Pomimo tych wszystkich opuszczeń i to wszakże co usłyszały, przejęło je do głębi.

— Istny romans! — zawołała pani Forrester.— Pokrzywdzona kobieta, skarb półmilionowy, dziki ludożerca i złodziej o drewnianej nodze! Zastępują oni miejsce tradycyjnego smoka lub okrutnego księcia.

— I dwaj rycerze błędni, śpieszący z pomocą, — dodała miss Morstan, spoglądając na mnie promiennym wzrokiem.

— Mary, przecież twój majątek zależy od wyniku poszukiwań w tej sprawie. Uważam, że wobec tego nie jesteś tem wszystkim dość przejęta. Pomyśl tylko, co to znaczy być taką bogatą i mieć cały świat u swoich stóp!

Serce zadrżało mi z radości na widok, że ta perspektywa nie wprawiła bynajmniej miss Morstan w radosne uniesienie. Przeciwnie nawet, potrząsnęła dumną główką, jakgdyby ta sprawa była jej zupełnie obojętna.

— Jestem tylko niespokojna o pana Ta-

deusza Sholto,—rzekła.—Zresztą nic mnie tak dalece nie obchodzi. Pan Sholto postąpił tak szlachetnie i uczciwie, że obowiązkiem naszym jest oczyścić go od tego straszного i nieuzasadnionego podejrzenia.

Zmierzch już zapadał, gdy opuściłem Camberwell, a zanim stanąłem w domu zrobiło się zupełnie ciemno. Książka i fajka mego towarzysza leżały przy jego krześle, ale on sam znikł. Rozejrzałem się po pokoju, myśląc, że znajdę jaki bilecik, ale nic nie było.

— Czy pan Sherlock Holmes wyszedł? — spytałem pani Hudson, gdy weszła, by zamknąć okiennice.

— Nie, panie. Jest u siebie. Wie pan,— dodała, zniżając głos do tajemniczego szeptu,— że ja się boję o jego zdrowie...

— A to dlaczego?

— Bo pan Holmes jest dzisiaj taki jakiś dziwny. Po wyjściu pana chodził i chodził z dołu na górę i z góry na dół, aż mi się uprzykrzył ten ciągły odgłos kroków. Potem słyszałam, jak mówił do siebie i mruczał, a za każdym odezwaniem się dzwonek wychodził na schody i pytał: „Co tam takiego, pani Hudson?” A teraz zatrzasnął drzwi od swego pokoju i słyszę znów, jak chodzi nieustannie. Byleby nie zachorował! Odważyłam się wspomnieć o ja-

kim środkiem uspakajającym, to spojrział na mnie takim wzrokiem, że ani wiem, jak wyszłam z pokoju.

— Myślę, że się pani zbyt znacznie niepokoi, — odparłem. — Widywałem go takim nieraz. Ma ważną sprawę do załatwienia i dlatego taki jest rozdrażniony.

Mówiłem obojętnie do naszej czcigodnej gospodyni, lecz sam zaniepokoiłem się, słysząc w nocy od czasu do czasu głuchy odgłos jego kroków; wiedziałem dobrze, jak jego duch energiczny buntował się przeciw tej mimowolnej beczynności.

Nazajutrz rano spotkaliśmy się przy śniadaniu, — był blady, oczy miał zapadłe, a na policzkach gorączkowe wypieki.

— Mój stary, czego ty się tak dręczysz? — spytałem. — Słyszałem, jakieś wędrował w nocy.

— Nie mogłem spać, — odparł. — Ta przekłeta sprawa trawi mnie. Niesłychana rzecz, doprawdy, żeby taka głupia przeszkoda włąziła w drogę, kiedy wszystkie inne są już pokonane! Wiem, jacy ludzie, jaki statek, wszystko, a mimo to nie mogę ich schwytać. Puściłem już w ruch innych pomocników i zastosowałem wszelkie środki, jakimi rozporządzam. Cała rzeka została przeszukana z obu stron, ale ani znaku naszych ptaszków, a pani Smith również nie

miała żadnej wiadomości od męża. Przyjść  
chyba do wniosku, że zatopili gdzie statek!

— Albo, że pani Smith wskazała nam ślad  
fałszywy.

— Nie, myślę, że to jest zupełnie wyłączone. Przeprowadziłem śledztwo; istnieje rzeczywiście statek, zgadzający się z jej opisem.

— Może popłynął w górę rzeki?

— Rozważyłem już i tę możliwość i wysłałem ludzi, którzy przeszukują wybrzeża aż do Richmondu. Jeśli nie otrzymam żadnych dziś wiadomości, jutro wyruszę sam w drogę i nie będę już szukał statku lecz raczej ludzi. Ale, napewno usłyszymy jakąś nowinę.

Nie usłyszeliśmy wszakże. Nie otrzymaliśmy ani słowa, zarówno od Wiggins'a, jak i od innych pomocników. Wszystkie prawie dzienniki zamieściły artykuły o „tragedji w Norwood“ i to w tonie raczej wrogim dla nieszczęśliwego Tadeusza Sholto. Żaden artykuł wszelako nie zawierał nowych szczegółów, prócz tego, że śledztwo będzie rozpoczęte nazajutrz rano.

Wieczorem poszedłem do Camberwell, by zawiadomić panie o naszym niepowodzeniu, a za powrotem zastałem Holmesa ponurego i przygnębionego. Nie odpowiadał prawie na moje pytania i przez cały wieczór zajęty był

jakimś zawiłym rozbiorem chemicznym, który pociągał za sobą ogrzewanie retort i dystalowanie gazów, zakończone taką straszną wonią, że omal nie uciekłem z mieszkania. Aż do świtu słyszałem brzęk epruwetek, który wykazywał, że Holmes pogrążony był przez całą noc w dokonywaniu cuchnącego doświadczenia.

Wczesnym rankiem zerwałem się nagle i ze zdumieniem ujrzałem go przy moim łóżku; ubrany był w prosty strój marynarza, miał na sobie szarą kurtkę i zniszczony czerwony szalik na szyi.

— Idę nad rzekę, Watsonie,— rzekł.— Rozważyłem to wszystko dobrze i widzę tylko jeden sposób wyjścia. Warto w każdym razie spróbować.

— W każdym razie, mogę przecież iść z tobą? — spytałem.

— Nie; możesz być daleko użyteczniejszy, jeśli zostaniesz tutaj, jako mój przedstawiciel. Idę niechętnie, bo, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nadejdzie jakaś wiadomość w ciągu dnia, jakkolwiek Wiggins zrozpaczył już wczoraj wieczorem. Proszę cię, żebyś otwierał wszystkie bileciki i telegramy i postąpił według własnego mniemania w razie, gdyby nadeszły jakie wiadomości. — Czy mogę polegać na tobie?

— Najzupełniej.

— Obawiam się, że nie będziesz mógł mi zatelegrafować w danym razie, bo nie mogę ci nawet powiedzieć, gdzie mnie masz szukać. Jeśli mi szczęście posłuży, nie pójdę daleko. Bądź co bądź, jakieś wiadomości mieć będę, zanim wrócę.

Przy śniadaniu zabrałem się do czytania *Standarda* i znalazłem świeżą wzmiankę o naszej sprawie. „Mamy powody przypuszczać” — pisał dziennik — „że tragedia w Upper Norwood będzie jeszcze więcej zawikłana i tajemnicza, niż zdawało się narazie. Nowe dowody wykazały, że p. Tadeusz Sholto jest stanowczo niewinny. To też i on i pani Bernstone zostali wczoraj wieczór wypuszczeni na wolność. Policja ma już wszakże pewne dane co do istotnych przestępców, których ściga p. Athelney Jones ze Scotland Yardu z całą swoją, dobrze znaną, energją i bystrością. Lada chwila można się spodziewać nowych aresztowań”.

„Dobre i to tymczasem” — pomyślałem. — „Przyjaciel Sholto jest już przynajmniej bezpieczny. Ciekawym, co to za nowe dane... coś mi się zdaje, że to tylko stereotypowa forma, ilekroć policja strzeli jakiego bąka”.

Położyłem dziennik na stole, lecz w tejże chwili wzrok mój padł na ogłoszenie następującej treści:

„Zaginiony. — Mordecai Smith, wiosłarz, i syn jego Kuba, odpłynęli z przystani Smith'a około godziny trzeciej nad ranem, w ubiegły czwartek, statkiem parowym „Aurora“, — czarnym z dwoma czerwonymi pasami, komin też czarny z pasem białym. Pięć funtów st. nagrody otrzyma ten, kto przyniesie pani Smith w przystani Smith'a, lub pod Nr. 1216, przy ulicy Baker, wiadomość, gdzie znajduje się wymieniony Mordecai Smith i statek „Aurora“.

Ogłoszenie podał Holmes, — dowodził tego jasno nasz adres. Pomysł wydał mi się doskonały, bo zbiegowie mogli ogłoszenie przeczytać i nie dopatrzeć się w niem niczego więcej, prócz naturalnej zupełnie obawy żony o zaginionego męża.

Dzień dłużył mi się bardzo. Za każdym stuknięciem w drzwi lub odgłosem śpiesznego kroku na ulicy, zdawało mi się, że to Holmes wraca lub że przynoszą odpowiedź na jego ogłoszenie. Usiłowałem czytać, lecz myśli moje odlatywały ku naszej sprawie i tym niecnym ludziom, których ścigaliśmy.

Zastanawiałem się nad tem, czy wywody mego przyjaciela mają istotnie jaką realną podstawę? Czy nie ulega on wielkiemu złudzeniu? Czy teoretyczny umysł jego nie zbudował tej hipotezy na fałszywych wnioskach? Nie prze-



konałem się dotąd, żeby się kiedykolwiek mylił, niemniej najśmielszy nawet rezoner może niekiedy być w błędzie.

Mógł łatwo się pomylić skutkiem nadmierne wyrafinowanej logiki swojej, — upodobania do wyjaśnień subtelných i dziwacznych, mając, że tak powiem, pod ręką prostsze i zwyczajniejsze. Jednak z drugiej strony widziałem dowody, słyszałem przyczyny jego dedukcji. Gdy przebiegłem myślą długi łańcuch ciekawych okoliczności, z których niejedna była trywjalna sama w sobie, wiodących do tego samego celu, nie mogłem ukryć przed sobą, że, jeśli nawet wyjaśnienia Holmesa były niedokładne, niemniej sama teoria zdumiewała trafnością.

O godzinie trzeciej popołudniu rozległ się dźwięk dzwonka, a po chwili dobiegł mnie donośny głos w przedsionku i niebawem wszedł do mnie, ni mniej ni więcej, tylko p. Athelney Jones we własnej osobie. Różnił się wszakże od owego energicznego i pewnego siebie mentora zdrowego rozsądku, który z taką ufnością we własne siły zabrał się do sprawy w Upper Norwood. Był widocznie przygnębiony, a w obejściu wprost nieśmiały.

— Dzień dobry, panu; dzień dobry — rzekł. — Słyszę, że pana Sherlocka Holmesa niema.

— Tak, wyszedł i nie wiem nawet kiedy

wróci. Ale może pan zechce zaczekać. Proszę, niech pan siada i zapali jedno z tych cygar.

— Dziękuję; nie będę palił — odparł, ocierając spoconą twarz czerwoną, bawełnianą chustką.

— A może wody sodowej z whisky?

— Owszem, pół szklanki. Gorąco bardzo, jak na tę porę roku, a ja mam tyle lataniny i kłopotów! Pan zna moje zapatrywanie na tę sprawę z Norwood?

— Przypominam sobie, że je pan wygłaszał.

— Otóż, byłem zmuszony je zmienić. Zasnułem sieci dokoła p. Sholto i byłem już pewien, panie, że go trzymam, gdy naraz wymknął mi się na dobre! Zdołał dowieść *alibi*, nie podlegające wątpliwości. Od chwili, gdy wyszedł z pokoju brata i wrócił do siebie, nikt go nie widział. Nie on zatem wlaził na dach i przez otwór do pokoju. Sprawa jest bardzo ciemna, a chodzi tu o moją opinię zawodową. Byłbym bardzo wdzięczny za trochę pomocy.

— Wszyscy potrzebujemy niekiedy pomocy — rzekłem.

— Przyjaciel pański, pan Sherlock Holmes, ot, człowiek niezwykły — mówił Jones głosem przyciszonym, poufnie. — Jego pobić niełatwo. Widziałem go nieraz przy robocie, a nie było ani jednej sprawy, której nie zdołałby wyjaśnić.

Ma niesystematyczną metodę pracy i zbyt pochopnie może wytwarza teorie, ale wogóle myślę, że byłby z niego nawet bardzo dobry urzędnik. Otrzymałem od niego dziś rano telegram, z którego wnioskuję, że znalazł jakiś wątek tej sprawy Sholto. Oto depesza.

Wyjął ją z kieszeni i podał mi. Była datowana z Poplaru o godz. 12-ej.

„Udać się natychmiast na ulicę Baker“ — brzmiała. — „Jeśli mnie nie będzie, czekać. Jestem na tropie zabójców Sholto. Może pan pójść z nami dziś w nocy, jeśli zechce uczestniczyć w zakończeniu“.

— Niezła nowina. Widocznie odnalazł ślad nanowo — rzekłem.

— A, więc i on się pomylił! — zawołał Jones z widocznym zadowoleniem. — Nawet najbystrzejszy z nas bywa niekiedy w błędzie. Oczywiście i to może się okazać fałszywym alarmem; ale obowiązkiem moim, jako urzędnika prawa, jest nie opuszczać żadnej sposobności. Ktoś idzie, jeśli się nie mylę. Może p. Holmes.

Istotnie, na schodach rozlegał się odgłos ciężkich kroków i sapanie człowieka, mającego krótki oddech. Idący zatrzymał się, jakgdyby ciężko mu było wchodzić, ale w końcu zastu-

kał do drzwi i wszedł. Postać jego odpowiadała w zupełności odgłosom, jakie nas dobiegały. Przybyły, był to człowiek w podeszłym wieku, ubrany w strój marynarza, w starą kurtkę, zapiętą pod szyję. Plecy miał zgarbione, kolana ugięły się pod nim, a oddech miał utrudniony, astmatyczny. Przystanął, oparł się na grubym kiju dębowym i z wysiłkiem wciągał powietrze w płuca. Na szyi miał kolorowy szalik, którym osłonił dół twarzy i podbródek, tak, że z wyjątkiem bystrych oczu, pod krzacastymi siwymi brwiami i długich siwych faworytów, niewiele tej twarzy widziałem. Ogółem robił na mnie wrażenie przyzwoitego starszego majtka, który się zestarzał i zubożał.

— Czego chcecie, mój przyjacielu? — spytałem.

Obejrzał się dokoła powoli, jak ludzie starzy.

— Czy pan Sherlock Holmes w domu? — zapytał.

— Nie; ale ja go zastępuję. Możecie mi powiedzieć jaki macie do niego interes.

— Mam to powiedzieć jemu samemu — rzekł.

— Ale mówię wam, że ja go zastępuję. Czy to w sprawie statku Mordecai Smith'a?

— Tak. Wiem dobrze, gdzie on jest i wiem, gdzie są ludzie, których pan Holmes

szuka, wiem także gdzie jest skarb. Ja wiem wszystko.

— A więc powiedzcie mi, a ja jemu powtórzę.

— Kiedy ja to jemu samemu miałem powiedzieć — rzekł znów z nedorzecznym uporem starca.

— W takim razie musicie na niego poczekać.

— Nie, nie; nie myślę tracić całego dnia dla czyjejs fantazji! Jeśli pana Holmesa nie ma, to niech sobie p. Holmes sam wszystko wysledzi. Nie podobacie mi się, nie dowierzam żadnemu z was i nie powiem ani słowa.

Zwrócił ku drzwiom, ale Athelney Jones zagroził mu drogę.

— Poczekajcie-no, mój przyjacielu — rzekł. — Macie bardzo ważne wiadomości i ztąd odejść nie możecie. Zatrzymamy was, nie bacząc czy zechcecie lub nie, dopóki nasz przyjaciel nie wróci.

Stary rzucił się ku drzwiom, ale gdy Athelney Jones oparł o nie swoje szerokie plecy, marynarz uznał bezużyteczność swego oporu.

— Ładne obchodzenie się z ludźmi! — krzyknął, stukając kijem o podłogę. — Przycho-dzę tutaj, żeby się rozmówić z przyzwoitym pa-

nem, a tacy dwaj, których w życiu nie widziałem, chwytają mnie i tak mnie traktują!

— Nie stanie wam się żadna krzywda — rzekłem. — Wynagrodzimy wam stratę czasu. Siadajcie sobie tu na sofie; nie będziecie czekali długo.

Z widoczną złością, nachmurzony, zbliżył się do sofy, usiadł i oparł twarz na dłoniach, a łokcie na kolanach. Ja z Jonesem zaś zapaliliśmy cygara i powróciliśmy do naszej rozmowy. Nagle rozległ się w pokoju głos Holmesa.

— Moglibyście, doprawdy, i mnie poczęstować cygarem — rzekł.

Porwaliśmy się obaj z krzesel. Holmes siedział tuż za nami i był widocznie wielce ubawiony.

— Holmes! — zawołałem. — Ty tutaj! A gdzież ten stary?

— Masz starego — rzekł, pokazując mi pęk siwych włosów. — O, widzisz, to jego peruka, faworyty, brwi, wszystko. Wiedziałem, że to moje przebranie jest niezłe, ale ani przypuszczałem, że wytrzyma taką próbę.

— Ach, to figlarz z pana! — zawołał Jones zachwycony. — Aktor byłby z pana nielada. Naśladował pan znakomicie typowy kaszel z domu robotniczego, a te pańskie uginające się nogi warte są dziesięć funtów na tydzień.

Ale, przekonał się pan, że nie tak łatwo wydo-  
stać się od nas, co?

— Pracowałem w tem przebraniu cały  
dzień — rzekł, zapalając cygaro. — Widzi pan,  
zaczynają mnie już znać w sferze przestępców,  
zwłaszcza od czasu, jak ten nasz przyjaciel za-  
brał się do opisywania niektórych moich spraw;  
mogę zatem iść do boju tylko w jakimś prze-  
braniu. Otrzymał pan moją depeşe?

— A jakże; i dlatego tu jestem.

— No i cóż tam słyhać z pańskim  
śledztwem?

— Bardzo źle, wszystko na nic. Musiałem  
uwolnić dwóch swoich aresztantów, a nie mam  
żadnych dowodów przeciw tym dwom drugim.

— Mniejsza o to. Damy panu dwóch in-  
nych na ich miejsce, ale musi się pan pod-  
dać moim rozkazom. Ufam pańskim zdolno-  
ściom zawodowym, ale będzie pan działał we-  
dług moich wskazówek. Zgoda?

— Najzupełniejsza, jeśli mi pan dopo-  
może do schwytania zbrodniarzy. A więc  
dobrze. Przedewszystkiem będzie mi potrze-  
bna szybka łódź policyjna... łódź parowa... mu-  
si być o siódmej w przystani Westminster  
Stairs.

— Nic łatwiejszego. Tam zawsze stoi na-

sza Łódź; ale mogę przejść naprzeciwko i zatelefonować, żeby się upewnić.

— Potem będę potrzebował dwóch tęgich, silnych ludzi na wypadek oporu.

— Będzie ich kilku w Łodzi. Co więcej?

— Jak schwytemy zbrodniarzy, będziemy mieli i skarb. Myślę, że przyjaciel mój z przyjemnością zanieśie szkatułkę młodej osobie, do której połowa z prawa należy. Niech ona pierwsza szkatułkę otworzy. Co, Watsonie?

— Będę wielce rad temu.

— Niebardzo to prawidłowy sposób postępowania — rzekł Jones, potrząsając głową. — Wszelako cała sprawa jest nieprawidłowa i myślę, że musimy na to patrzeć przez szpary. Trzeba będzie potem wręczyć skarb władzom i pozostawić go, dopóki nie skończy się śledztwo urzędowe.

— Oczywiście. To się zrobi. A teraz jeszcze jedna kwestja. Chciałbym bardzo ułyszeć niektóre szczegóły tej sprawy z ust samego Jonathana Small'a. Jak pan wie, lubię sobie opracować sprawy swoje drobiazgowo. Otóż, czy będę mógł rozmówić się z nim prywatnie albo tu u siebie, albo też gdziekolwiek, pod warunkiem, oczywiście, że będzie bacznie strzeżony?

— A no, cóż robić, jest pan panem po-



łożenia. Ja nie miałem jeszcze dowodów istnienia tego Jonathana Small'a. Wszelako, jeśli go pan złapie, nie będę przecież mógł zabronić panu rozmówienia się z nim.

— Zatem rzecz ułożona?

— Najzupełniej. Czy pan ma jeszcze jakie życzenia?

— To jedno tylko, żeby pan zjadł z nami obiad. Będzie gotów za pół godziny. Mam ostrygi, parę cietrzewi i niezłe białe wino... Watsonie, tyś nigdy nie uznawał moich zasług, jako gospodyni domu.

## ROZDZIAŁ X.

### Koniec wyspiarza.

Obiad nasz był wesoły. Holmes był bardzo zajmujący w rozmowie, gdy chciał, a tego wieczora chciał właśnie. Był widocznie w stanie podniecenia nerwowego. Nie widziałem go jeszcze w takim świetnym humorze. Mówił o wszystkim: — o garncarstwie, o teatrze, o skrzypcach Stradivariusa, o buddyźmie na Cejlonie, o okrętach wojennych przyszłości — i to z taką znajomością rzeczy, jakgdyby każdy z tych przedmiotów studjował specjalnie. Humor jego był reakcją po przygnębieniu dni poprzednich.

Athelney Jones okazał się duszą towarzyską w chwilach wolnych od zajęć i spożywał obiad z miną smakosza. Co do mnie, myśl, że zbliżamy się do końca naszego zadania, wbiła mnie w pychę i udzieliła mi się potrosze wesołość Holmesa. Żaden z nas nie wspomniał przy obiedzie o sprawie, która nas zgromadziła.

Gdy sprzątnięto ze stołu, Holmes spojrzal na zegarek i napełnił trzy szklanki porterem.

— Za powodzenie naszej wyprawy — rzekł. — A teraz wielki czas ruszyć w drogę. Watsonie, masz pistolet?

— Mam stary rewolwer służbowy w biurku.

— Weź go z sobą. Dobrze, na wszelki wypadek, być przygotowanym. Widzę, że dorożka stoi już przed bramą; zamówilem ją na pół do siódmej.

Było trochę po siódmej, gdy zajechaliśmy do przystani Westminsterskiej; łódź czekała już na nas. Holmes obejrzał ją krytycznym wzrokiem i zapytał:

— Czy ona ma jaki znak, po którym można poznać, że to łódź policyjna?

— A jakże, tę zieloną lampę z boku.

— W takim razie trzeba ją zdjąć.

Po dokonaniu tej małej zmiany, weszliśmy na pokład i odwiązano liny. Jones, Holmes i ja usiedliśmy w tyle, jeden człowiek był przy sterze, drugi pilnował kotła, a dwóch barczystych inspektorów zajęło miejsce na przedzie łodzi.

— Dokąd? — spytał Jones.

— Do Toweru. Każ im pan stanąć na przeciwko Jacobson's Yard.

Statek nasz miał bieg niezmiernie szybki. Mijaliśmy lotem długie szeregi ładownych barek,

jakgdyby stały w miejscu. Holmes uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy prześcignęliśmy parowiec rzeczny i pozostawiliśmy go daleko za sobą.

— Możemy chyba prześcignąć wszystkie statki na rzece — rzekł.

— Tego nie wiem; ale niewiele łodzi mogłoby nas pobić.

— Musimy złapać „*Aurore*“, a ma ona sławę niezmiernie szybkiej. Watsonie, opowiem ci, jak rzeczy stoją. Przypominasz sobie jaki byłem rozgniewany taką drobną przeszkodą?

— Pamiętam.

— Otóż, dałem umysłowi zupełny wypoczynek, zatapiając się w rozbiórce chemicznym. Jeden z naszych największych mężów stanu powiedział, że zmiana pracy stanowi najlepszy odpoczynek. I tak też jest w istocie. Gdy udało mi się nareszcie rozpuścić węglowodór, nad czym pracowałem, powróciłem do naszej sprawy Sholto i rozważyłem znów dokładnie całą rzecz. Moje chłopaki przeszukali rzekę w górze i w dole bez skutku; nie znaleźli statku w żadnej przystani, przekonali się też, że nie powrócił. Wszelako tamci nie mogli go zatopić dla zatarcia śladów, jakkolwiek jest to jedyna prawdopodobna hipoteza, jeśli wszystko inne zawiedzie. Wiem, że ten Small jest do pewnego

stopnia przebiegły, ale nie posądzam go o spryt wyrafinowany. Ten bywa zazwyczaj wytworem wyższego wykształcenia. Zastanowiwszy się, przyszedłem do przekonania, że, skoro bawił przez pewien czas w Londynie, mieliśmy bowiem dowody, iż strzegł nieustannie Pondicherry Lodge, nie mógł opuścić miasta w jednej chwili, lecz potrzebował nieco czasu dla uporządkowania swoich interesów. Takie przynajmniej nasuwa się najprawdopodobniejsze przypuszczenie.

— Nie powiem tego—zauważyłem; — prawdopodobniejsze jest, że pozatławił swoje interesy, zanim się wybrał na tę wyprawę.

— Nie, nie sędzę; nie mógł przewidzieć, że mu się powiedzie. Ale jest inna okoliczność, która mnie uderzyła. Jonathan Small musiał się domyślać, że niezwykła postać jego towarzysza, jakkolwiek niewątpliwie przystroił go bardzo starannie, musi zwrócić uwagę i dać powód do gadaniny i domysłów, mogących mieć związek z tragedją w Norwood. Jest taki sprytny, że przypuszczenia te musiały mu się nasunąć. Wyruszyli oni ze swego legowiska pod osłoną ciemności i Small chciał powrócić, zanim się zrobi jasny dzień. Że zaś, według słów pani Smith, było już po trzeciej, gdy wsiedli na statek, przeto w jaką godzinę później był już dzień zupełny i ludzie zaczynali wstawać.

Dlatego wnoszę, że nie popłynęli daleko. Zapłącili Smith'owi dobrze, żeby trzymał język za zębami, zatrzymali statek jego do ucieczki ostatecznej i, zabrawszy szkatułkę ze skarbem, połączyli do mieszkania. Po paru dniach, gdy już mieli czas zorjentować się co piszą dzienniki i w jaką stronę władze skierowały swe podejżenia, powinnyby wyruszyć w drogę, znów pod osłoną ciemności, wsiąść na jaki okręt w Gravesend lub Downs, gdzie niewątpliwie zamówili sobie poprzednio miejsca na przejazd do Ameryki lub kolonji.

— A statek?.. Przecież nie mogli go zabrać ze sobą do mieszkania.

— Oczywiście. Pomyślałem, że statek jest tu gdzieś niedaleko, pomimo swej niewidzialności. Wyobraziłem sobie, że jestem Small'em i wysnułem plan taki, jaki ułożyłby niewątpliwie człowiek jego poziomu umysłowego. Otóż uważałby niewątpliwie, że odesłanie statku lub zatrzymanie go w przystani, ułatwiłoby pościg policji, jeśli na ślad jego natrafiła. Jakże więc mógł statek ukryć, a mimo to mieć go, w razie potrzeby, pod ręką? Zastanawiałem się, co ja bym uczynił, gdybym był na jego miejscu i przyszedłem do przekonania, że jest tylko jeden sposób wyjścia. Oddałbym statek do warsztatu, gdzie budują lub naprawiają łodzie i kazałbym

w nim jakąkolwiek drobnostkę zmienić. Wówczas statek zostałby przeniesiony do tego warsztatu i byłby faktycznie ukryty, gdy jednocześnie mógłbym go mieć na każde zawołanie.

— Jest to, istotnie, bardzo proste.

— Otóż te bardzo proste rzeczy można niesłychanie łatwo pominąć. Postanowiłem tedy działać w duchu wysnutego własnego planu. Wybrałem się w owym prostym stroju marynarza i zapytywałem we wszystkich warsztatach w dole rzeki. W szesnastym nareszcie, u Jacobsona, dowiedziałem się, że przed dwoma dniami otrzymali „*Aurore*” od człowieka z drewnianą nogą, który polecił naprawić coś przy sterze. „Nie wiem czego właściwie chciał”, mówił majster, „bo ster zupełnie w porządku. O, ma pan tam „*Aurore*”... ta z czerwonymi pasami”. — A w tejże chwili, kto mógł nadejść jeśli nie zaginiony jej właściciel, Mordecai Smith? A zjawił się w stanie niezbyt trzeźwym. Oczywiście nie byłbym go poznał, skoro go nigdy nie widziałem, ale wrzasnął na całe gardło swoje nazwisko i nazwę swego statku. „Potrzebny mi jest dziś wieczór, na ósmą”, zapowiadał, „na punkt ósmą, pamiętajcie, bo mam dwóch panów, którzy czekać nie będą!” Zapłacili mu widać dobrze, opływał bowiem w pieniądzu i pokazywał szylingi pracującym dokoła ro-

botnikom. Szedłem za nim w pewnym oddaleniu ale niebawem znikł we drzwiach szynku; powróciłem tedy do warsztatu; a zdarzyło się, że w drodze spotkałem jednego z moich chłopaków i postawiłem go na straży. Ma stać nad wodą i dać nam znak chustką, gdy tamci odbiją od brzegu. Myślę, że niepodobna, wobec tego, żebyśmy nie schwytali ludzi, skarbu i wszystkiego.

— Ułożył pan wszystko doskonale, bez względu na to, czy to oni właśnie są tymi, których szukamy — zauważył Jones. — Jednakże, gdyby sprawa była w moich rękach, ustawiłbym oddział policji w warsztacie Jacobsona i zaarrestowałbym ich skoro by nadeszli.

— Co nie nastąpiłoby nigdy. Ten Small jest, jak mówiłem, przebiegły. Wyśle niewątpliwie kogoś na zwiady, a jeśli najdrobniejsza rzecz obudzi jego podejrzenie, będzie się ukrywał jeszcze przez jaki tydzień.

— Ale mogłeś się trzymać tego Smith'a, który zaprowadziłby cię niechybnie do ich kryjówki.

— I straciłbym cały dzień na próżno. Stawiam sto przeciw jednemu, że Smith nie wie, gdzie oni mieszkają; dopóki ma wódkę i dobrą zapłatę nie będzie stawiał żadnych pytań. Posyłają mu zlecenia, co ma robić. Nie, rozwa-



żyłem wszelkie możliwe sposoby postępowania i ten wydał mi się najlepszy.

W toku tej rozmowy mijaliśmy w locie długi szereg mostów, wznoszących się na Tamizie. Gdy dojeżdżaliśmy do City, ostatnie promienie słońca złociły krzyż na szczycie katedry św. Pawła. Zmierzch zapadł, zanim dopłynęliśmy do Toweru.

— Oto warsztat Jacobsona — rzekł Holmes, wskazując stopy masztów i lin na wybrzeżu od strony Surreyu.—Trzeba zwolnić biegu i krążyć ostrożnie tu, pod osłoną tych berlinek. Wyjął z kieszeni dużą lornetkę i patrzył bacznie na wybrzeże. Widzę swoją straż na stanowisku — zauważył po chwili — ale znaku chustką ni dostrzegam.

— A żebyśmy tak popłynęli jeszcze kawałek w górę i tam zaczekali na nich? — rzekł Jones, widocznie zniecierpliwiony.

Byliśmy już w tej chwili wszyscy niecierpliwi, nawet policjanci i palacze, którzy zaczęli się domyślać o co chodzi.

— Nie możemy być niczego zupełnie pewni—odparł Holmes.—Stawiam dziesięć przeciw jednemu, że płyną w dół rzeki, ale przysięgać nie będę. Z tego miejsca tutaj możemy widzieć wejście do warsztatu, ale oni chyba nas nie dostrzegą. Noc będzie pogodna, światła

wszędzie pełno. Musimy tu pozostać. Patrzcie, jak się tam roi od ludzi w świetle gazu.

— To robotnicy wychodzą z warsztatów.

— Wyglądają, jak ostatnie łotry, ale myślę, że każdy z nich ma w sobie jakąś ukrytą iskierkę nieśmiertelną. Patrząc na nich, niktby tego nie powiedział; nie objawia się to niczem. Człowiek stanowi szczególną zagadkę!

— Ktoś nazwał go duszą, ukrytą w zwierzęciu,—wtrąciłem.

— Wywody Winwood'a Reade'a na ten temat są dobre—rzekł Holmes. — Mówi on, że gdy człowiek pojedynczy jest zagadką zdumiewającą, do rozstrzygnięcia niemożliwą, w zbiorowisku staje się pewnikiem matematycznym. Nie można np. nigdy przepowiedzieć, jak postąpi jednostka, ale najdokładniej przewidzieć można, co zrobi grono ludzi... Ale, spojrzyno, czy to nie moja chustka od nosa? Tam z pewnością powiewa coś białego.

— Tak, to twój chłopak—zawołałem—widzę go doskonale.

— A tam „*Aurora*” — zawołał Holmes — pędzi, jak szalona! Panie maszynisto! całą siłą pary za tą łodzią parową z żółtą latarnią! Nie daruję sobie nigdy, jeśli nam się wymknie!

Wysunięta niepostrzeżenie z warsztatu łódź przepłynęła między barkami i była już prawie

w pełnym biegu, gdyśmy ją dostrzegli. Teraz jechała jak strzała w dół rzeki—w pobliżu wybrzeża. Jones patrzył za nią poważnym wzrokiem i potrząsał głową.

— Wątpię, czy ją dościgniemy — rzekł w końcu—ma bieg niesłychanie szybki.

— Musimy ją doścignąć! — krzyknął Holmes przez zaciśnięte zęby.—Prędszej, prędzej!... Palacze, dołóżcie ognia! Nie żałujcie węgla. Choćby nam przyszło łódź spalić, musimy ich schwytać!..

W piecu naszej łodzi buchało, w maszynie odzywał się świst i chrzęst, niby bicie olbrzymiego serca metalowego. Śpiczasty nos łodzi rozpruwał cichą toń i odrzucał duże fale na prawo i na lewo. Duża, żółta latarnia na maszcie rzucała przed nami długi migocący snop światła. Na prawo ciemna plama na wodzie wskazywała nam, gdzie znajduje się „*Aurora*“, a kłębiący się obłok białego dymu świadczył, jak szybkim pędzi biegiem. Mijaliśmy barki, parowce, statki kupieckie, okrążaliśmy jedne, przesuwaliliśmy się między innymi. Z ciemności odzywały się ostrzegające nas głosy, a „*Aurora*“ pędziła niepowstrzymanie, a my dążyliśmy niezmordowanie jej śladem.

— Dokładajcie ognia! dokładajcie ognia! — krzyczał Holmes, zaglądając na dół do pokoju

maszynowego, skąd padł blask purpurowy na jego twarz wzburzoną. — Wydobądźcie całą siłę pary, jaką możecie.

— Zdaje mi się, że zblizamy się trochę — rzekł Jones, nie spuszczać wzroku z „*Aurory*“.

— Jestem tego pewien — rzekłem. — Za kilka minut będziemy przy niej.

W tej chwili wszakże złośliwy los chciał, że wjechał między nas holownik z dwiema barkami i, tylko dzięki nader zręcznemu zwrotowi, uniknęliśmy kolizji; zanim okrążyliśmy go wszakże, „*Aurora*“ zyskała już dobre dwieście jardów. Niemniej widzieliśmy ją jeszcze dokładnie, tembardziej, że ponury zmierzch zaczął ustępować jasnej, gwiazdziej nocy.

Nasze kotły rozpalone były do możliwych granic, a wątła łódź drżała i trzeszczała pod naciskiem potężnej siły, która pchała nas naprzód. Przepłynęliśmy lotem mimo Zachodnio-Indyjskich warsztatów okrętowych, wzdłuż Deptford Reach i okrążyliśmy Psią Wyspę. Czarna plama przed nami przybierała coraz wyraźniej kształty „*Aurory*“. Jones zwrócił na nią naszą lunetę, tak, że widzieliśmy wyraźnie postacie na pokładzie. Jeden mężczyzna siedział przy sterze, trzymając między kolanami coś czarnego, nad czem był pochylony. Obok niego leżała jakaś ciemna masa, która wyglądała zdala

jak wielki pies newfoundlandzki. Chłopiec trzymał rudel, a w czerwonym blasku pieca dostrzegłem starego Smith'a, obnażonego do pasa i dorzucającego węgli do ogniska. Zrazu mogli być niepewni co do tego, czy istotnie ich ścigamy, ale teraz, gdy naśladowaliśmy każdy ich zwrot i zakręt, wszelka wątpliwość była już niemożliwa.

Pod Greenwich byliśmy o jakie trzysta kroków za nimi. Pod Blackwell już nas tylko dzieliło kroków dwieście pięćdziesiąt. Polowałem na niejedno stworzenie w niejednym kraju podczas swojej kariery wojskowej, ale nigdy nie doznałem takiego wrażenia, jak podczas tego szalonego ścigania ludzi, uciekających na Tamizie. Odległość, dzieląca nas, zmniejszała się stale, jard po jardzie. Wśród ciszy nocnej dobiegał nas już odgłos stuku i turkotu ich maszyny. Człowiek przy sterze siedział ciągle pochylony na pokładzie, a ręce jego były w ciągłym ruchu, jakgdyby zajęte jakąś pracą; od czasu do czasu podnosił wzrok i mierzył nim odległość, która nas jeszcze dzieliła. Zbliżaliśmy się coraz bardziej. Jones krzyknął, żeby się zatrzymali. Byli już tylko na długość czterech łodzi przed nami. Pędziliśmy z szaloną szybkością między Barking Level z jednej strony, a melancholijnym Plumstead Marshes z drugiej.

Na krzyk, człowiek siedzący przy sterze zerwał się i pogroził nam pięściami, klnąc grubym, ochryplym głosem. Był to mężczyzna rośli, barczysty, a gdy tak stał wyprostowany dostrzegłem, że zamiast prawej nogi ma drewniany kikut. Na dźwięk jego przeraźliwych, gniewnych okrzyków poruszyła się ciemna, w kłęb zwinięta masa na pokładzie i w jednej chwili zamieniła się na małego czarnego mężczyznę — najmniejszego, jakiego w życiu widziałem — z wielką, bezkształtną głową i gęstą czupryną kędzierzawych włosów. Holmes trzymał już rewolwer w rękę, a i ja wy dobyłem swój na widok tej dzikiej postaci. Otulona była w jakiś ciemny płaszcz, tak, że twarz tylko pozostała widoczna, lecz ta twarz wystarczała, żeby przyprowadzić człowieka o noc bezsenną. Nie widziałem nigdy rysów tak głęboko napiętnowanych zwierzęcością i okrucieństwem. Małe oczki gorzały złowrogim blaskiem, z po za grubych, rozchylonych warg połyskiwały wyszczerzone na nas ze zwierzęcą dzikością wielkie zęby.

— Jeśli podniesie rękę, strzelaj — rzekł Holmes spokojnie.

Dzieliła nas już tylko długość jednej łodzi, zdobycz już nie mogła nam się wymknąć. Widziałem wyraźnie białego człowieka z szeroko rozstawionymi nogami, klnącego na czem świat

stoi i tego piekielnego karła z ohydną twarzą, wyszczerzającego na nas swe żółte, zwięzające kły.

Dobrze się stało, że widzieliśmy go tak dokładnie, bo w tejże chwili wydobył z pod płaszcza krótki, okrągły kawałek drzewa i przytknął go do ust. Rewolwery nasze odezwały się jednocześnie. Karzeł skręcił młynka, zatrzepotał rękami i krztusząc się, spadł z pokładu łodzi do rzeki. Uchwyciłem jeszcze jedno jadowite spojrzenie jego strasznych oczu, zanim znikł w toni.

Widząc to człowiek z drewnianą nogą rzucił się do steru i skręcił prosto ku wybrzeżu, tak, że w zapędzie naszym ominęliśmy jego statek. Zawróciliśmy niezwłocznie, ale on już był nad samym brzegiem. Panowała tu pustka zupełna — blask księżyca oświetlał rozległe bagnisko, tu i owdzie migotała powierzchnia kałuży, gdzieś sterczał zabłąkany krzak zieleni. Statek z głuchem warczeniem zarył się w grunt błotnisty.

Zbieg zeskoczył z pokładu, lecz drewniana noga zapadła się niezwłocznie w rozmięktą ziemię. Napróżno usiłował nogę wydostać — nie mógł już postąpić kroku ani w tył, ani naprzód.

Wył poprostu z bezsilnej wściekłości i, jak szalony, tupał w błoto drugą nogą; ale te jego wysiłki i szarpanie się sprawiły tylko, że drewniany kołek coraz głębiej zapadał się w błoto. Gdy i my dobiliśmy nareszcie do brzegu, zbieg nasz tkwił tak głęboko w rozmiętej ziemi, że musieliśmy zarzucić mu linę dokoła pasa i w ten sposób dopiero wydobyliśmy go i wciągnęli, ni by wielką niebezpieczną rybę na pokład.

Obaj Smith'owie, ojciec i syn, siedzieli zasępieni, ale na wezwanie przeszli posłusznie na nasz pokład. „*Aurore*” samą przymocowaliśmy dobrze do rufy naszej łodzi. Mocna, żelazna szkatułka, roboty indyjskiej, stała na pokładzie statku Smith'a—nie ulegało wątpliwości, że zawierała osławiony skarb Sholtów. Klucza w niej nie było; przenieśliśmy ją do naszej kabiny—ważyła niemało. Wyruszywszy znów w drogę, rzucaliśmy światło naszej latarni we wszystkich możliwych kierunkach, ale nigdzie nie dostrzegliśmy śladu wyspiarza. Gdzieś na dnie Tamiży, w brudnym szlamie spoczywają śmiertelne szczątki tego egzotycznego przybysza z dalekich krain.

— Patrz-no — rzekł nagle Holmes, wskazując pokład, nieopodal steru. — Strzeliliśmy w porę.



Tkwiał tam jeden z owych, znanych nam dobrze, zabójczych cierni. Widocznie świsnął mimo nas w chwili, kiedy strzelaliśmy. Holmes uśmiechnął się i wzruszył ramionami lekceważąco, po swojemu, ale ja wyznaję, że dreszcz wstrząsnął mną na myśl o okropnej śmierci, która była już tak blisko nas tej nocy.

## ROZDZIAŁ XI.

### Wielki skarb Agry.

Nasz jeniec siedział w kabinie, naprzeciwko żelaznej szkatułki, dla której zdobycia tyle uczynił, na którą tak długo czekał. Był to człowiek ogorzały od słońca, z dzikim wzrokiem, z siecią zmarszczek na twarzy barwy miedzianej, świadczących o życiu ciężkiem, na otwartem powietrzu przeważnie spędzonym. Obrośnięty podbródek był bardzo wystający, co jest cechą człowieka niełatwo dającego się odwieść od raz powziętego zamiaru. Lat mógł mieć około pięćdziesięciu, gdyż czarne kędzierzawe włosy były już gęsto przyprószone siwizną. Wogóle nie można powiedzieć, żeby miał twarz antypatyczną, ale gęste brwi i ten wystający podbródek nadawały jej wyraz straszny, gdy była wzburzona gniewem.

Siedział teraz ze skutemi rękoma, głowa opadła mu na piersi i utkwiał wzrok w szkatułkę, która była przyczyną jego występków. Nie-ruchoma, przygnębiona postawa Small'a wyra-

żała raczej smutek, niż gniew. Spojrzał jednak raz na mnie z błyskiem, jakby wesołości w małych, bystrych oczach.

— Przykro mi doprawdy, Jonathanie Smal-l'u — odezwał się Holmes, zapalając cygaro — że rzeczy zaszły aż tak daleko.

— I mnie również, panie — odparł szczerze.—Myszę, że się już z tego nie wykręcę. Przyśięgam panu na Biblię, że nie podniosłem ręki na p. Sholto. To ten pies, z piekła rodem, ten Tonga, cisnął w niego jedną ze swych przeklętych strzał. Ja tego nie chciałem, panie. Zmartwiłem się, jakgdyby to był mój krewny. Wygarbowałem dobrze skórę temu czarnemu djabłu, ale, co się stało, odstąpić się już nie mogło.

— Masz tu cygaro—rzekł Holmes—zapal. Powiedz mi, jak mogłeś przypuszczać, że taki mały i słaby człowiek, jak ten czarny Tonga, zdoła pokonać pana Sholto i trzymać go, dopóki ty nie wejdiesz po linie?

— Pan tak mówi, jakgdyby pan był przy tem... Coprawda, spodziewałem się, że w pokoju nie będzie nikogo. Znałem dość dobrze zwyczaje domowe i wiedziałem, że o tej porze pan Sholto schodzi zawsze na kolację. Nie chcę nic ukrywać! Najlepszą moją obroną będzie wyznanie całej prawdy. Otóż, gdyby to

był stary major, z lekkim sercem poszedłbym za niego na szubienicę. Nie zastanawiałbym się nad zabiciem go więcej, niż nad wypaleniem tego cygara. Ale ciężko pomyśleć, że to ten młody, z którym nie miałem nigdy najmniejszego zatargu... diabła sprawal!

— Jesteś pod dozorem pana Athelneya Jones'a ze Scotland Yardu, który cię zaprowadzi do mnie, a ja zażądam od ciebie wyznania całej prawdy. Musisz powiedzieć wszystko; jeśli nic nie ukryjesz, myślę, że będę mógł ci dopomóc. Zdołam dowieść, zdaje mi się, że trucizna owa działa tak szybko, iż pan Sholto nie żył, zanim wszedłeś do pokoju.

— Bo tak też było, panie. Jak żyję, nie przeraziłem się tak okropnie, jak w tej chwili, kiedy, wlaższy przez okno, spostrzegłem go z wykrzywioną twarzą i głową przechyloną na ramię. Zdrętwiałem poprostu. Byłbym chyba zabił Tonga, gdyby nie był uciekł na dach. Dlatego to zostawił swoją maczugę i te strzały, które dopomogły panu do odnalezienia naszych śladów; chociaż, w jaki sposób wogóle wpadł pan na nasz trop, doprawdy nie pojmuję. Nie mam do pana żalu za to. Ale, niewesoła to rzecz pomyśleć — dodał z gorzkim uśmiechem — że ja, który mam słuszne prawa do kapitału półmilionowego, spędziłem pierwszą

połowę życia na budowaniu grobli na Andamanach, a drugą spędzę na kopaniu kanałów w Dartmoorze. Przeklęty to był dzień, kiedy oczy moje ujrzały po raz pierwszy kupca Achmeta i usłyszałem o skarbie Agry, który zawsze tylko przynosił nieszczęście swemu właścicielowi. Jemu przyniósł morderstwo, majorowi Sholto strach i występki, a mnie niewolę do końca życia.

W tej chwili Athelney Jones wsunął swoją szeroką twarz i barczystą postać do małej kabiny.

— Bardzo przyjemna gawęda, jak widzę — zauważył. — Panie Holmes, możemy sobie pozwolić. Szkoda, żeśmy i tamtego nie schwytali żywcem; ale trudno, niepodobna było postąpić inaczej. Dokonał pan i tak rzeczy niemałej; dogonić „*Aurorę*“, to sztuka nielada.

— Nie przypuszczałem istotnie, że jest taka szybka — odparł Holmes.

— Smith utrzymuje, że to jedna z najszybszych łodzi parowych na rzece i zapewnia, że, gdyby był miał jeszcze człowieka do pomocy przy maszynie, nie dogonilibyśmy ich nigdy. Przysięga, że nic nie wiedział o tej całej sprawie w Norwood.

— A bo też nie wiedział! — zawołał nasz więzień — ani słowa. Wybrałem jego łódź, bom

słyszał, że taka szybka. Nie powiedzieliśmy mu nic, zapłacilibyśmy dobrze i byłby dostał jeszcze coś ładnego, gdybyśmy zdążyli na nasz okręt „*Esmeralda*“ w Gravesend, który odplywa do Brazylii.

— Skoro nie zrobił nic złego, postaramy się o to, żeby i jemu nie stała się krzywda. Jeśli umiemy uwinąć się i chwytny w lot tych, których ścigamy, nie jesteśmy znów tacy pochopni w potępianiu ich.

Zabawny był pełen godności Jones, który zaczynał już mówić tak, jakgdyby schwytny Small'a było jedynie jego zasługą. Z uśmiechu, jaki przemknął się po twarzy Sherlocka Holmesa wniosłem, że i on zauważył słowa Jonathana.

— Podjeżdżamy do mostu Vauxhall - odezwał się znów Jones;—doktorze Watson'ie, pan tu wylądował wraz ze szkatułką. Nie potrzebuję chyba panu mówić, że, zezwalając na to, biorę na siebie wielką odpowiedzialność. Sprzeciwia się to wszelkim przepisom; ale oczywiście umowa pozostaje umową. Wszelako obowiązek urzędu nakazuje mi posłać z panem jednego z inspektorów, skoro pan ma ze sobą taką cenną szkatułkę. Pan niewątpliwie pojedzie?

— Tak jest, pojedę.

— Szkoda, że niema klucza, moglibyśmy

zrobić spis tego, co się tam znajduje. Będzie pan musiał otwierać przemocą. Gdzie klucz, mój przyjacielu?

— Na dnie rzeki—odparł Small sucho.

— Hm! Niepotrzebnie przyczyniłeś nam tego kłopotu. Już i tak mieliśmy przez ciebie robotę niemałą. Chyba zbyt wiele jest, doktorze, ostrzegać cię, żebyś był ostrożny. Niech pan przywiezie szkatułkę ze sobą do mieszkania przy ulicy Baker, gdzie nas pan znajdzie, zanim udamy się do urzędu policyjnego.

Wysadzili mnie na ląd w Vauxhallu, wraz z ciężką żelazną szkatułką i uroczystym a uprzejmym inspektorem policyjnym, jako towarzyszem. W kwadrans później dorożka moja stanęła przed mieszkaniem pani Cecylji Forrester. Służąca ze zdumieniem przyjęła tak spóźnionego gościa. Objaśniła, że pani Forrester wyszła na wieczór i powróci pewnie bardzo późno; miss Morstan jednak jest w bawialni. Poszedłem tedy do bawialni, niosąc szkatułkę; uprzejmego inspektora pozostawiłem w dorożce.

Miss Morstan siedziała przy otwartem oknie, ubrana w jakąś przezroczystą białą suknię, z purpurową kokardą w pasie i przy szyi. Łagodne światło osłoniętej ciemnikiem lampy padało na jej postać, siedzącą w koszykowym fotelu, oświetlając słodkie, poważne oblicze, wznecając

metaliczne błyski w obfitych lśniących zwojach jej włosów. Lewa biała ręka zwieszona była niedbale przez poręcz fotelu, a cała postawa wyrażała tęskny smutek. Na odgłos kroków moich miss Morstan zerwała się, a rumieniec zabarwił jej blade lica, oczy zajaśniały wyrazem radosnego zdumienia.

— Słyszałam zajeżdżającą dorożkę — rzekła. — Myślałam, że to pani Forrester wraca tak wcześnie... ani mi przyszło do głowy, że to pan. Jakież mi pan nowiny przynosi?

— Przynoszę pani więcej niż nowiny — rzekłem, stawiając szkatułkę na stole; mówiłem tonem przesadnie wesołym, choć serce ciążyło mi ołowiem — Przynoszę pani coś, co warte jest więcej, niż wszelkie nowiny na świecie. Przynoszę pani majątek.

Spojrzała na żelazną szkatułkę.

— A więc to jest ów skarb? — spytała dość obojętnie.

— Tak, to jest wielki skarb z Agry. Połowa należy do pani, a połowa do Tadeusza Sholto. Każde z was będzie miało po kilkaset tysięcy. Niech pani tylko pomyśli! Dziesięć tysięcy funtów rocznej renty. Niewiele będzie bogatszych od pani panien w Anglii. Czy to nie świetnie?

Zdaje mi się, że musiałem trochę przesadzić swój zachwyt i że wyczuła nieszczerzy ton



słów moich, bo spojrzała na mnie zdumionym wzrokiem.

— Jeśli ten skarb posiadam, winnam to panu—rzekła.

— Nie, nie — odparłem — nie mnie, lecz memu przyjacielowi, Sherlockowi Holmesowi. Przy całej dobrej woli nie byłbym w stanie śledzić wątku, który chwilami zawodził nawet genialne zdolności śledcze Holmesa. Mało brakło, żebyśmy zupełnie tego wątku nie zatracili w ostatniej chwili.

— Proszę, panie doktorze, niech pan usiądzie i opowie mi wszystko—rzekła.

W krótkich słowach opowiedziałem jej tedy co zaszło od chwili, kiedy ją widziałem po raz ostatni. Nową metodę poszukiwań Holmesa, wykrycie „*Aurory*“, zjawienie się Athelney'a Jonesa, naszą wyprawę wieczorną i szaloną pogon na Tamizie. Z rozchyłonymi ustami i roziskrzonym okiem słuchała opowieści naszych przygód. Gdy wspomniałem o strzale, która nas ominęła, miss Morstan pobladła tak silnie, że obawiałem się, iż zemdleje.

— To nic—rzekła, gdy podałem jej spiesznie szklanke wody. — Już przeszło. Przeraziłam się, słysząc na jakie straszne niebezpieczeństwo naraziłam swoich przyjaciół.

— To wszystko minęło—odparłem. — Dro-

bnostka! Nie będę pani już opowiadał ponurych szczegółów. Pomówmy o czemś weselszem. Przecież tu jest skarb! Czy może być coś weselszego? Uzyskałem pozwolenie na zabranie go ze sobą; pomyślałem, że może pani będzie rada obejrzeć te cuda pierwaj niż inni.

— Owszem, będę bardzo rada — odparła.

W głosie jej wszakże nie dźwięczał najlżejszy odcień zapalu lub choćby niecierpliwości. Zmiarkowała się wszakże, iż niewdzięcznością z jej strony może się wydać ta obojętność dla zdobyczy z takim trudem uzyskanej, i dodała:

— Jaka ładna szkatułka! Wszak to wyrób indyjski?

— Tak jest; tak, z Benaresu.

— A jaka ciężka! — zawołała, usiłując ją podnieść. — Sama szkatułka musi mieć niemałą wartość. Gdzie klucz?

— Small wrzucił go do Tamizy — odpowiedziałem. — Będę musiał uciec się do pomocy pogrzebacza.

Szeroki i gruby skobel, na którym wryty był wizerunek siedzącego Buddy, przytrzymał wieko. Pod ten skobel wsunąłem haczyk pogrzebacza, podważyłem i skobel odskoczył z głośnym trzaskiem. Drżącymi palcami otwo-

rzyłem wieko. Spojrzeliśmy wewnątrz i osłupieliśmy. Szkatułka była pusta!

Nic dziwnego, że była taka ciężka; żelazne ścianki miały blisko cal grubości, a robota była solidna, mocna, jak być powinna w szkatułce, przeznaczonej do przechowywania cennych rzeczy. Ale nie zawierała nawet odłamka metalu, ani najmniejszego drogiego kamyka. Była najzupełniej pusta.

— Skarb zginął! — rzekła miss Morstan spokojnie.

Gdy usłyszałem te słowa i zrozumiałem co znaczą, zdawało mi się, że wielki cień usuwa się z mej duszy. Jakim ciężarem ten skarb z Agry przytłaczał mi serce, przekonałem się dopiero teraz, kiedy się go pozbyłem ostatecznie. Było to z mojej strony samolubne, nielojalne, niepocziwe — wiem o tem, ale w danej chwili obchodziło mnie tylko to, że złota przegroda, jaka nas dzieliła, znikła.

— Bogu dzięki! — zawołałem z głębi serca.

Miss Morstan spojrzała na mnie wzrokiem pytającym, z uśmiechem na ustach.

— Dlaczego pan tak mówi? — spytała.

— Dlatego, że teraz już cię nic odemnie nie oddala — rzekłem, biorąc jej rękę, której mi nie cofała. — Dlatego, że kocham cię, Marjo, dlatego, że ten skarb, te bogactwa zamykały

mi usta. Taraz, gdy ich już niema, mogę ci mówić, jak wielką jest moja miłość. I dlatego powiedziałem „Bogu dzięki“.

— Skoro tak, to i ja mówię „Bogu dzięki“—szepnęła, gdy tuliłem ją w objęciach.

## ROZDZIAŁ XII.

### Osobliwe dzieje Jonathana Small'a.

Inspektor w dorożce musiał być człowiekiem bardzo cierpliwym—minęło czasu niemało, zanim powróciłem do niego. Pokazałem mu pustą szkatułkę, a na ten widok twarz jego zasępiła się.

— Djabli wzięli nagrodę!—rzekł gniewnie.— Gdzie niema pieniędzy, niema i zapłaty. Noc dzisiejsza byłaby i Samowi Brown'owi i mnie przyniosła spory grosz, gdyby skarb się znalazł.

— Pan Tadeusz Sholto jest człowiekiem bogatym — rzekłem; — wynagrodzi was niechybnie, bez względu na zniknięcie skarbu.

Inspektor potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Kiepska sprawa — rzekł — p. Athelney Jones będzie zły.

Przepowiednia jego sprawdziła się, bo, gdy powróciłem na ulicę Baker i pokazałem pustą szkatułkę Jones'owi, poblądł z gniewu. Przyjechali na chwilę przed nami, Holmes, wię-

zienia i on, bo po drodze namyślili się i zameldowali o tem, co zaszło, na jednej z poblizkich stacji policyjnych. Mój współlokator, ze zwykłym obojętnym wyrazem twarzy, rozparł się wygodnie w fotelu. Small zaś siedział naprzeciwko niego, chmurny, milczący. Spojrzawszy na pustą szkatułkę, przechylił się w tył i wybuchnął głośnym śmiechem.

— To twoja sprawa! — rzekł Athelney Jones ze złością.

— Tak, schowałem skarb tak, że go nigdy nie dostaniecie — zawołał. — Ten skarb jest mój, a skoro ja go mieć nie mogę, nikt tych bogactw nie dostanie; jużem ja się o to postarał. Mówię wam, że nikt na świecie nie ma prawa do skarbu, oprócz trzech ludzi, którzy przebywają w koszarach aresztanckich, na Andamanach, i mnie. Wiem teraz, że ani ja, ani oni nie mogą ze skarbu korzystać. Pracowałem zarówno dla nich, jak i dla siebie, zawsze w imieniu czterech. Jestem pewien, że oni uczyniliby to samo, co ja i raczej wrzuciliby skarb do Tamizy, niż mieliby go oddać krewnym Sholta lub Morstana. Nie dla z bogacenia ich sprzątnęliśmy Achmeta. Znajdziecie panowie skarb tam, gdzie jest klucz i gdzie spoczywa mały Tonga. Gdy widziałem, że łódź wasza doścignie nas niechybnie, ukryłem zdobycz

w miejsce bezpieczne. Ta podróż nie przynie-  
sie wam rupii.

— Okłamujesz nas—rzekł Athelney Jones  
surowym tonem; — gdybyś chciał wrzucić skarb  
do Tamizy, łatwiej byłoby ci zatopić go wraz  
ze szkatułką.

— Tak, byłoby łatwiej mnie zatopić, a wam  
znaleźć — odparł, zerkając na nas przebiegle,  
z ukosa. — Ten, kto był taki mądry, że mnie  
wytropił, byłby też taki mądry, że wydobyłby  
szkatułkę z dna rzeki. Teraz, kiedy klejnoty  
i pieniądze rozsypane są na przestrzeni jakich  
pięciu mil, sprawa będzie trudniejsza. A jednak  
serce mi się krajało, gdym to robił. Byłem  
nawpół przytomny, gdym spostrzegł, że niema  
ratunku. No, ale co tu się już teraz martwić!  
Bywałem w życiu na wozie i pod wozem, ale  
nauczyłem się nie płakać nad rozlanem mlekiem.

— Sprawa jest bardzo poważna — rzekł  
agent śledczy. — Gdybyś był dopomógł sprawie-  
dliwości, zamiast postępować tak na przekór,  
miałbyś lepsze widoki uniewinnienia podczas  
procesu.

— Sprawiedliwość! — zawołał drwiąco były  
więzień. — Ładna mi sprawiedliwość! Czyja to  
zdobycz, jeśli nie nasza? Gdzież jest sprawie-  
dliwość, skoro mam zdobycz oddać tym, którzy  
na nią nie zapracowali? A ja zapracowałem

ciężko! Spędziłem dwadzieścia długich lat wśród tych bagnisk, które są źródłem febry i gorączki, przez cały dzień przy robocie pod drzewami mangrowji, przez całą noc skuty kajdanami w wilgotnej chacie aresztanckiej, kąsany przez moskity, trzęsiony febrą, zawsze popychany i częstowany kułakami przeklętych, czarnoskórych dozorców, którzy z upodobaniem pastwią się nad ludźmi białymi... Tak to zdobyłem skarb z Agry, a wy mi mówicie o sprawiedliwości dlatego, że nie mogę zrozumieć, iż okupiłem go za taką cenę po to, żeby inny z niego korzystał! Wolałbym wisieć na szubienicy, lub uczuć w skórze jedną ze strzał morderczych Tongi, niż gnić w celi więziennej i dręczyć się myślą, że ktoś inny żyje wygodnie w pałacu za pieniądze, które powinny być moje.

Small zrzucił maskę stoicyzmu i wypowiedział te słowa bezładnie, z roziskrzonym wzrokiem, machając namiętnie rękoma i szczękając kajdanami. Zrozumiałem teraz, gdy patrzył na wściekłość tego człowieka, że trwoga, jaka ogarnęła majora Sholto, na wieść, iż pokrzywdzony więzień go ścigał, nie była nieuzasadniona, ani urojona.

— Zapominasz, że my o tem nic nie wiemy — rzekł Holmes; — nieznanne nam są twoje dzieje, stąd też nie możemy osądzić o ile



sprawiedliwość początkowo była po twojej stronie.

— Prawda, panie. Pan mówi ze mną poczciwie, jakkolwiek panu wyłącznie mam do zawdzięczenia te obrączki na rękach. Nie żywię jednak żalu do pana. Postąpił pan, ze swego stanowiska, słusznie. Jeśli pan chce usłyszeć moje dzieje, nie będę ich przed panem ukrywał. To, co powiem, jest świętą prawdą, niema w tem ani jednego fałszywego słowa.. Dziękuję panu, niech pan postawi tu szklanke, umoczę w niej usta, gdy mi zaschną.

„Jestem z Worcestershire'u, urodziłem się w pobliżu Pershoren. Gdyby pan tam zajrzał, znalazłby pan mnóstwo Small'ów. Często brała mnie ochota tam pojechać, ale, prawdę mówiąc, nie miałem nigdy uznania w rodzinie i wątpię, czy ucieszyliby się bardzo moim widokiem. Wszyscy moi krewniacy to ludzie stateczni, bogobojni, drobni farmerzy, znani i szanowani w okolicy, ze mnie zaś był zawsze kawał włóczęgi. W końcu jednak, mając lat osiemnaście, przestałem im przyczyniać kłopotu; wlażłem w awanturę o dziewczynę i nie miałem innego wyjścia prócz wojska. Wstąpiłem tedy do pułku, który odpływał właśnie do Indji.

„Nie było mi wszakże przeznaczone długo być żołnierzem. Zdążyłem nauczyć się ma-

szerować gęsiego i trzymać muszkiet, gdy zachciało mi się pewnego dnia pływać w Gangesie. Na szczęście, sierżant z mojej kompanji, Jan Holders, był razem ze mną, a pływał znakomicie. Zaledwie oddaliłem się od brzegu, krokodyl schwycił mnie za prawą nogę i odciął mi ją swemi żębiskami tuż nad kolaniem tak dokładnie, jak chirurg. Z bólu i utraty krwi zemdlałem i utonąłbym niechybnie, gdyby Holders nie był mnie schwycił i zaniósł na brzeg. Pięć miesięcy leżałem w szpitalu, a gdy nareszcie wydostałem się z tą pałką, przymocowaną do mego kikuta, dowiedziałem się, że jestem wypisany z armji, jako inwalid, niezdolny do służby czynnej.

„Łatwo sobie wyobrazić, jak przedstawiała mi się wówczas przyszłość, skoro zostałem beużytecznym kaleką, nie mając lat dwudziestu. Niebawem wszakże okazało się, że moje nieszczęście było błogosławieństwem. Niejaki Abel White, który założył tam plantacje indyga, potrzebował właśnie nadzorca, który pilnowałby kulisów i naganiał ich do roboty. Zdarzyło się, że był to dobry znajomy naszego pułkownika, który zainteresował się mną od czasu wypadku. Krótko mówiąc, pułkownik polecił mnie usilnie na tę posadę, a ponieważ obowiązki musiały być wypełniane przeważnie konno, przeto noga

moja nie była wielką przeszkodą, gdyż pozostało mi jej tyle jeszcze, że mogłem się utrzymać w siodle. Praca moja polegała na objężdżaniu plantacji, pilnowaniu robotników i strofowaniu próżniaków. Pensję miałem dobrą, mieszkanie wygodne, jedynym moim życzeniem zatem było spędzić resztę życia w plantacjach indyga. Pan Abel White był bardzo dobry, często wpadał do mojej skromnej siedziby i wypalił ze mną fajkę, bo ludzie biali tam, na obczyźnie, lgną do siebie tak, jak nigdy tutaj, w kraju.

„Szczęście jednakże nigdy nie sprzyjało mi długo. Nagle, bez żadnej wskazówki ostrzegawczej, wybuchło wielkie powstanie. Przez miesiąc panował w Indjach taki spokój na pozór jak w Surrey lub w Kencie; aż tu naraz zbuntowało się ~~dwieście~~ dwieście tysięcy czarnych djabłów i kraj stał się istnem piekłem. Panowie wiedzą przecież doskonale, co się tam wtedy działo, lepiej odemnie prawdopodobnie, skoro czytacie, a to nie mój fach. Ja wiem tylko to, co widziałem na własne oczy. Nasza plantacja znajdowała się w miejscowości, nazwanej Mutra, na kresach prowincji północno-zachodnich. Noc w noc na całym widnokregu świeciła luna od pożaru płonących osad i wiosek, a dzień w dzień przez posiadłość naszą przeciągali Eu-

ropejczycy z żonami i dziećmi, dążąc do Agry, gdzie znajdowała się najbliższa załoga wojskowa.

„Pan Abel White był człowiekiem upartym. Wbił sobie w głowę, że ludzie przesadzili i że cały ten bunt zgaśnie równie nagle, jak powstał. I siedział sobie spokojnie na werandzie, popijając whisky i paląc fajkę, gdy kraj dokoła niego był w ogniu. Oczywiście nie opuściliśmy go, ja i Dawson, który, wraz z żoną prowadził książki i gospodarstwo. Ale pewnego pięknego dnia przysła katastrofa. Byłem na odległej plantacji i wieczorem powracałem do domu, jadąc stępa, gdy nagle oczy moje padły na jakiś kłęb ciemny, leżący na łąsku przy drodze. Podjechałem bliżej, by zobaczyć co to takiego i omal nie spadłem z konia... była to żona Dawson'a, pokrajana w kawałki, nawpół pożarta przez szakale i psy krajowe. Nieco dalej leżał na twarzy Dawson, nieżywy, z rewolwerem w ręku, a przed nim czterech Sepojów, jeden na drugim.

Zatrzymałem konia, chcąc zebrać myśli i zastanowić się, co począć; lecz w tejże chwili spostrzegłem słup dymu, unoszący się nad domkiem Abela White'a i płomienie, wydobywające się przez dach. Wobec tego nie mogłem już pomóc swemu pracodawcy, a postradałbym tylko własne życie, gdybym się w to wmieszał.

Z miejsca, w którym się zatrzymałem, mogłem dostrzedz setki czarnych szatanów, z czerwonymi płachtami na plecach, jak tańczyli, wyjąc, dokoła płonącego domu. Niektórzy zaczęli wskazywać mnie i niebawem kilka kul świsnęło mi mimo uszu; ruszyłem tedy galopem przez pola i późną nocą stanąłem szczęśliwie w murach Agry.

„Okazało się jednak, że i tu pobyt nie był bardzo bezpieczny. W całej okolicy wrzało jak w ulu. Gdzie tylko Anglicy mogli zebrać się w małe gromady, bronili się zacięcie; w innych miejscowościach padali bezbronni ofiarą. Była to walka milionów przeciw setkom i to z naszej strony walka z tymi, którzy stanowili część naszego własnego wojska, których uczyliśmy i ćwiczyli, a którzy teraz zabijali nas naszą własną bronią, strzelali naszemi własnymi kulami. W Agrze stała 3-cia kompanja fuzyljerów bengalskich, mały oddział Sikhów, dwa oddziały konnicy i baterja artylerji. Utworzył się też oddział ochotniczy z pracowników handlowych i kupców i do tego oddziału przyłączyłem się, mimo drewnianej nogi. W pierwszych dniach lipca wyruszyliśmy pod Szangunge i tu pobiliśmy powstańców, ale zabrakło nam prochu; musieliśmy zatem powrócić do miasta.

„Ze wszystkich stron dochodziły nas naj-

gorsze wieści, czemu trudno się dziwić, bo, spojrzawszy na mapę, przekona się pan, że byliśmy w samym ognisku buntu. Lucknow oddalony jest o jakie sto mil na wschód, Cawnpore o tyleż mniej więcej na południe. Dokoła nas szerzyła się pożoga i okrucieństwo.

„Agra jest dużym miastem, pełnym fanatyków i rozmaitego rodzaju fakirów. Nasza garstka ludzi zginęłaby wśród wąskich, krętych ulic; przywódca nasz tedy przeprowadził nas przez rzekę i zajął stanowisko w starym forcie Agry. Nie wiem czy panowie słyszeli co kiedy, albo czytali o tym starym forcie. Ponura to, dziwaczna miejscowość, osobliwszej nie widziałem, choć byłem w niejednym zapadłym kącie. Przedewszystkiem jest olbrzymich rozmiarów; zdaje mi się, że wały zajmują dziesiątki akrów. Jest tam część nowa, gdzie mieściła się nasza załoga, kobiety, dzieci, zapasy, słowem wszystko, a pozostało jeszcze mnóstwo miejsca. Ale ta część nowa nie może, pod względem rozmiarów, równać się ze starą, która stoi pustką, zaludniona tylko przez skorpiony i stonogi. Pełno tam wielkich opuszczonych izb, krętych przejść, długich korytarzy, tak, że bardzo łatwo człowiekowi zabłądzić. Stąd też rzadko kiedy chodził tam ktokolwiek; od czasu

do czasu zbierało się grono ludzi i, zaopatrzeni w pochodnie, szli badać pustkowie.

„Rzeka płynie wzdłuż frontu starego fortu, stanowi tedy jego obronę; ale z boków i od tyłu są liczne wejścia i tych trzeba było strzedz zarówno w starej części, jak i w nowej, zajętej przez nasze wojska. Nie było nas wielu; za ledwie tyłu, że mogliśmy postawić straż na rogach budynku i obsłużyć armaty. O silnej straży przed każdym z niezliczonych wejść mowy być nie mogło. Zorganizowaliśmy zatem w środku fortu straż centralną, a każde wejście oddaliśmy pod opiekę jednemu człowiekowi białemu i dwom albo trzem krajowcom. Mnie powierzono straż przez kilka godzin nocnych przy małych, odosobnionych drzwiach od południowo-zachodniej strony fortu. Dodano mi dwóch żołnierzy, Sikhów, i zalecono, abym, w razie niebezpieczeństwa, dał ognia z muszkie'u, gdyż mogę być pewien, że niezwłocznie nadejdzie pomoc ze straży centralnej. Ponieważ jednak straż ta była o dobre dwieście kroków oddalona, a przestrzeń, dzieląca mnie od niej, przecięta labiryntem przejść i korytarzy, przeto miałem wielkie wątpliwości, czy mogliby przyjść na czas w razie istotnego napadu.

„To powierzone mi dowództwo nad dwoma żołnierzami przejmowało mnie niemałą du-

ma, bo przecież byłem tylko prostym rekrutem, a do tego o jednej nodze. Przez dwie noce sprawowałem straż ze swoimi Pundżabami. Były to silne, wysokie chłopcy, o ponurych twarzach; nazywali się: Mahomet Singh i Abdulla Khan, obaj starzy wojownicy, którzy niegdyś walczyli przeciw nam pod Czilian Wallah. Mówili po angielsku dosyć dobrze, ale trudno mi było wciągnąć ich do rozmowy. Woleli stać razem i bełkotać przez całą noc swoim niezrozumiałym językiem. Ja zaś stałem zazwyczaj po za bramą i patrzyłem na szeroką wijącą się rzekę i na migocące światła wielkiego miasta. Bicie w bębny, szczęk broni, wyście i wrzaski powstańców, upojonych opiumem, nie pozwoliły mi przez całą noc zapomnieć o naszych niebezpiecznych sąsiadach po tamtej stronie rzeki. Co dwie godziny oficer dyżurujący obchodził dokoła wszystkie straże, aby się przekonać, że są na miejscu.

„Trzecia noc mojej służby była ciemna, drobny deszcz mżył nieustannie. Stanie na straży w taką pogodę, to rzecz niewesoła. Próbowalem raz po raz wciągnąć moich Sikhów do rozmowy, ale bez powodzenia. O drugiej nad ranem, oficer odbył przegląd i przerwał na chwilę jednostajność nocy. Widząc, że ostatecznie z moich towarzyszków nie wydobęde słowa,



wyjąłem fajkę i oparłem o mur muszkiet, aby zapalić zapałkę. W jednej chwili obaj Sikhowie rzucili się na mnie. Jeden z nich schwytał mój karabin i mierzył mi prosto w głowę, drugi zaś wy dobył wielki nóż i, trzymając go nad mojem gardłem, przysięgał przez zaciśnięte zęby, że go we mnie zatopi, jeżeli się ruszę z miejsca.

„Odrazu przyszło mi na myśl, że te dwa lotry są w zмовie z powstańcami i że ich napad na mnie jest początkiem ataku. Jeśli nasza brama jest w rękach Sepojów, myślałem, fort się nie ostoi, a kobiety i dzieci spotka taki sam los jak w Cawnpore. Może panowie pomyślą, że to z mojej strony przechwałki, ale daję panom słowo, iż, gdy o tem pomyślałem, jakkolwiek miałem ostrze noża na gardle, otworzyłem usta, żeby krzyknąć dla zaalarmowania głównej straży, choćby to miał być mój krzyk ostatni. Ten, który mnie trzymał, odgadł moje myśli, bo szepnął: „Nie róbcie hałasu, sahib. Fort jest bezpieczny. Z tej strony rzeki niema tych zbuntowanych psów“. W tonie jego był dźwięk prawdy; nie wątpiłem, że jeśli podniosę głos, padnę trupem. Wyczytałem to w oczach tego, który do mnie mówił. Czekałem tedy w milczeniu na wyjaśnienie, czego właściwie chcą odemnie.

— „Postuchaj mnie, sahib — rzekł wyższy i bardziej ponury, ten, którego nazywano Abdullahem Khanem. — Albo przystaniecie do nas, albo umilkniecie na zawsze. Zbyt ważna to dla nas sprawa, żebyśmy się mieli wahać. Albo zaprzedacie się nam ciałem i duszą, przysięgniecie na krzyż chrześcian, albo wasz trup spocznie w rowie, a my przejdziemy na stronę powstańców. Niema drogi pośredniej! A więc, co wybieracie, śmierć, czy życie? Możemy wam dać tylko trzy minuty do namysłu bo czas mija, a wszystko musi być załatwione, zanim patrol znów wróci.

„— Jakżeż ja mogę się decydować? — rzekłem. — Nie powiedzieliście mi jeszcze czego odemnie chcecie. Ale, zapowiadam wam, że jeśli to jakiś spisek przeciw bezpieczeństwu fortu, nie wejdę z wami w żadne układy; możecie zatem od razu wepchnąć mi nóż w gardło.

„— Nie, to żaden spisek przeciw fortowi — odrzekł. — Żądamy tylko od was tego, po co wasi rodacy przybywają tu do kraju. Chcemy, żebyście się zбоgacili. Jeśli dopomożecie nam dzisiaj, przysięgamy wam na ten nóż obnażony potrójną przysięgą, której żaden Sikh jeszcze nie złamał, że otrzymacie należną część łupu. Czwarta część skarbu będzie wasza.

„— Ale, gdzie ten skarb? — spytałem. —

Jestem równie, jak wy, gotów się z bogacić, jeśli mi tylko wskażecie sposób.

„— Przysięgniecie mi zatem — rzekł — na kości ojca, na honor matki, na krzyż wiary swojej, że nie podniesiecie ręki, ani głosu przeciw nam, ani teraz, ani też później?

„— Przysięgnę — odparłem — byle tylko fort nie był zagrożony.

„— W takim razie towarzysz mój i ja przysięgniemy, że otrzymacie czwartą część skarbu, który zostanie podzielony między nas czterech.

„— Ależ, kiedy nas jest tylko trzech — zauważyłem.

„— Nie; Dost Akbar musi także mieć część swoją. Możemy wam opowiedzieć o co chodzi, czekając na nich. Mahomecie Sinhu, ty pilnuj drogi i daj znak, gdy będą nadchodzili. Powiem wam, jak rzeczy stoją, sahibie, bo wiem, że biały przysięgi dochowuje i że możemy wam ufać. Gdybyście byli łgarzem Indusem, to, choćbyście przysięgali na wszystkie bogi i ich fałszywych świętych, krew wasza polałaby się z pod noża, a ciało wasze spoczęłoby w wodzie. Ale Sikh zna Anglika, a Anglik zna Sikha. Słuchajcie zatem, co wam mówić będę.

„— Jest w prowincjach północnych radżah, który ma wielkie bogactwa, chociaż grun-

ty jego nieduże. Wziął sporo po ojcu, a więcej jeszcze uzbierał sam, bo ma niską naturę i woli złoto gromadzić, niż je rozdawać. Gdy wybuchły rozruchy, chciał być w przyjaźni ze lwem i z tygrysem, z Sepojami i z wojskiem królowej. Niebawem wszakże wydało mu się, że panowanie białych bliskie końca, bo w całym kraju słyhać było o ich porażkach i śmierci. Ponieważ zaś jest człowiekiem ostrożnym, postanowił urządzić się tak, żeby mu pozostała chociaż połowa skarbu. Złoto i srebro zachował w sklepieniach podziemnych swego pałacu, ale najcenniejsze kamienie i najdroższe perły, jakie miał, włożył do skrzynki żelaznej i powierzył je zaufanemu słudze z poleceniem, aby je zaniósł do fortu Agry, gdzie mają pozostać dopóki spokój nie zapanuje znów w kraju. W ten sposób, jeśli powstańcy zwyciężą, radżah będzie miał pieniądze, a jeśli zwycięzcami zostaną wojska angielskie, w takim razie ocali klejnoty. Podzieliwszy tak skarby swoje radżah przystał do Sepojów, którzy stali na pograniczu jego włości.

— Ów sługa radżaha podróżuje przebrany za kupca pod nazwiskiem Achmeta, jest już w Agrze i pragnie dostać się do fortu. Ma on ze sobą, jako towarzysza podróży, mego brata mlecznego, Dosta Akbara, który zna tajemnicę.

Dost Akbar przyrzekł mu, że dzisiejszej nocy podprowadzi go do bocznego wejścia fortu i wybrał to, którego my strzeżemy. Tutaj przyjdzie niebawem i tutaj zastanie czekających Mahometa Singha i mnie. Pusto tu wszędzie i nikt nie będzie wiedział o jego przyjsciu. Świat nie usłyszy już o kupcu Achmecie, ale wielki skarb radżaha zostanie między nas podzielony. I cóż wy na to, sahibie?

„W Worcestershirze życie człowieka wydaje się rzeczą wielką i świętą; inna sprawa, gdy dokoła ciebie krew i pożoga i przyzwyczaiłeś się do widoku śmierci na każdym kroku. Czy kupiec Achmet będzie żył, czy umrze, było mi to zupełnie obojętne; ale, na wzmiankę o skarbie, serce zabiło mi gwałtownie i pomyślałem, co zrobiłbym z nim w kraju rodzinnym i jak wszyscy moi osłupieliby, widząc, że ich nicpoń wraca z kieszeniami pełnymi złota. Zdecydowałem się tedy odrazu. Abdulla Khan wszelako, myśląc, że się waham, nalegał coraz usilniej.

„—Zastanówcie się, sahibie — mówił — że, jeśli komendant schwyta tego człowieka, każe go powiesić, albo rozstrzelać, a klejnoty zabierze rząd i nikt nie skorzysta na tem ani jednej rupji. Skoro zaś my go schwytemy, dlaczego nie mielibyśmy postąpić tak samo? Klejnoty

będą równie dobrze przechowane u nas, jak w szkatule rządowej, a jest ich tyle, że z każdego z nas zrobią bogacza i wielkiego wodza. Nikt nie będzie nic wiedział, bo jesteśmy tu odcięci od wszystkich. Czy może się nadarzyć lepsza sposobność? Powiedzcie zatem, sahibie, czy jesteście z nami, czy też mamy was uważać za wroga?

„— Jestem z wami duszą i ciałem — odpartem.

„— To dobrze—rzekł, zwracając mi karabin.—Widzicie, że wam ufamy, gdyż wasze słowo, podobnie jak nasze, złamane być nie może. Teraz już tylko będziemy czekali na mojego brata i onego kupca.

„— Czy twój brat wie, co chcesz uczynić?—spytałem.

„— Plan jest jego. On go obmyślił. Staniemy z Mahometem Singhiem u wejścia i będziemy pilnowali drogi.

„Deszcz padał ciągle, zaczynała się bowiem właśnie dżdżysta pora. Brunatne, ciemne chmury przeciągały ciężale po niebie i trudno było widzieć przed sobą na odległość kilkunastu kroków. Przed naszym wejściem ciągnął się głęboki rów, ale woda w nim w niektórych miejscach wyschła zupełnie i można było z łatwością przejść przez niego. Dziwnie mi było stać

tak z tymi dzikimi Pundżabami i czekać na człowieka, który miał przyjść po pewną śmierć.

„Nagle dostrzegłem blask przyćmionej latarni po drugiej stronie rowu. Znikła po chwili między szańcami, a potem ukazała się ponownie, zbliżając się powoli w naszym kierunku.

„— Idą! — zawołałem.

„— Wezwiecie go, sahibie, jak zwykle — szepnął Abdullah. — Nie dawajcie mu powodu do obawy i podejrzenia. Poślijcie nas z nim do wnętrza, a już my dokonamy reszty, gdy wy będziecie tu stali na straży. Rzućcie na niego światło latarni, żebyśmy mogli upewnić się, że to on istotnie.

„Migocące światło zbliżało się ciągle, aż w końcu mogłem już rozpoznać dwie ciemne postaci po tamtej stronie rowu. Pozwoliłem im spuścić się po stoku do kałuży i wleźć z drugiej strony do połowy na groble, zanim ich wezwałem.

„— Kto idzie?...—rzekłem stłumionym głosem.

„— Przyjaciele—brzmiała odpowiedź.

„Odśloniłem latarnię i rzuciłem na nich snop światła. Pierwszy, był to olbrzymi Sikh, z czarną brodą, sięgającą za pas; nie widziałem jeszcze takiego wielkiego człowieka, chyba w jakiej budzie, gdzie pokazywał się za

pieniądze. Drugi, mały, otyły, okrągły człowieczek, miał na głowie wielki żółty turban i niósł tłomok, owinięty w szal. Drżał widocznie z obawy, bo ręce dygotały mu jak w febrze, a głowę zwracał nieustannie to w prawo, to w lewo i spoglądał niespokojnie małemi błyszczącymi oczyma jak mysz, która zamierza wyjść ze swojej nory. Dreszcz wstrząsnął mną na myśl, że mamy go zabić, ale wnet przypomniałem sobie skarb i serce zastygło we mnie i stwardniało, jak krzemień. Gdy nieborak ujrzał moją białą twarz, wydał stłumiony okrzyk radości i podbiegł ku mnie.

„— Opieki, sahibie — wyjąkał zdyszany — opieki dla nieszczęśliwego kupca Achmeta. Przejechałem przez całą Radżputanę, żeby się schronić w forcie Agry. Zostałem okradziony, obity, zelżony, bo jestem wiernym sprzymierzeńcem wojska angielskiego. Błogosławiona niechaj będzie ta noc, która mi da bezpieczne schronienie... mnie i mojemu skromnemu mieniu.

„— Co masz w tłomoku?—spytalem.

„— Szkatułkę żelazną—odparł — a w niej dokumenty i pamiątki rodzinne: nie mają one wartości dla obcych, ale dla mnie są drogie. Nie jestem wszakże żebrakiem i wynagrodzę was, młody sahibie, i waszego dowódcę także, jeśli mi da schronienie, o jakie proszę.



„Nie mogłem mówić z nim dłużej. Im bardziej wpatrywałem się w jego twarz, tłustą i wylekłą, tem cięższem wydawało mi się zamordowanie go tak, z zimną krwią. Lepiej było zatem skończyć, copędzej.

„— Zaprowadźcie go do naczelnika straży—rzekłem.

„Dwaj Sikhowie wzięli go między siebie, a olbrzym szedł z tyłu i tak weszli przez ciemną bramę; ja zaś pozostałem z latarnią przed bramą.

„Słyszałem wyraźnie odgłos ich miarowych kroków, rozlegający się w pustych korytarzach. Nagle ucichł, dobiegły mnie głosy, szelest bójki, szmer ciosów, a w chwilę później doleciały mnie kroki, zmierzające ku mnie i głośny, ciężki oddech biegnącego człowieka. Przerażony, zwróciłem latarnię w stronę długiego, prostego przejścia i ujrzałem małego, otyłego kupca, z pokrwawioną twarzą, pędzącego, jak wicher, tuż za nim, skacząc, jak tygrys, biegł olbrzymi czarnobrody Sikh, a w rękę jego połyskiwał wielki nóż.

„Nie widziałem nigdy człowieka, lecącego takim pędem, jak ów mały kupiec. Wyprzedził już dobrze Sikha i widziałem, że gdy mnie minie i wydostanie się za bramę, zdoła się uratować. W sercu mojem zaczęło się budzić współczucie dla niego, ale na myśl o skarbie, ska-

mieniało ponownie. Rzuciłem uciekającemu karabin pod nogi, nieborak upadł, potoczył się, jak zastrzelony królik, a zanim zdołał się podnieść, Sikh już padł na niego i zatopił mu dwukrotnie nóż w piersi. Kupiec nie jęknął, nie poruszył się, leżał tam, gdzie upadł. Jestem prawie przekonany, że, upadając, skręcił kark. Jak panowie widzicie, dotrzymuję słowa. Opowiadam panom wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami, jak było, bez względu na to, co ztąd dla mnie wyniknie“!

Umilkł i wyciągnął skutą rękę po wodę z whisky, którą Holmes przyrządził dla niego. Co do mnie, wyznaję, że człowiek ten przemawiał mnie teraz najwyższą odrazą, nietylko za tę zimną krew, z jaką uczestniczył w zabójstwie, ale bardziej jeszcze za obojętny, lekceważący niemal sposób, w jaki o niej opowiadał. Bez względu na karę, jaka go czekała, czułem, że odemnie nie mógł się spodziewać litości.

Sherlock Holmes i Jones siedzieli z rękoma, opartymi na kolanach, słuchając z zajęciem opowieści, ale i na ich twarzach malowało się to samo uczucie wstrętu. Small zauważył to niewątpliwie, gdyż w głosie jego dzwięczał ton zuchwały, gdy odezwał się po chwili.

— To wszystko jest bardzo karygodne,

zapewne — mówił dalej. — Ale chciałbym wiedzieć, ilu ludzi na mojem miejscu odmówiłoby podzielenia się taką zdobyczą, gdyby wiedzieli, że, jeśli stawią opór, będą mieli poderżnięte gardło. Zresztą, gdyby ów kupiec wydostał się z fortu, cała sprawa wydałaby się i ja poszedłbym pod sąd wojenny i zostałbym niechybnie rozstrzelany; ludzie bowiem nie są bardzo łagodnie usposobieni w czasach podobnych.

— Opowiadaj dalej swoje dzieje — przerwał Holmes sucho.

— Dobrze. Abdułlah, Akbar i ja, wnieśliśmy zabitego do fortu; a ciężki był strasznie, chociaż taki mały. Mahomet Singh został na straży przy wejściu. Zanieśliśmy zwłoki na miejsce, które Sikhowie już przygotowali, przez kręty korytarz, wiodący do wielkiej pustej halli, gdzie cegły ścian kruszyły się i opadały. Ziemia w podłodze zapadła się w jednym kącie, tworząc grób naturalny; tam złożyliśmy Achmeta, przykryliśmy go ceglami, poczem powróciliśmy do skarbu.

„Leżał tam, gdzie go Achmet upuścił, gdy został napadnięty; w tej samej szkatułce, która teraz stoi tu otwarta na stole. Klucz na jedwabnym sznurku wisiał u tej oto rzeźbionej rączki na wieku. Otworzyliśmy szkatułkę, a światło latarni padło na zbiór takich klejno-

tów, o jakich czytałem i marzyłem, gdym był małym chłopcem w Pershore. Blask ich oślepił poprostu. Gdy nasyciliśmy nimi oczy nasze, wydobyliśmy je i spisali; było tam czterdzieści trzy djamenty pierwszej wody, łącznie z tym, który nazwany został, zdaje mi się, „wielkim Mogołem“ i uważany jest za drugi między największymi znanymi dotąd. Dalej było dziewięćdziesiąt siedem bardzo pięknych szmaragdów, sto siedemdziesiąt rubinów, z tych niektóre bardzo małe; nadto czterdzieści karbunkułów, dwieście dziesięć szafirów, sześćdziesiąt jeden agatów oraz beryle, onyksy, kocie oczy, turkusy i inne kamienie, których nazw wówczas nie wiedziałem wcale i później dopiero zapoznałem się z nimi. Oprócz tego znajdowało się tam trzysta bardzo pięknych pereł, a z tych dwanaście oprawnych w złoto; te ostatnie zostały wyjęte ze szkatułki, nie znalazłem ich w niej, gdy skarb odzyskałem.

„Obliczywszy skarb, włożyliśmy go napowrót do szkatułki i zanieśli pokazać Mahometowi Singhowi. Poczem ponowiliśmy uroczystą przysięgę, że pozostaniemy sobie wzajemnie wierni i dochowamy tajemnicy. Postanowiliśmy ukryć zdobycz w miejscu bezpiecznym, dopóki w kraju nie powróci spokój, a następnie podzielić ją na równe części. Narazie nie można

było tego zrobić, bo, gdyby znaleziono u nas klejnoty takiej wartości, wzbudziłoby to podejrzenie, a w forcie nie było skrytki, gdzieby można je przechować.

Zanieśliśmy tedy szkatułkę tam, gdzieśmy pochowali zwłoki Achmeta; z najlepiej zachowanego muru wydobyliśmy kilka cegieł i złożyliśmy skarb w tym otworze, poczem wsadziliśmy znów cegły. Zapamiętaliśmy dobrze miejsce, a dnia następnego narysowałem cztery plany dla każdego z nas i podpisałem nasze cztery nazwiska, bo przysięgliśmy, że jeden będzie zawsze działał w imieniu wszystkich, tak, żeby żaden nie był pokrzywdzony. Z ręką na sercu mogę zapewnić, że tej przysięgi nigdy nie złamał.

„Nie mam potrzeby opowiadać panom przebiegu powstania indyjskiego. Gdy Wilson wziął Delhi, a sir Colin oswobodził Lucknow, bunt był tak dobrze jak uśmierzony. Nadeszły świeże wojska i Nana Sahib zabrał się co prędzej do odwrotu. Kolumna latająca pod wodzą pułkownika Greatheda przybyła do Agry i oczyściła miasto z powstańców. Zdawało się, że spokój zapanował w kraju, a my, we czterech, zaczęliśmy przypuszczać, że nadszedł czas, kiedy będziemy nareszcie mogli przystąpić bezpiecznie do podziału skarbu. Nagle wszakże

rozwiąły się te nasze nadzieje: zostaliśmy za-  
aresztowani jako mordercy Achmeta.

„A stało się to tak: Radzah złożył klejnoty swoje w ręce Achmeta dlatego, że wiedział, iż jest człowiekiem, któremu można ufać. Ludzie na Wschodzie są jednak podejrzliwi; cóż tedy robi radzah? Posyła za Achmetem drugiego, bardziej jeszcze zaufanego sługę i każe mu szpiegować tamtego. Ten drugi sługa miał polecenie nie spuszczać nigdy z oka Achmeta, śledził go też, jak cień. Szedł za nim i owej nocy i widział, jak wchodził do fortu. Oczywiście myślał, że Achmet schronił się tam i następnego dnia przyszedł prosić, żeby i jego wpuszczono, ale Achmeta nie znalazł.

„Wydało mu się to takie dziwne, że powiedział o tem sierżantowi straży, który złożył raport komendantowi. Zarządzono niezwłocznie ściśle śledztwo i wykryto zwłoki. Tak więc w chwili, kiedy myśleliśmy właśnie, że jesteśmy bezpieczni, zostaliśmy wszyscy czterej uwięzieni i postawieni przed sąd pod zarzutem morderstwa; my trzej dlatego, że sprawowaliśmy straż owej nocy, a czwarty dlatego, że dowiedziano się, iż towarzyszył zamordowanemu. O klejnotach podczas procesu nie wspomniano słowa, gdyż radzah został pozbawiony władzy i wypędzony z Indji, nikt zatem nie interesował

się jego skarbami. Morderstwo wszakże udowodniono jasno, jakoteż i nasz w niem udział. Trzej Sikhowie zostali skazani na dożywotnie ciężkie roboty, a mnie skazano na śmierć, lecz później zamieniono ten wyrok na taki sam jak tamtych.

„Znaleźliśmy się tedy w położeniu nie do pozazdroszczenia, — wszyscy czterej w kajdanach na nogach, z małą perspektywą odzyskania kiedyś wolności, gdy każdy z nas był w posiadaniu tajemnicy, mogącej nam zapewnić życie w pałacu. Człowiek mógł, doprawdy, wścieknąć się, znosząc szturchańce i kulaki lada urzędniczka, jedząc ryż i pijąc wodę i myśląc o tym majątku, który w ukryciu czekał na niego. Były chwile, że już mi się zdawało, iż oszaleję; ale nie poddawałem się nigdy zmartwieniu, więc też i tym razem wytrzymałem i czekałem, nie wątpiąc, że przyjdzie jeszcze czas skorzystania ze skarbu.

„Jakoż nareszcie nadzieja moja zaczęła się urzeczywistniać. Przeniesiono mnie z Agry do Madrasu, a stamtąd na Andamany, na wyspę Blair. W tej osadzie mało bywa więźniów białych, a ponieważ sprawowałem się dobrze od początku, przeto stałem się wkrótce osobą uprzywilejowaną. Dano mi chatę w Hope Town, małej miejscowości na stokach Mount

Harriet i nie strzeżono mnie prawie wcale. Miejscowość to była pusepna, panowała w niej ustawicznie febra i gorączka, a dokoła naszych siedzib roiło się od dzikich ludożerców, skorych, za lada sposobnością, do ugodzenia nas zatrutą strzałą. Musieliśmy kopać rowy, osuszać bagna, sadzić drzewa i robić dziesiątki innych rzeczy, tak, że pracowaliśmy dzień cały; wieczorem mogliśmy niekiedy rozporządzać do woli. Między innymi nauczyłem się przyrządzać lekarstwa dla chirurga i połapałem trochę powierzchniowych wiadomości medycznych. Ciągłe jednak czyhałem tylko na sposobność ucieczki; ale wysepka Blair położona jest o setki mil od innych lądów, a wiatrów niema prawie wcale na tych morzach, tak, że wydostać się stamtąd pokryjomu, wodą, jest rzeczą niesłychanie trudną.

„Chirurg, dr. Somerton, był człowiekiem młodym, silnym, uprawiał z zapalem sport, a wieczorami inni młodzi oficerowie schodzili się u niego na karty. Pokój, w którym przyrządzałem lekarstwa, przylegał do jego bawialni. Często, gdy czułem się bardzo osamotniony, gasiłem lampę a stojąc wśród ciemności, mogłem słyszeć ich rozmowy i przez małe okienko w ścianie patrzeć jak grali. Lubię sam bardzo karty, a przyglądać się grze innych to tak, jakby grać samemu. Był tam, oprócz chirurga,



major Sholto, kapitan Morstan i porucznik Bromley Brown, dowódcy wojska krajowego, oraz dwaj czy trzej urzędnicy więzienni, wytrawni starzy gracze. Dobrane z nich było towarzystwo.

„Niebawem wszakże uderzyła mnie rzecz jedna — żołnierze stale przegrywali, a cywilni wygrywali. Nie mówię, żeby w tem było co nieuczciwego, stwierdzam tylko fakt. Urzędnicy więzienni, od przybycia na Andamany nie robili prawie nic innego, tylko grali w karty, znali je zatem wyśmienicie, gdy tamci grywali tylko dla przepędzenia czasu, kart zatem nie studjowali. Z każdym wieczorem żołnierze stawali się ubożsi, a im więcej tracili, tembardziej zapalali się do gry. Najmniej szczęścia miał major Sholto. Najpierw płacił banknotami i złotem, ale wkrótce przyszło do rewersów, i to na znaczne sumy. Niekiedy wygrywał drobne kwoty, niby dla zachęty, a potem znów szczęście odwracało się od niego. Przez cały dzień wówczas chodził ponury i milczący, i coraz częściej zaglądał do butelki.

„Pewnego wieczora przegrał więcej jeszcze, niż zazwyczaj. Siedziałem w swej chacie, gdy nadszedł z kapitanem Morstanem, idąc do domu. Żyli oni w wielkiej przyjaźni i prawie zaw-

sze byli razem. Major rozpaczał z powodu swoich strat.

„— Skończyło się, Morstanie—mówił, gdy mijali moją chatę.—Będę musiał podać się do dymisji, jestem człowiekiem zrujnowanym.

„— Głupstwo, stary!—odparł kapitan, klepiąc go po ramieniu.—I ja nie miałem szczęścia, ale...—oto wszystko, co dosłyszałem, lecz wystarczyło to, żeby mi poddać pewną myśl.

„W kilka dni później major Sholto przechadzał się po wybrzeżu—skorzystałem tedy ze sposobności, by z nim pomówić.

„— Chciałbym pana poprosić o radę, panie majorze — rzekłem.

„— A, Small... czegoż chcesz? — spytał, wyjmując z ust fajkę.

„— Chciałem pana majora zapytać, komu właściwie należy wręczyć ukryty skarb. Znam miejsce, gdzie spoczywa z pół miliona, a ponieważ sam tego zużytkować nie mogę, przeto pomyślałem, że najlepiej może będzie, gdy skarb ten oddam władzom właściwym; może mi wówczas skrócą karę.

„— Pół miliona, mówisz? — odezwał się major stłumionym głosem, patrząc mi bystro w oczy, jakgdyby chciał się przekonać, czy mówię serjo.

„— Tak jest, panie... w klejnotach i per-

łach. Leżą tam, panie, tylko je zabrać. Ale to  
kiepska sprawa, bo istotny właściciel pozba-  
wiony jest wszelkich praw, ztąd też nie może  
mieć żadnej własności, tak, że ten skarb należy  
do pierwszego lepszego.

„— Do rządu, Smallu—wyjąkał—do rządu.

„Ale powiedział to z wahaniem; odczułem,  
żem go złapał.

„— A więc pan major sądzi, że powinie-  
nem zawiadomić gubernatora generalnego? —  
zapytałem spokojnie.

„— Powoli, powoli, trzeba się namyślić,  
bo inaczej możesz później żałować. Opowiedz-  
no mi, z kąd ten skarb pochodzi.

„Opowiedziałem mu całą historję, z ma-  
łemi zmianami, tak, żeby nie mógł poznać miej-  
scowości. Gdym skończył, major stał milczący  
i zamyślony. Po drzeniu ust poznałem, że w du-  
szy jego odbywa się walka.

„— To bardzo ważna sprawa, Smallu —  
rzekł w końcu. — Nie mów ani słowa nikomu,  
a ja się z tobą wkrótce zobaczę.

„We dwa dni później major, z przyjacie-  
lem swoim, kapitanem Morstanem, zaopatrzeni  
w latarnię, przyszedli do mojej chaty śród ciszy  
nocnej.

„— Chcę, żebyś sam powtórzył kapita-

nowi Morstanowi to, coś mnie opowiadał, Smallu — rzekł.

„Powtórzyłem tedy to samo.

„— Czy to prawdopodobne, co? — spytał major, gdym skończył. — Można w to wierzyć?

„Kapitan Morstan skinął głową potakująco.

„— Słuchaj, Smallu — odezwał się znów major. — Rozmawiałem w tej sprawie z panem kapitanem, moim przyjacielem, i przyszliśmy do przekonania, że rząd właściwie nie ma nic do tej twojej tajemnicy, że to twoja rzecz prywatna, z którą możesz robić co ci się podoba. A teraz, powiedzno, ile żądasz za tę swoją tajemnicę? Bylibyśmy gotowi kupić ją od ciebie, albo przynajmniej wziąć w niej udział, jeśli porozumiemy się co do warunków“.

„Usiłował mówić tonem chłodnym, obojętnym, ale oczy jego iskrzyły się podnieceniem i chciwością.

„— Co do tego, proszę panów—odparłem, starając się również zachować obojętność, lecz będąc niemniej od majora wzburzony—człowiek w mojem położeniu może postawić tylko jeden warunek. Panowie dopomogą mnie i moim trzem towarzyszom do odzyskania wolności, a my wzamian przypuścimy panów do spółki i damy panom do podziału piątą część skarbu.

„— Hm — rzekł. — Piąta część! To niebardzo ponętne.

„— Przypadnie z pięćdziesiąt tysięcy na każdego — odparłem.

„— Ależ w jaki sposób możemy wam przywrócić wolność? Wiesz dobrze, iż żądasz rzeczy niemożliwej.

„— Bynajmniej — odparłem. — Już ja to wszystko obmyśliłem, z najdrobniejszymi szczegółami. Jediną przeszkodą do naszej ucieczki jest, że nie możemy dostać łodzi odpowiedniej do odbycia podróży i zaopatrzyć się w tyle żywności, żeby nam na cały czas starczyła. W Kalkucie i Madrasie jest mnóstwo małych jachtów i czółen, doskonałych do wykonania naszego zamiaru. Niech panowie sprrowadzą tu z jeden taki statek, my wsiądziemy na pokład nocą, a potem panowie wysadzicie nas gdziekolwiek na ląd na wybrzeżu indyjskim i w ten sposób dopełnicie warunków umowy.

„— Gdyby to tylko jeden... — zauważył major.

„— Żaden albo wszyscy — rzekłem. — Musimy zawsze robić wszystko we czterech.

„— Widzisz, Morstanie — zwrócił się major do kapitana, — Small jest człowiekiem honorowym. Nie opuszcza swoich przyjaciół. Myślę, że możemy mu zaufać w zupełności.

„— Paskudna sprawa — odparł kapitan. — Ale, jeśli on mówi prawdę, pieniądze wynagrodzą nam nasze uczestnictwo.

„— Słuchaj, Small — odezwał się major. — Spróbujemy wam dopomóc. Przedewszystkiem jednak musimy, oczywiście, stwierdzić, czy mówisz prawdę. Powiedz mi, gdzie szkatulka jest ukryta, a ja wezmę urlop i pojedę do Indji, żeby tam przeprowadzić śledztwo.

„— Zaraz, nie tak prędko — rzekłem, stając się chłodniejszym w miarę, jak on się coraz bardziej zapalał. — Muszę mieć zezwolenie swoich trzech towarzyszków. Powiedziałem już panu, że albo czterej, albo żaden.

„— Głupstwol — zawołał. — Co takich trzech czarnych durniów może mieć wspólnego z naszą umową.

„— Czarni, czy niebiescy — odparłem — są moimi współnikami i trzymamy się wszyscy razem.

„Sprawa zakończyła się powtórnym spotkaniem, w którym uczestniczyli też Mahomet Singh, Abdullah Khan i Dost Akbar. Omówiliśmy raz jeszcze całą sprawę i w końcu zawarliśmy umowę. My mieliśmy dostarczyć obu oficerom plany starego fortu Agry i oznaczyć na nich miejsce w murze, gdzie ukryty był skarb. Major Sholto miał pojechać do Indji,

żeby stwierdzić, czy nasza opowieść była prawdziwa. Gdyby znalazł szkatułkę, miał ją tam zostawić, wysłać dla nas mały jacht, zaopatrzony do podróży, któryby zawinął do wyspy Rutland, a potem powrócić do swoich obowiązków.

„Kapitan Morstan miał wówczas postarać się o urlop i spotkać się z nami w Agrze, gdzie dokonalibyśmy podziału skarbu, a on zabrałby część swoją i majora. Przypieczętowaliśmy ten układ najuroczystszymi przysięgami, jakie mózg mógł obmyśleć, a usta wypowiedzieć. Siedziałem przez całą noc z piórem w ręku, a nad ranem miałem dwa plany gotowe, zaopatrzone w podpis czterech — t. j. Abdułaha, Akhara, Mahometa i swój.

„Nudzę panów tą długą opowieścią i wiem, że mój przyjaciel, pan Jones, się niecierpliwi, bo chciałby już mieć mnie corychlej pod kluczem. Streszczę się zatem jak będę mógł najbardziej. Ten nędznik Sholto pojechał do Indji i nie powrócił. Kapitan Morstan pokazał mi wkrótce potem jego nazwisko na liście pasażerów statku pocztowego. Umarł mu stryj, po którym odziedziczył majątek i wystąpił z wojska; a choć miał własne pieniądze, mógł się poniżyć do tego stopnia i obejść w taki niegodny sposób z pięcioma ludźmi. Morstan pojechał niezadługo potem do Agry i przekonał

się, jakeśmy się tego spodziewali, że skarb został zabrany.

„Ten łotr zabrał wszystko, nie wypełniwszy ani jednego z warunków, na jakich sprzedaliśmy tajemnicę. Od tego dnia żyłem jedynie dla zemsty. Myślałem o niej we dnie, śniłem o niej po nocach. Ta żądza pochłaniała mnie z niepokonaną siłą, nie dbałem o prawo, nie dbałem o szubienicę. Uciec, wysledzić Sholta, schwycić go za gardło — taki był teraz jedyny cel mego życia. Nawet skarb stracił dla mnie swą wartość wobec myśli o zamordowaniu Sholta.

„Przedsiębrałem ja niejedną rzecz w życiu, ale nigdy takiej, któraby mi się nie powiodła. Mówiłem już panom, że polapałem trochę wiadomości medycznych. Pewnego dnia, gdy dr. Somerton leżał w ataku febry, więźniowie znaleźli w lesie małego Andamańczyka; wyspiarz był ciężko chory i wyszukał samotnego miejsca, by tam umrzeć. Zająłem się nim, leczyłem go i, po dwóch miesiącach, wyzdrowiał zupełnie, a przywiązał się do mnie tak, że nie chciał wracać do swoich lasów, tylko włączył się ciągle dokoła mojej chaty. Nauczyłem się od niego, jego mowy, co wzmogło jeszcze jego miłość dla mnie.

„Tonga — tak mu było na imię — był



doskonałym wioslarzem i posiadał własne duże czółno. Przekonawszy się, że był mi oddany i uczyniłby wszystko byle mi się przysłużyć, postanowiłem skorzystać z tego i urzeczywistnić nareszcie zamiar ucieczki. Porozumiałem się z nim, tedy i stało na tem, że on miał popłynąć na czółnie swem do starej, nigdy przez nikogo nie strzeżonej, przystani i ztamtąd mnie zabrać. Polecilem mu, żeby zabrał ze sobą kilka bani z wodą, dużo orzechów kokosowych i kartofli.

„Mały Tonga był bardzo uczciwy i wierny. W noc oznaczoną czółno jego znalazło się w przystani. Zdarzyło się jednak, że stał tam jeden z dozorców więziennych, nikczemny Pathan, który nigdy nie ominął sposobności, żeby mnie znieważać i skrzywdzić. Przysięgałem mu zawsze zemstę i oto nastąpiła się okazja. Zdawało się, że los sam postawił go na mojej drodze, bym mu spłacił dług, przed opuszczeniem wyspy. Stał na grobli trzymając karabin na ramieniu, plecami do mnie odwrócony. Obejrzałem się dokoła, czy niema gdzie kamienia, żeby mu łeb roztrzaskać, ale nigdzie nie dostrzegłem.

„Wówczas przyszła mi zła myśl do głowy, szatan podszeptał mi, zkąd wziąć broń. Usiadłem śród ciemności i odcepiałem swoją dre-

wnianą nogę. W trzech długich podskokach rzuciłem się na dozorcę; złożył karabin do strzału, ale, zanim zdążył odwieść kurek, palnąłem go z całej siły pałką w głowę, tak, że mu roztrzaskałem czaszkę. Upadliśmy obaj, bo nie mogłem utrzymać równowagi; ja się podniosłem ale on już nie powstał. Przywiązałem nogę. Pośpieszyłem do czółna i w godzinę później płynęliśmy na pełnym morzu.

„Tonga zabrał ze sobą całe swoje mienie i broń swoją i swoich bożków. Między innymi miał długą dzidę bambusową i kilka andamańskich mat kokosowych, z których zrobiłem żagiel. Przez dziesięć dni tłukliśmy się po falach, ufając losowi, aż wreszcie jedenastego zabrał nas na pokład parowiec, który wiózł z Singapora do Jiddachu pielgrzymów malajskich. Sporo ich było, a Tonga i ja zapoznaliśmy się z nimi szybko. Mieli jedną wielką zaletę; nie narzucali się, o nic nie pytali.

„Gdybym chciał panom opowiedzieć wszystkie przygody, jakie mnie i mego towarzysza spotkały, nie bylibyście mi panowie wdzięczni, bo zatrzymałbym was tu chyba do świtu. Włóczyliśmy się tu i owdzie po świecie, a zawsze powstrzymywało nas coś od dostania się do Londynu. Myśl o celu tej wędrówki nie opuszczała mnie ani na chwilę. Śniłem o majo-

rze Sholto, noc w noc prawie. Setki razy zabijałem go we śnie. Nareszcie przed jakimi trzema czy czterema laty, znaleźliśmy się w Anglii. Nietrudno mi przyszło odnaleźć miejsce zamieszkania Sholta, chodziło więc już tylko o to, żeby się przekonać, czy skarb spieniżył, czy też posiada go jeszcze. Zaprzyjaźniłem się z kimś, który mógł mi dopomóc — nie wymieniam nazwisk, bo nie chcę nikogo wpędzać w biedę — i niebawem dowiedziałem się, że major miał jeszcze klejnoty. Usiłowałem tedy różnymi sposobami dostać się do niego; ale był przebiegły, pilnował się i miał zawsze przy sobie na straży dwóch bokserów, oprócz synów i swego khitmugara.

„Pewnego dnia wszakże otrzymałem wiadomość, że kona. Wściekły, iż może mi się w ten sposób wymknąć, podążyłem do ogrodu i, zajrzawszy przez okno, widziałem, że leży w łóżku, a synowie stoją przy nim. Byłbym sobie poradził z nimi wszystkimi, ale, gdy tak patrzyłem na majora, naraz ujrzałem, że szczęka mu opadła — wyzionął ducha.

„Tej samej nocy dostałem się do jego pokoju i przerzuciłem papiery jego, szukając, czy niema jakiej wskazówki, gdzie klejnoty ukrył. Nie znalazłem wszakże ani słówka, co mnie doprowadziło do ostatniej pasji. Zanim

wyszedłem, pomyślałem sobie, że jeśli spotkam kiedykolwiek jeszcze swoich przyjaciół, Sikhów, radzi będą, gdy im powiem, że zostawiłem jakiś znak naszej nienawiści. Nabazgrałem tedy podpis nas czterech taki sam, jaki był na planie i przypiąłem kartkę do piersi trupa. Byłoby to za wiele, gdyby tak zeszedł do grobu bez żadnej pamiątki od tych, których okradł i oszukał.

„Zarabiałem wówczas na życie, pokazując biednego Tongę na jarmarkach i innych tym podobnych zabawach, jako czarnego ludożercę. Jadał surowe mięso, wykonywał swój taniec wojenny i zbieraliśmy codziennie dosyć grosza. Z Pondicherry Lodge miałem ciągle wiadomości, przez kilka lat nie było żadnych nowin, prócz tego, że ciągle szukano skarbu. Nakoniec jednakże stało się to, na co czekaliśmy tak długo. Skarb został odszukany. Znajdował się na strychu, w pracowni chemicznej pana Bartłomieja Sholto. Przybyłem niezwłocznie, by obejrzeć miejscowość, ale niepodobna mi było samemu dostać się na górę z moją drewnianą nogą. Dowiedziałem się, że w dachu jest okno, które się otwiera i o jakiej godzinie pan Sholto jada kolację. Zdawało mi się, że przy pomocy Tonga załatwię się ze wszystkim bez wielkiego mozolu.

„Przyprowadziłem go tedy ze sobą i opa-

sałem długą liną. Zwinny był, jak kot, niebawem też dostał się do pokoju przez dach; nie szczęście chciało wszakże, iż Bartłomiej Sholto był jeszcze w pracowni. Tongó mniemał, że zabijając go, uczyni coś bardzo mądrego, bo, gdy następnie wszedłem, przy pomocy liny, zastałem go napuszonego i dumnego jak indyk. Zdumiony też był wielce, gdy poczuł na skórze swojej linę i usłyszał, że klnę i nazywam go krwiożerczym szatanem. Zabrałem szkatułkę, spuściłem ją na dół, potem zsunąłem się sam po linie, pozostawiwszy na stole podpis czterech na znak, że klejnoty powróciły do tych, którzy mieli największe do nich prawo. Tonga wciągnął linę do pokoju, zwinął ją i powrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

„Zdaje mi się, że nie mam już nic więcej do powiedzenia. Słyszałem jak przewoźnik jakiś wychwalał szybkość łodzi parowej Smitha, „*Aurory*“, pomyślałem tedy, żeby się nią posłużyć do ucieczki. Umówiłem się ze starym Smith'em i przyrzekłem mu znaczną sumę, jeśli nas dowiezie do okrętu. Wiedział on niewątpliwie, że sprawa była nieczysta, ale nie zwierzyliśmy mu się z naszej tajemnicy.

„Wszystko, co opowiedziałem, jest szczerą prawdą, a opowiedziałem nie po to, żeby panów zabawić, bo panowie nie wyświadczyliście

mi wielkiej przysługi, ale dlatego, że myślę, iż najlepszą obroną moją będzie nic nie ukrywać, lecz ogłosić światu, jak niegodziwie obszedł się ze mną major Sholto i że nie przyczyniłem się niczem do śmierci jego syna.

— Ciekawa opowieść— odezwał się Sherlock.—Zakończenie niesłychanie zajmującej sprawy. W ostatniej części twego opowiadania nie było dla mnie nic nowego, prócz tego, żeś przyniósł własną linę. Tego nie wiedziałem. Ale, powiedzno, myślałem, że Tonga zgubił wszystkie swoje strzały, tymczasem puścił jeszcze jedną na nas w łodzi.

— Zgubił je wszystkie, panie, prócz tej jednej, którą miał w rurce.

— A... oczywiście — rzekł Holmes. — Nie pomyślałem o tem.

— Czy pragnąłby pan odemnie jeszcze jakich wyjaśnień?— spytał aresztant uprzejmie.

— Nie, dziękuję — odparł mój przyjaciel.

— Panie Holmes — odezwał się Athelney Jones — wiemy, że pan zajmuje się gorliwie wszelkimi zbrodniami i że jesteś znawcą nielada, ale obowiązek obowiązkiem. Ja już i tak przekroczyłem granice, przystając na pańskie żądanie. Będę spokojniejszy, gdy ten nasz gawędziarz znajdzie się pod kluczem. Dorożka czeka, a dwaj inspektorzy stoją na dole. Dziękuję

panom bardzo za pomoc. Będziecie panowie oczywiście wezwani na świadków podczas procesu. Dobranoc panom.

— Dobranoc panom — rzekł też Jonathan Small.

— Idźno ty naprzód — zawołał przezorny Jones, gdy opuszczali pokój. — Będę ja się pilnował, żebyś mnie przypadkiem nie urządził swoją drewnianą nogą, jak tego jegomościa na wyspach Andamańskich.

— A więc nasz dramat skończony — rzekłem po długiej chwili milczenia, gdy zostaliśmy sami, paląc. — Obawiam się, że to będzie ostatnie śledztwo, które mi pozwoli studjować twoją metodę. Miss Morstan raczyła przyjąć mnie jako małżonka w perspektywie.

Holmes wykrzywił się i westchnął rozpaczliwie.

— Obawiałem się tego — odparł. — Ale doprawdy, wieszować ci nie mogę.

Dotknęły mnie te słowa.

— Czy masz jaki powód do niezadowolenia z mego wyboru? — spytał.

— Bynajmniej. Jest to jedna z najmilszych panien, jakie znam, i mogłaby nam być bardzo użyteczna w naszej robocie. Ma stanowczo zdolności w tym kierunku; przypomnij

sobie, jak starannie zachowała ów plan Agry z pomiędzy wszystkich innych papierów ojca. Ale, widzisz, miłość wywołuje wzruszenia, a wszelkie wzruszenie jest wrogiem prawdziwego chłodnego rozsądku, który cenię nade wszystko. Ja nie ożenię się nigdy, chyba że stracę rozum.

— Myślę, że mój rozum ostoi się wobec tej próby — rzekłem, śmiejąc się. — Ale widzę, że jesteś zmęczony.

— Tak, zaczyna się już we mnie reakcja. Będę znów przez tydzień do niczego.

— Szczególna rzecz — zauważyłem — jak stan, który u innego nazwałbym lenistwem, następuje u ciebie zawsze po wybuchach największej energii i siły.

— Tak — odparł — jest we mnie materjał na wzorowego próżniaka, ale też i na niezłego pracownika. Ale, wracając do tej sprawy Norwood, widzisz, że, jak się domyślałem, mieli sprzymierzeńca w domu, a mógł nim być tylko Lal Rao; Jones ma tedy tę jedną niepodzielną zasługę, że schwytał choć jedną rybę do swej wielkiej sieci.

— Podział jest tym razem niesprawiedliwy — zauważyłem. — Tyś wykrył, wyszedł wszystko w tej sprawie. Ja zdobyłem, dzięki



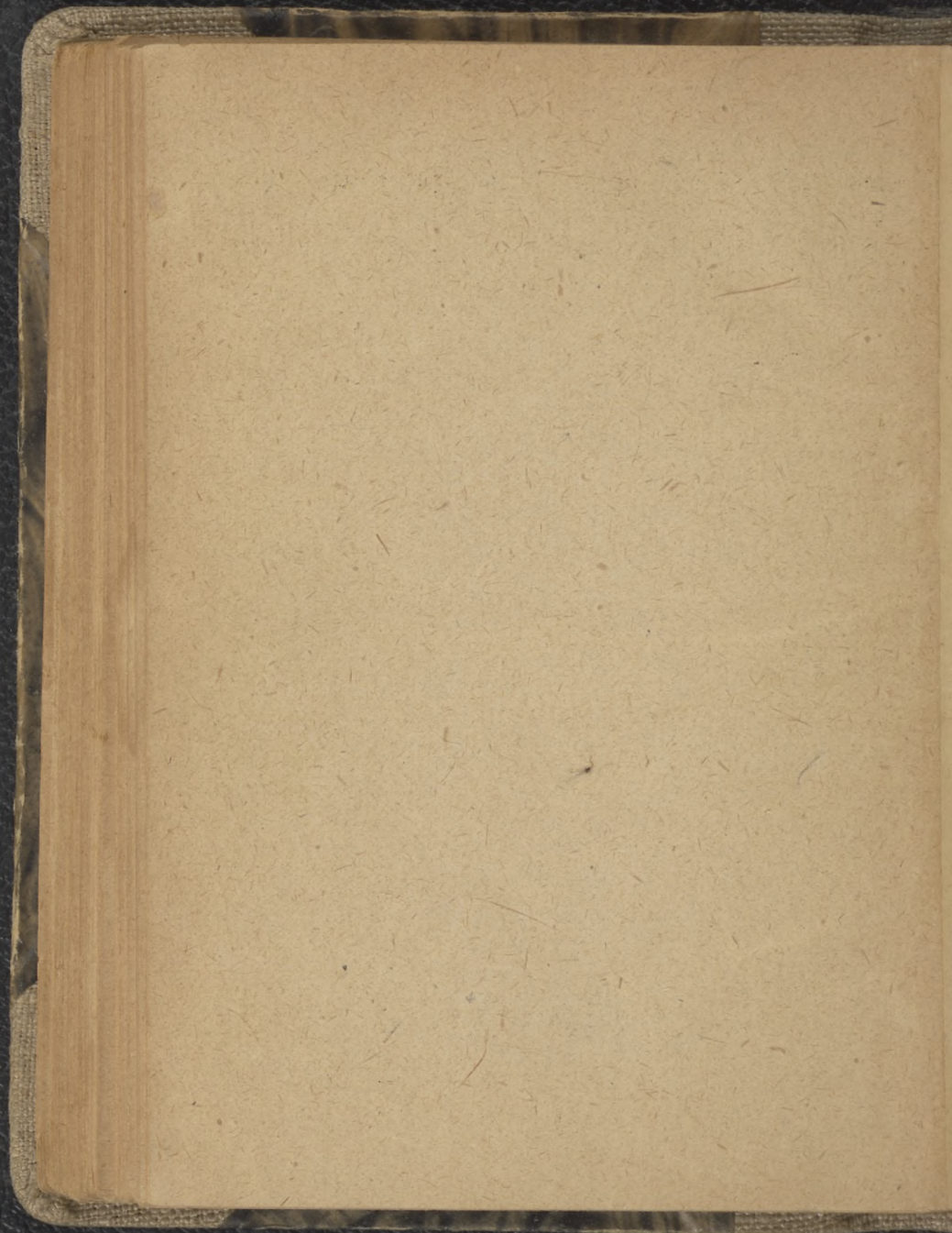
niej, żonę, Jones rozgłos, a cóż, proszę cię,  
zostaje dla ciebie?

— Dla mnie — rzekł Sherlock Holmes —  
pozostanie zawsze flaszeczka z kokainą.

I wyciągnął po nią swą długą białą dłoń.

K O N I E C.





PROLOG

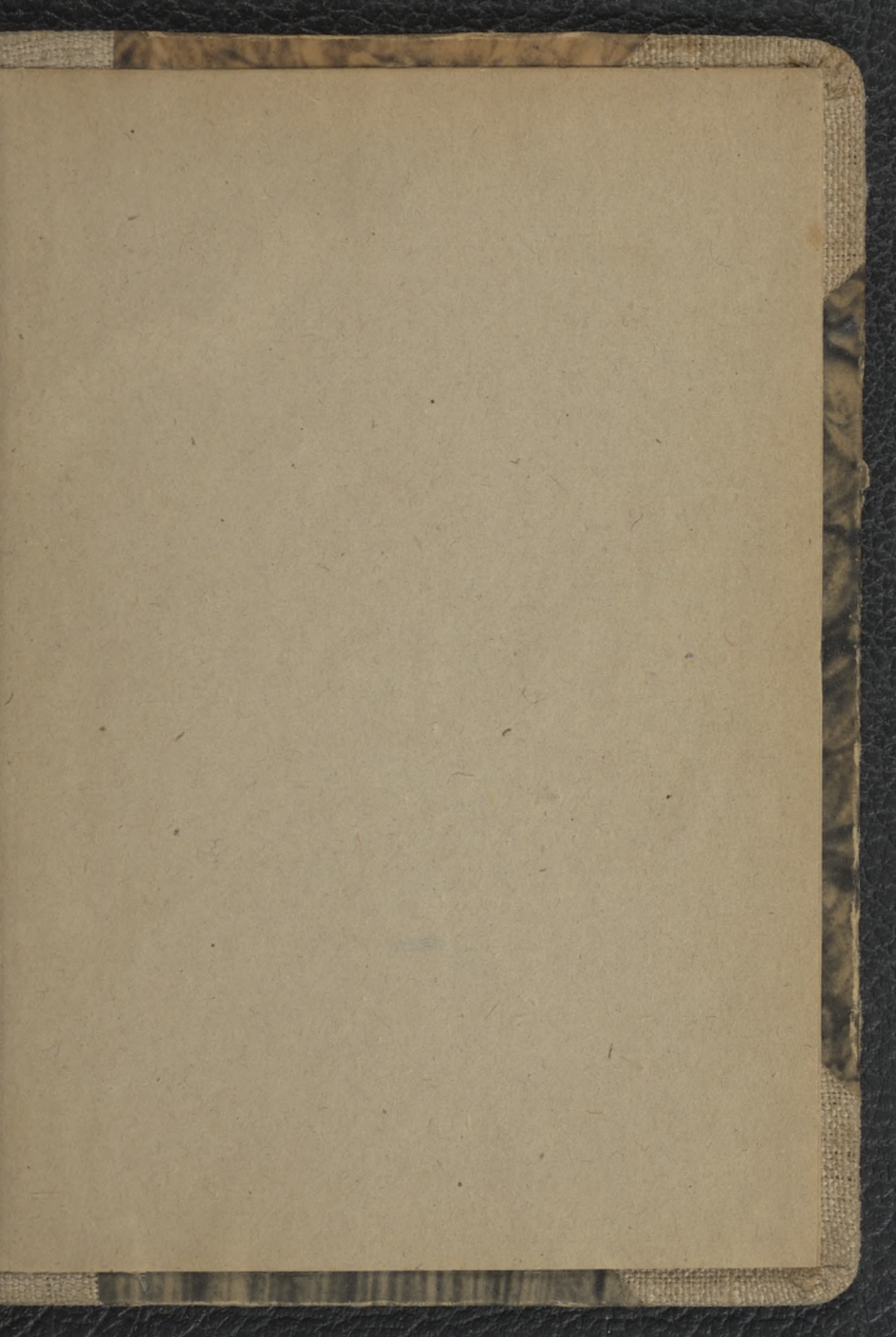
Wszystko zaczęło się w dniu, w którym  
zostałem wyznaczony do służby w  
szkole w mieście. W tym czasie  
byłem w wieku lat siedmiu i pół.

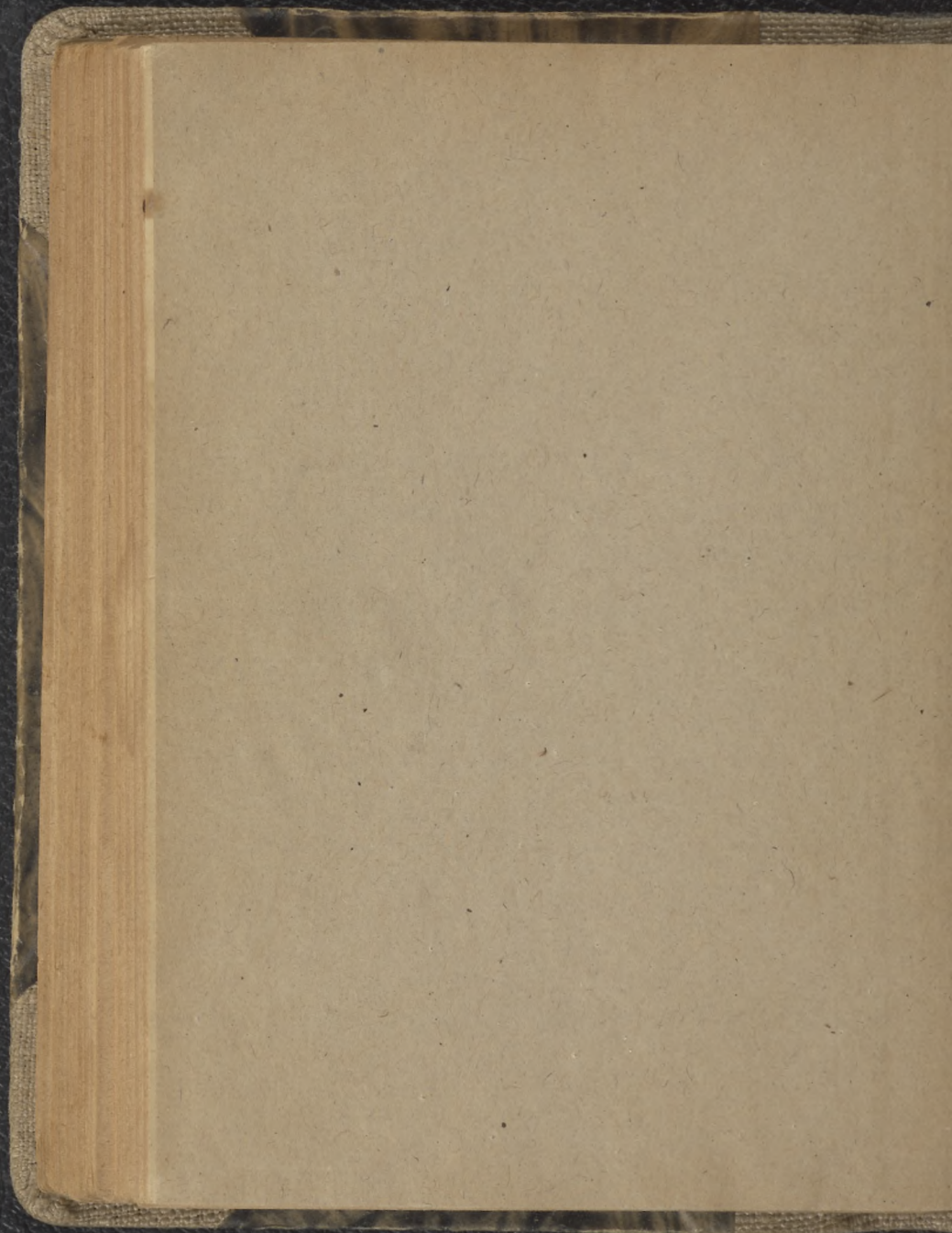
Wszystko zaczęło się w dniu, w którym

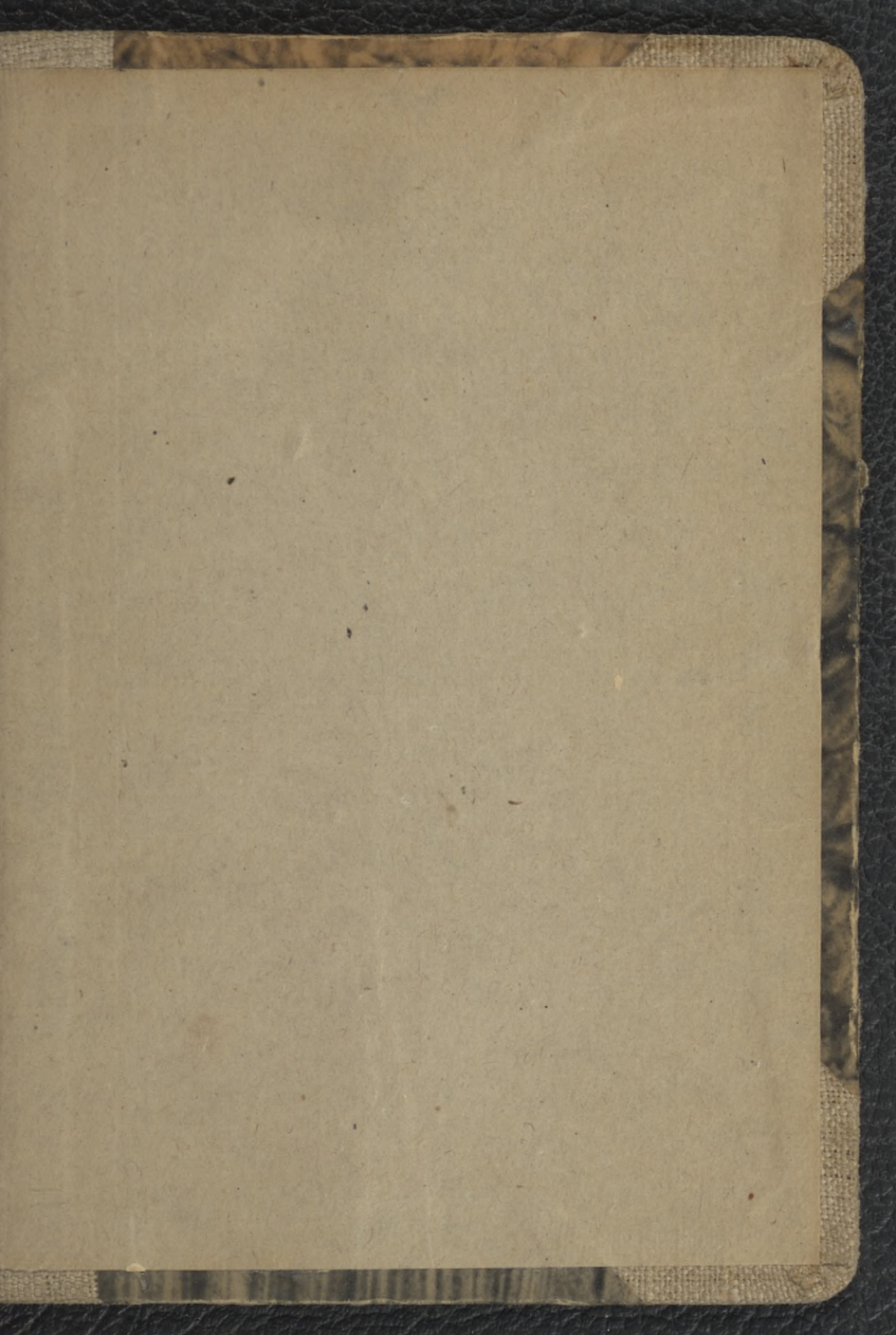
TEGOŻ AUTORA:

Tragedja Korosko . . . . .	wyczerpane
Sygnaly śmierci . . . . .	Mk. 600.—
Studjum w szkarłacie . . . . .	„ 600.—
Z przygód Sherlocka Holmesa . . . . .	w druku

*Rysunek na okładce podług drzeworytu japońskiego.*









500606

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001006237699